ESEJ WOJCIECHA GOLONKI

Dlaczego w referendum brakuje pytania o politykę Polski wobec wojny na Ukrainie?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 35/542 28 SIERPNIA–3 WRZEŚNIA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Ziemkiewicz o niewypałach na listach wyborczych partii

GANGSTER, KTÓREGO POKOCHAŁ ŚWIAT – MASŁOŃ ODKRYWA SEKRETY „OJCA CHRZESTNEGO"

Czego młodzi Rosjanie dowiedzą się z nowego podręcznika do historii

Śledztwo w sprawie „globalnego ocieplenia"

JAK NAS OSZUKUJĄ KLIMATYŚCI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

35 >

9 772299 850000

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Kiedyś muszle.
Dziś coiny.

Nie przegap przyszłości finansów.

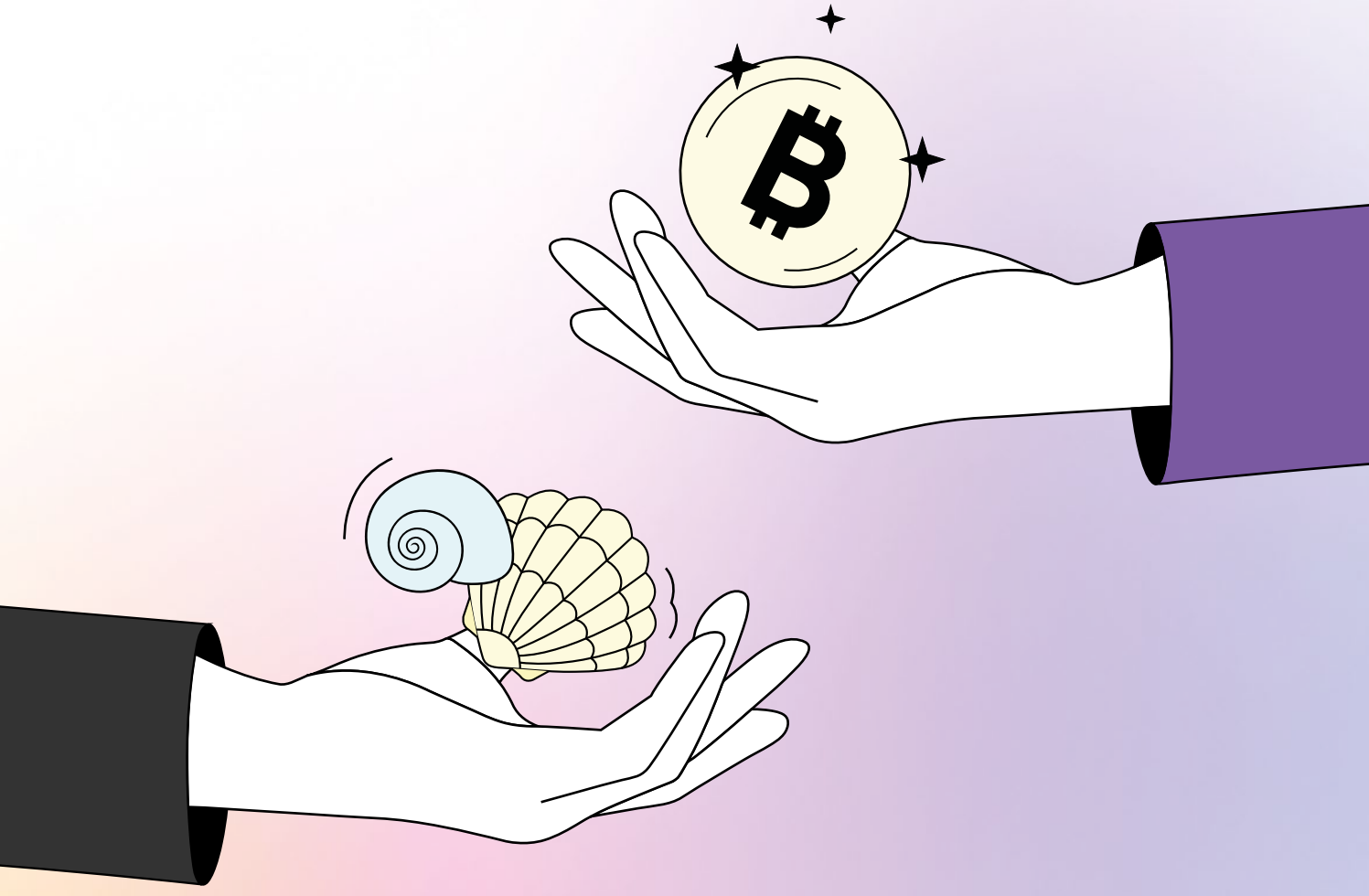

zondacrypto

Trade tomorrow, today

zondacrypto.com

eprasa.pl aa5c8ac814

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kto za to odpowiada?

Właściwie nie powinienem być zaskoczony, bo wojna Rosji z Ukrainą przebiega dokładnie tak, jak przewidziałem to kilka miesięcy temu. Wtedy jednak brak wiary w skuteczność ukraińskiej ofensywy był piętnowany jako przejaw defetyzmu i tchórzostwa. Dziś sprawy się zmieniły i nawet najbardziej zaangażowani spuścili z tonu.

Od kilku tygodni, a ze szczególną mocą od kilku dni, pojawiają się nowe analizy różnych wojskowych i specjalistów, którzy wskazują, że ukraińska ofensywa nie zakończy się powodzeniem. I tak kilka dni temu jeden z włoskich generałów, Marco Bertolini, stwierdził, że „z wojskowego punktu widzenia zwycięstwo Ukrainy jest niewyobrażalne. Powinniśmy wziąć to pod uwagę i usiąść przy stole negocjacyjnym". Według niego „cele Kijowa nie mogą zostać osiągnięte w oczekiwanej formie i w oczekiwanym terminie". Generał zwrócił uwagę na „przewagę liczebną i skuteczność ognia" Rosji. Tyle włoski generał, ale takich głosów jest coraz więcej. Jak podawał „The Washington Post", powołując się na tajny raport amerykańskiego wywiadu, „Ukraina nie będzie w stanie dotrzeć do Melitopola i przeciąć tzw. mostu lądowego z Krymem". Również brytyjski „The Times" pisze, że „podobnie jak Rosja, Ukraina w dużej mierze porzuciła śmiałe wizje rychłego triumfu".

Zachodnie media, tak jakby ktoś przełożył im wajchę, nagle nie tylko informują o tym, że ofensywa nie przynosi efektów, lecz także piszą – jak to zrobił „New York Times" – o 150 tys. ofiar po stronie ukraińskiej, tak zabitych, jak rannych, i o ogółem pół milionie zabitych w czasie wojny. To przerażające liczby i powinny wywołać wstrząs u wszystkich zwolenników dalszej wojny.

Ciekawe, że nie wywołują. Co może szokować, dane te nie zmieniają niczego w podejściu samego Kijowa, tak jakby nikt nie zadawał tam sobie pytania o ludzkie koszty obecnej polityki. Jak powiedział Wołodymyr Zełenski, po wizycie w czterech krajach UE największym sukcesem „są co najmniej cztery nowe pakiety obronne od naszych partnerów. A najważniejsze, co osiągnęliśmy, to otwarcie dostaw F-16 do naszego kraju". Według niego zawarto porozumienie w sprawie konkretnej liczby pierwszej dostawy myśliwców z Holandii i Danii. 20 sierpnia Dania i Holandia poinformowały, że przekażą Ukrainie samoloty F-16. Pierwszych sześć maszyn ma zostać dostarczonych w okolicach Nowego Roku.

Wszystko to zatem wygląda wielce osobliwie. Z jednej strony wszystkie znaki na niebie i na ziemi pokazują, że dotychczasowa polityka Zachodu – masowe dozbrajanie Ukrainy i kolejne fale sankcji na Rosję – zakończyła się fiaskiem, z drugiej strony, kiedy słyszy się oficjalne wypowiedzi polityków, można mieć wrażenie, że chcą jeszcze więcej tego samego. Najpierw sprawę miały rozstrzygnąć wyrzutnie HIMARS, potem leopardy, późnej challengery, później abramsy, teraz F-16. Liczba ofiar rośnie, front stoi w miejscu, a, co najbardziej zaskakujące, nie sposób usłyszeć nic o poważnych negocjacjach pokojowych. Jest to tym bardziej osobliwe, że nawet tak istotny cel Zachodu, którym miało być osłabienie czy też „wykrwawienie" Rosji, nie został osiągnięty. Wiele wskazuje na to, niestety, że rosyjska armia jest dziś bardziej skuteczna i walczy lepiej niż na początku wojny.

Jest tak, bo o ile z wojskowego punktu widzenia wynika, że konfliktu nie da się rozstrzygnąć siłą, o tyle całkiem inaczej wygląda to z punktu widzenia politycznego. Żeby doszło do rozmów pokojowych, musiałby tego chcieć przede wszystkim Waszyngton. Porozumienie, jakiekolwiek by ono było, musiałoby oznaczać akceptację zatrzymania jakiejś części podbitych przez Rosję terytoriów. Problemem jest to, że od początku wojny to Stany Zjednoczone sprzeciwiały się takiemu porozumieniu – a trzy razy jego osiągnięcie wydawało się bliskie – i dawały do zrozumienia, że Rosja lada moment skapituluje. Joe Biden postawił wszystko na tę kartę i w związku z wyborami w listopadzie 2024 r. nie może przyznać się do błędu. Nie może ogłosić, że przeszacował swoje siły i nie docenił Rosji. Co pozostaje zatem, jeśli wykluczyć rozwiązania dyplomatyczne, bo te musiałyby być dla prezydenta Bidena politycznie ryzykowne?

Po pierwsze można szukać kozła ofiarnego. Winnymi mają się okazać nie amerykańscy specjaliści, obiecujący gruszki na wierzbie, czyli szybkie odbicie Krymu, ale nieudolni ukraińscy żołnierze. Musiałoby to jednak oznaczać przewrót we władzach na Ukrainie – ktoś odpowiednio wysoko postawiony, najlepiej sam prezydent Zełenski, musiałby wziąć winę na siebie. A na to nic nie wskazuje.

Być może istnieje też inny scenariusz, podniesienia stawki i wprowadzenia do wojny dodatkowych sił, byle nie przyznać się na razie do porażki i dociągnąć do listopada 2024 r. Tutaj problem jest brak chętnych. Dlatego realistycznym analizom wojskowych nie towarzyszą realne działania dyplomatów. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
POGODA DLA KLIMATYSTÓW
Dlaczego straszą ludzi?

20 MARIUSZ JAGÓRA
OSZUSTWO KLIMATYCZNEGO KONSENSUSU

22 PIOTR WŁOCZYK
NIEWYPOWIADALNE

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KŁOPOTLIWI KANDYDACI
Polityczna menażeria

28 TOMASZ ROWIŃSKI
PANI MARIANNO, MAMY DOŚĆ

30 ROZMOWA Z TISĄ ŻAWROCKĄ-KWIATKOWSKĄ
MIŁOŚĆ WIĘKSZA NIŻ STRACH

34 ROZMOWA Z ONKOLOGIEM JAKUBEM KOSIKOWSKIM
NIEWIELE ZBIÓREK NA LECZENIE MA SENS

KULTURA

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Z TWARZĄ MARLONA BRANDO
Gangster, którego pokochał świat

40 PIOTR SEMKA
ALBERTINA CHYLI GŁOWĘ PRZED ANTYKIEM

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 WOJCIECH GOLONKA
PYTANIE, KTÓREGO BRAKUJE W REFERENDUM
Wybór, którego ma nie być?

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
WYSOKA CENA EKUMENIZMU

56 JOWITA ŁOSKO
KONCERNY DYKTUJĄ ŚWIATOPOGLĄD

HISTORIA

58 ROZMOWA Z JERZYM OLESZKOWICZEM
RABUNEK GRANICZNY
Sowiecka propozycja nie do odrzucenia

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
SPECJALNA OPERACJA HISTORYCZNA
Sfałszowane dzieje Rosji

64 JAN BOGATKO
ŻYCIE CODZIENNE W ZGORZELCACH

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
GDY CHINY MAJĄ KATAR
Kryzys, który zagraża całemu światu

70 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
TO BYŁBY KONIEC POLSKIEGO ROLNICTWA

SPORT

72 ŁUKASZ MAJCHRZAK
ZAPROGRAMOWANY SUKCES
Jak wejść na futbolowy szczyt

WAKACJE Z „DO RZECZY"

74 RADOSŁAW WOJTAS
ZNACHOR
To jemu Wietnamczycy zawdzięczają ocalenie wielu reliktów przeszłości

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (53), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl aa5c8ac814

KRYNICA FORUM 2023

13-15 września

empowering THE REGION

Najważniejsza konferencja tej jesieni – zapraszamy do Krynicy-Zdroju

- Debata głów państw CEE – gości Prezydenta RP Andrzeja Dudy
- Forum Koreańsko-Polskie z udziałem delegacji wysokiego szczebla z Seulu
- Energetyka jądrowa, zbrojenia, bezpieczeństwo strategiczne
- Dyskusje przedsiębiorców i polityków o odbudowie Ukrainy
- 100 + paneli z liderami polityki, gospodarki i nauki
- więcej na www.krynicaforum.pl

MAŁOPOLSKA

eprasa.pl aa5c8ac814

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Styliińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Dwukadencyjność

Szanowna Redakcjo!
Chciałbym przypomnieć Finlandię – kraj o najniższej korupcji w Europie. Do parlamentu może dostać się fachowiec o nienagannej opinii na dwie kadencje.

Po ukończeniu drugiej kadencji wraca na swoje stanowisko na jedną kadencję, po czym może kandydować ponownie na dwie kadencje. W ten sposób ustawy uchwalają prawdziwi fachowcy, nie zaś politycy zabetonowani w Sejmie na wiele kadencji, co rodzi różne patologie.

Ciekaw jestem zdania czytelników w tym temacie.

Przy okazji gratuluję Redakcji tak dobrego i wszechstronnego pisma jak „Do Rzeczy".

Pozdrawiam serdecznie

Józef Gawłowicz

Agregat rządowy

Szanowni Państwo,
będąc na urlopie końcem lipca w urokliwym miasteczku Skoczów na Śląsku Cieszyńskim, miałem okazję napotkać Pana Premiera Morawieckiego (z całą świtą), który „wpadł" do kawiarni Bajka na kawusię i ciasteczko. Później było spotkanie z mieszkańcami (spontaniczne).

Piszę o tym, bo zaintrygowała mnie inna sprawa, połowa pięknego rynku była zajęta czarnymi limuzynami ekipy Pana Premiera. Co mnie zaintrygowało – w całej kolumnie nie zauważyłem ani jednego samochodu elektrycznego. Jest to o tyle dziwne, że na zwykłych kierowcach władze naszego kraju (nie mówiąc o UE) chcą wymusić używanie „elektryków".

Przykład powinien iść z góry. Najwyżej w kolumnie pojawiłby się dodatkowy pojazd, agregat prądotwórczy.

Pozdrawiam

Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

eprasa.pl aa5c8ac814

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Gdańskie wspomnienia

Kiedy następuje coś, co można nazwać „przemianą świadomości"? Uwielbiam czytać pamiętniki świadków epoki i wyłapywać takie momenty przełomu. Przy okazji zbliżającej się rocznicy Sierpnia 1980 r. w Gdańsku sam zacząłem przypominać sobie takie chwile.

Scenka nr 1. Wskutek strajku nie kursują autobusy i mieszkańcy mojego gdańskiego osiedla Morena zostali zmuszeni odbywać żmudną ok. 40-minutową podróż z osiedla do centrum Gdańska. Jedni dzielnie wyruszali piechotą do miasta, inni stali w grupce przechodniów i łapali tzw. okazje. W grupie, w której stałem, było ok. 10 osób. Jakiś facecik w ortalionie zaczyna nagle głośno grymasić, że szlag go trafia, że musi się tak męczyć z powodu zachcianek robotników. Nagle z tłumu słyszę głos: „Zamknij pan dzioba. To takie gnoje jak ty w Grudniu '70 rozpowiadały, że stoczniowcy rabują sklepy". Facecik zerka na lewo i prawo, szukając jakiegoś sprzymierzeńca, ale odpowiadają mu tylko krzywe spojrzenia. Chwilę kręci się w miejscu i rusza piechotą w kierunku centrum. Wszystkim od razu jakby lżej.

Orzeł stoczniowców doczekał się korony. Presja ma sens

FOT. LEONARD SZMAGLIK/ECS

Scenka nr 2. Codziennie podjeżdżałem na stację kolejki Gdańsk Stocznia i odbywałem spacer wzdłuż stoczniowego muru aż pod główną bramę stoczni, oglądając strajkowe hasła i transparenty. Za każdym razem mijałem siedzących na płocie stoczniowców, którzy wycięli ze styropianu dużego białego orła. Pierwszego dnia pytam ich, dlaczego godło nie ma korony. W odpowiedzi słyszę: „Nie twój interes, gówniarzu". Drugiego dnia znowu mijam stoczniowców i znowu pytam, dlaczego nie mogą dokleić orłu korony. Tym razem słyszę tylko jakieś mało zdecydowane burknięcie. Trzeciego dnia, gdy po raz kolejny wysiadam na stacji Gdańsk Stocznia, już z oddali widzę zmianę. Na głowie orła jest korona, co więcej z naklejonym na koronie sreberkiem z czekolady. Presja jednak ma sens.

I ostatnia rzecz, jaką podsuwa mi pamięć. Zdecydowany dystans wobec strajku ze strony biskupa gdańskiego Lecha Kaczmarka. Gdy delegacja stoczniowców udaje się do ks. Henryka Jankowskiego z parafii św. Brygidy, aby prosić o mszę na terenie stoczni, ten dzwoni do swojego biskupa. Gdański hierarcha nie wie, co robić, więc zwraca się z pytaniem do komitetu partii, jak to będzie przyjęte. Ku zaskoczeniu biskupa partyjniacy namawiają księdza do udziału, bo chcą załagodzenia nastrojów. Komuniści, udzielając tej zgody, nie wiedzą, że msza stoczniowa będzie ogromnym impulsem dla determinacji stoczniowców i od niej zacznie się o wiele trudniejsza dla komunistów faza strajku.

To trzy przykłady, które pokazują, że wydarzenia sprzed 43 lat wymykają się naszym stereotypom. Przemiana świadomości przebiegała błyskawicznie. I nawet po 43 latach nie potrafię wyjaśnić, dlaczego akurat w sierpniu w Gdańsku zmiana nastąpiła tak szybko. Może wie coś o tym Duch Święty, który zstąpił i odmienił oblicze tej ziemi? ©℗

FOT. AP/EAST NEWS

OSTATNI LOT PRIGOŻYNA?

W ubiegłym tygodniu (23 sierpnia) w obwodzie twerskim w Rosji spadł samolot Embraer Legacy 600. Był własnością Grupy Wagnera – firmy dysponującej armią najemników. Rosawiacja (rosyjska agencja transportu lotniczego) potwierdziła, że wśród 10 osób, które zginęły w katastrofie, byli szef wagnerowców Jewgienij Prigożyn oraz jego prawa ręka – Dmitrij Utkin. Część komentatorów nie wyklucza jednak, że śmierć Prigożyna mogła zostać sfingowana. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Tryb nonsensu

Każdy, kto miał nieprzyjemność zetknąć się z polskim tzw. wymiarem sprawiedliwości, wie, że proces sądowy to u nas, najdelikatniej mówiąc, loteria. A w wypadku „pyskówek", gdy sąd ustala, czy powód miał prawo poczuć się znieważony – wręcz loteria do kwadratu.

Ale prawdziwie śmiertelnym ciosem dla powagi sądów jest pyskówka „w trybie wyborczym", gdy sąd orzeka „z bomby" i na przeprowadzenie semiologiczno-językoznawczej analizy ma tylko 24 godziny. Podczas jednej z poprzednich kampanii udowodniła to w praktyce partia Korwin, składając jednego dnia w czterech największych miastach cztery jednobrzmiące, co do przecinka, pozwy i uzyskując następnego dnia cztery zupełnie różne wyroki. Ten przykład oczywiście nikogo niczego nie nauczył ani nie oduczył – gdy tylko prezydent i PKW dają znak, kierowane do wyborcy lamenty „proszę pani, a on się o mnie brzydko wyraża" przenoszą się z mediów i Internetu na sale rozpraw.

Pierwszy proces tych wyborów wytoczyła PO, zarzucając kłamstwo PiS, który w swym spocie powiedział, że za Tuska bezrobocie sięgało 15 proc. PiS, nawet nie czekając na wdrożenie trybu doraźnego, to jest wyborczego – co jest pewnym wyjściem z rutyny – wylewnie „przeprosił" przeciwników, uściślając, że w skali kraju było to istotnie 14,4 proc. Przy okazji szczegółowo wyliczył, że podany odsetek bezrobocia przekroczyło coś ok. 200 powiatów, a rekordziści mieli nawet ponad 30 proc. Tym samym niekorzystna dla PO informacja, która inaczej utonęłaby w szumie, została dzięki niej samej wydobyta z niego i medialnie zagregowana.

Jaki to będzie miało wpływ na wyborców? Żadnego. Są oni już od lat „przebodźcowani" nieustającą propagandową młócką i albo wiedzą swoje, albo nie chcą wiedzieć nic. Wyroki „w trybie wyborczym" nikogo do niczego od dawna już nie przekonują, co najwyżej do tego, że sądy są upolitycznione, a sędziowie kierują się partyjnymi sympatiami. Instytucja, w zamierzeniu rozsądna, w praktyce sprowadzona została do partyjnych wygłupów. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Kroński odzyskał głos

Doktor Przemysław Witkowski, ekspert „Newsweeka", twierdzi, że „faszyzm" nadchodzi, choć „to nie jest ten rodzaj faszyzmu, który pamiętamy z historii". Ten nowy „faszyzm" (na użytek tego felietonu będę go nazywał faszyzmem Witkowskiego) będzie polegał np. na różnicy praw między obywatelami a nielegalnymi imigrantami. Na drodze faszyzmu (przyimek „do" sugerowałby niepotrzebny dystans) są „półautorytarne Polska i Węgry", „niestabilna Hiszpania", „biedne Portugalia i Grecja". Faszyzm opanowuje język, np. przez „zmianę słowa »płód« na »dziecko nienarodzone«". Faszyści to „bardzo bystrzy ludzie", zakładają „masę gazet, fundacji, stowarzyszeń". „W pierwszej kadencji Sejmu – opowiada dr Witkowski – »Tak mi dopomóż Bóg« powiedziało czterdziestu paru posłów. W poprzedniej, kiedy nie było Lewicy, ponad 400. Krok po kroku zakazano aborcji [...]. O tym mówię, kiedy mówię o faszyzmie, który nadchodzi".

Osobliwość nie powinna być przedmiotem ksenofobicznego śmiechu, nad osobliwymi deklaracjami zawsze warto pomyśleć. Tym bardziej że dobrze znamy świat, o którym mówi ekspert „Newsweeka".

Znamiona faszyzmu Witkowskiego to rozróżnienie między obywatelem i nieobywatelem, np. norma art. 52 konstytucji, zakazująca „wydalenia obywatela" (podczas gdy Rzeczypospolitej nie powinno być wolno wydalać kogokolwiek). Także orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 28 maja 1997 r., domagające się poszanowania życia ludzkiego w każdej jego fazie, od poczęcia. No i czułość męża pytającego żonę, jak się czuje dziecko, które nosi. A także w ogóle konstytucja, przyjęta przez miliony Polaków „w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem". Cała demokracja („masa gazet, fundacji, stowarzyszeń") jest brzemienna faszyzmem.

Tak, warto tego posłuchać, bo widmo rzeczywiście krąży po kraju. Widmo bolszewizmu. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Gdzie jest generał?

Generał Roberto Vannacci wzorowo dowodził elitarnymi jednostkami podczas misji w Afganistanie, Iraku i Somali. Z jakichś powodów mianowano go szefem kartografii sztabu generalnego. Może z rozczarowania, a może z nudów popełnił książkę „Świat na odwrót", o którą kłóci się teraz cała Italia.

Generał wydał 300-stronicowe dzieło własnym sumptem. Dostępne jest jedynie na Amazonie. Za sprawą awantury z udziałem wszystkich mediów i ważnych polityków wynurzenia generała stały się najliczniej sprzedawaną przez Amazon książką w Italii.

Wydaje się, że autor w porywie Weltschmerzu przelał na papier wszystko, co mu się w świecie, a szczególnie w Italii nie podoba. Obserwacje generała są dość banalne. Powiada, że heteroseksualizm to normalność, a homoseksualizm i rodziny gejowskie to odchył od normy. Twierdzi, że idee mniejszości seksualnych i ich potężnego lobby narzucane są heteroseksualistom. Piętnuje praktyki wynajmowania łona. Nie podobają mu się niekontrolowana migracja, feministki i fanatycy walki ze zmianami klimatycznymi. Występuje w obronie tradycyjnej rodziny i roli ojca, jako jej głowy. Nie pojmuje, dlaczego ci, którzy strzelają do rabusiów we własnym domu, są karani. Wskazuje, że wyznawcy takich poglądów stawiani są najpierw przed sądem kapturowym apostołów poprawności politycznej, a potem pod pręgierzem.

W tym ostatnim punkcie generał na pewno miał rację. Na razie został zawieszony i pozbawiony stanowiska. Czeka go postępowanie dyscyplinarne. Opozycja żąda, by został zdegradowany i wyrzucony z armii, a przede wszystkim pozbawiony prawa noszenia broni, bo jest człowiekiem niebezpiecznym.

Obrońcy na ogół przyznają, że niektóre poglądy ideologicznie lokują generała na prawo od Iwana Groźnego. Ale przypominają, że konstytucja zapewnia każdemu wolność słowa i sumienia, także wojskowym. Wskazują też, że karanie za poglądy, którego z taką zaciekłością domagają się postępowcy, to praktyka obskurnych reżimów, niegodna demokratycznego państwa. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl aa5c8ac814

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

KUCHENNA ŚCIEMA?

Życie sobie, a telewizja sobie. Tak przynajmniej wynika z wyznania byłej kelnerki, która uczestniczyła w show TVN „Kuchenne rewolucje". Karolina pojawiła się w programie, gdy Magda Gessler przeprowadzała zmiany w lokalu jej ówczesnej pracodawczyni (swoją drogą „rewolucja" w knajpie Le Papillon Noir zakończyła się totalną katastrofą...). – Ona w programie gra swoją rolę. Jeżeli chodzi o „Kuchenne rewolucje", to była bardzo niemiła wtedy, kiedy miała być niemiła. Była bardzo miła wtedy, kiedy trzeba było być bardzo miłym. Wymieniłyśmy kilka zdań bez kamer i wydawała się otwartą, życzliwą osobą. Uważam, że Magda Gessler jest aktorką, która gra w tym programie – stwierdziła była kelnerka. Co ciekawe, zanim do restauracji przyjechała gwiazda, pojawili się w niej psychologowie. – Oni budują napięcie. Ci psychologowie rozmawiają, szukają sensacji, którą później w odpowiednim czasie mogą wyłożyć. Dopiero wieczorem przyjeżdża Magda Gessler – zdradza Karolina. Była kelnerka ujawniła też, że słynne rzucanie talerzami przez TVN-owską kucharkę to pomysł reżysera, który wybiera odpowiedni moment. – Jak weszła, to była niemiła. Taka bezczelna troszkę. Od razu zbudowałam sobie opinię o niej, jaka beznadziejna osoba. Powiedziała mi np., że dałam jej za ciepłą colę. Takie dźganie, by wszystkich podjuszyć. Reżyser powiedział jej: „Dobra, czekajcie, teraz zmiana kamery i rzuć te talerze na podłogę". No i było tak – włączyli kamerę i ona, że to jest okropne, i rzuciła wszystkie talerze, które się potłukły, na ziemię – wspomina uczestniczka programu. Niby człowiek wiedział...

FOT. PIOTR ZAGIEL/TVN

PO KRUCHYM LODZIE

Stąpa projektantka Ewa Minge. Cóż takiego powiedziała/zrobiła? Ano ośmieliła się stwierdzić, że feminizm tak właściwie nie jest jej w życiu do niczego potrzebny. Wyznanie owo poczyniła w podcaście Żurnalisty. – Ja uważam, że feminizm to jest jakaś totalna głupota. Bo jak świat światem kobiety rządziły tym światem. Byłyśmy szyją niejednej głowy i to mądrą szyją. Uważam, że pozbywamy się ogromnego pierwiastka kobiecości – powiedziała projektantka. – Uważam, że ja nigdy nie odczułam w żaden sposób tego, że jestem kobietą i jestem w czymś gorsza. Mało tego, jeżeli kiedykolwiek gdzieś tam coś się tliło i coś się działo, to potrafiłam taką ripostę dać, tak się zaprezentować w ciągu trzech pierwszych minut, że pan siadał i nie było żadnej dyskusji – wspomina Minge. Co to się zadziało w komentarzach... „Gdyby nie feminizm, to pani nie przeprowadzałaby tego wywiadu teraz"; „Głupotą jest mówienie, że feminizm to głupota. Pani Minge ma charakter i sobie poradzi, a miliony kobiet nie" – komentują oburzone internautki. Do dyskusji włączyła się także jedna z organizacji proaborcyjnych. „Po pierwszym zdaniu wiadomo, że nie wiesz, co to feminizm, kolejne zdania tylko utwierdzają nas w tym przekonaniu, a twoje komentarze są wisienką na tym niesmacznym torcie" – twierdzi ktoś zarządzający instagramowym kontem „Legalna aborcja". Kolejny raz potwierdza się stara i dobrze znana reguła – kobieta może mówić, co uważa, dopóty, dopóki jest to słuszne ideologicznie. Pań „Nieprawomyślnych" wolność słowa nie obejmuje. Przykre.

NOBILITACJA, JAKICH MAŁO

Żeby wyjść nieco z tonacji minorowej, teraz o sukcesie. W skali celebryckiej naprawdę niemałym. W przyszłym roku do TVN wróci program „Mam talent!", lecz ze zmienionym jury. Największe zaskoczenie to wymiana wieloletniej jurorki Małgorzaty Foremniak na znacznie młodszą Julię Wieniawę. „Nie ukrywam, że tego typu nobilitacja nawet nie była w sferze moich marzeń. Kiedy wrócę pamięcią do lat dziecięcych, kiedy zaczynałam swoją przygodę z teatrem, muzyką i filmem, czasem chodziłam na widownię »Mam talent« czy innych programów i jedynie marzyłam, żeby mi również kiedyś ktoś dał szansę. Wciąż nie mogę uwierzyć, że teraz to ja zasiądę w jury i będę mogła przyczynić się do odkrycia wielu wspaniałych talentów i dać tym programem szansę na przykład jakiejś innej małej, marzącej Julce" – emocjonuje się Wieniawa w mediach społecznościowych. „Mam nadzieję, że stanę na wysokości zadania, bo to duża odpowiedzialność. Będę wdzięczna za Wasze szczere wsparcie na żywo, jak i to wirtualne" – dodała. Można by napisać coś o tym, czym naprawdę „jest duża odpowiedzialność" i „nobilitacja", ale obejdzie się bez żadnych złośliwości. Tych wystarczy w sieci.

NA TRONIE W KORONIE

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa". Rozkręca się kampania wyborcza aż miło. A wraz z nią nasze gwiazdy, którym to „nie jest obojętne". Kinga Rusin zaprezentowała np. swoją wersję pytań referendalnych (rzecz jasna sama idea referendum jest dla prezenterki oburzająca). Oto niektóre z nich: „Czy chcesz, by posłowie partii rządzącej dalej kradli wszystko co popadnie?". „Czy chcesz, by partia rządząca dalej łamała konstytucję, przejmowała dla siebie media, prokuraturę, sądy, gwarantując sobie nietykalność (model podobny do komunistycznego PRL)?". „Czy chcesz Jarosława K. na tronie w koronie?" – kpi Kinga Podróżniczka. Może tylko dwa słowa à propos ostatniego pytania: Gdzie wady? ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, był kiedyś taki zespół Queen, dawno temu, w czasach, kiedy według boomerów istniała jeszcze prawdziwa muzyka, a Zbigniew Hołdys nie korzystał z mediów społecznościowych. I tenże zespół Queen nagrał piosenkę pt. „Fat Bottomed Girls".

Jeśli nie wiecie, co to znaczy, to sprawdźcie w słownikach, my wiemy i się wstydzimy tłumaczyć, jest to bowiem strasznie anty body positive, a nawet otwarcie body shamingujące. Tytuł wprost ze średniowiecza.

Natomiast dobra wiadomość jest taka, iż na najnowszej kompilacji największych przebojów grupy Queen piosenka ta nie znalazła miejsca. Of kors jako w oczywisty sposób obraźliwa i nieprzystająca do współczesnych realiów.

Trochę mamy tylko problem z tym, czy cancellowanie utworów wykonywanych przez Freddiego Mercury'ego, który był osobą nieheteronormatywną, może się w tym przypadku obronić. Niestety, nowoczesność niesie ze sobą sporo tego typu pułapek logicznych i mamy nadzieję, iż kiedyś ktoś to jakoś sensownie poukłada.

Trochę się zmartwiliśmy ostatnio, jako iż dowiedzieliśmy się, że Rosja i Indie próbowały z różnym skutkiem lądować na Księżycu swoje sondy, promy czy jak to się tam nazywa.

Of kors nie powinniście nas teraz oskarżać o rasizm – to w ogóle nie o to chodzi. Nie mamy nic przeciwko innym społeczeństwom, natomiast nie możemy nie udawać, iż i w Rosji, i w Indiach brakuje jeszcze sporo świadomości na temat tego, jak powinno zostać urządzone postnowoczesne społeczeństwo zgodnie z zasadą, iżby nikogo nie dyskryminować i nie wykluczać.

No i oczywiście nie jest to temat do żartów ani uszczypliwości. Powinniśmy cierpliwie i czule edukować. Ale do rzeczy.

Otósh nie miejcie nas za osoby o alternatywnym postrzeganiu rzeczywistości, ale tak na 100 proc. nie wiemy, czy na Księżycu nie istnieje życie. To, iż nikt go nie zauważył, nie oznacza, iż go nie ma. Dlatego powinniśmy zakładać, iż jest. Logiczne, nie?

W takim razie czy naprawdę cywilizacja zachodnia, europejska, powinna stać z boku tego wyścigu? Czy raczej powinna zadbać o to, iżby zająć w nim odpowiednie miejsce, tak aby przy pierwszym kontakcie cywilizacji ziemskiej z cywilizacją księżycową przekazać odpowiednie wartości i przeprowadzić narrację o problemach klimatycznych, odejściu od węgla, prawie do wyboru, związkach partnerskich itd.?

Pomyślcie sobie sami, iż osoby kosmiczne mogą mieć zupełnie inne płcie, niż my znamy na Ziemi! To by dopiero było odkrycie, gdybyśmy mogli czerpać doświadczenia i wiedzę z mądrości kosmicznej cywilizacji. A jak tam w ogóle mogłaby wyglądać kwestia zaimków, cancellowania z przestrzeni publicznej (na pewno jakąś mają) twórców, którzy się zasiedzieli w kosmicznym średniowieczu?

Ciekawe, czy mają tam Netflix! Kochani, aż sami nabraliśmy ochoty, iżby polecieć na Księżyc, zastanawiamy się, czy jest jakiś kurs, który moglibyśmy szybko podjąć, a który by to nam mógł umożliwić? Mamy nadzieję, iż warunkiem udziału nie jest jakiś egzamin z matematyki czy testy sprawności fizycznej – to by mogło być naruszenie zasady niewykluczania nikogo z niczego, którą – jak widzimy – należy poszerzyć o kosmos. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Banda pożytecznych idiotów

Donald, kolejne osoby wycofały się z Campusu.
Dzięki za info, Sławek.
To przez tych symetrystów?

Mówią, że tak.
Bardzo mi strasznie nie jest przykro. Jak Rafałek sobie radzi?

Kiepsko.
W panice dziś biegał, krzyczał, że mu się impreza sypie.
Bardzo dobrze.
Mówiłem ci, że tak będzie, jak ci kazałem zrobić ten panel z symetrystami?

Genialny jesteś.
Cały dalszy ciąg przewidziałeś.
Rafał oczywiście nie wie, że działałeś, by tak rzec, zgodnie z moją sugestią?

No skąd!
Dobrze. Swoją drogą ci Silni Razem to niezła banda idiotów.

Ale pożytecznych, Donek.
Pożytecznych. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS modernizuje armię przeciw opozycji, nie wrogom Polski".

PAWEŁ WROŃSKI, *dziennikarz, w tytule tekstu w „Gazecie Wyborczej"*

eprasa.pl aa5c8ac814

dwaj panowie g

Skoro kampania, to zaczynamy od życia sztabów. Jest problem. Ten problem nazywa się Łukasz Mejza. Otóż w okręgu, z którego miałby ponoć startować, wszyscy PiS-owcy się zaklinają na największe świętości, że oni do jego kampanii ręki nie przyłożą. Wiewiórki ćwierkają jednak, że nic nie jest ustalone, a Szeregowy Nadpremier Jarosław Kaczyński się waha. A wahanie aktualnie jest bardziej antymejzowe, gdyż zaskoczył go Bielan publiczną deklaracją, że Mejza wystartuje. Naczelnik, widzicie, bardzo nie lubi, jak się z nim rozmawia poprzez media i w dodatku metodą faktów dokonanych.

W Szczecinie – smuteczek. Nie będzie niestety zapowiadanego przez nas pojedynku profesorów. Dwóch profesorów medycyny, którzy szczerze nie znoszą cieciej osoby w państwie, czyli marszałka Grodzkiego, odmówiło ostatecznie stanięcia z nim w wyborcze szranki. Jeden z nich uzasadnił swoją odmowę słowami: „To człowiek bardzo mściwy". A pomyśleć, że my do tej pory ciecią osobę, znaną też jako marszałkissimus, mieliśmy za krainę łagodności.

Brak profesorów medycyny nie kończy jednak tematu. Ktoś musi stanąć do pojedynku z marszałkissimusem Grodzkim. I ma to być lokalna radna PiS Agnieszka Kurzawa. Nie słyszeliście o niej? Cóż, a kto w 2015 r. – oprócz nas – słyszał o Andrzeju Dudzie?

Niektórzy zastanawiają się, dlaczego jeszcze nie ogłoszono, którzy z europosłów PiS będą wzmocnieniem list do Sejmu. Wyjaśniamy. Jako że są to nazwiska znane, to budzą uzasadniony lęk wśród obecnych posłów martwiących się o reelekcję. Dlatego nowiny o brukselskich importach zostaną ujawnione dopiero po ostatnich ważnych głosowaniach w Sejmie. Żeby żadnemu szeregowemu posłowi nie przyszło do głowy strzelić focha ze względu na nową konkurencję do pozycji jedynki na liście.

Skoro kampania, to i procesy w trybie wyborczym. Bardzo lubimy tę konkurencję, podobnie jak szachy błyskawiczne. Znacie na pewno liczne żarty w duchu poniższego. Powód: „Wysoki sądzie, pozwany nazwał mnie wyjątkowym łajdakiem!". Sąd: „A nie jesteście łajdakiem?". Powód (z oburzeniem): „Jestem, ale żeby zaraz wyjątkowym?!". Tak nam się przypomniało, na marginesie procesu w trybie wyborczym o to, czy bezrobocie za PeŁo wynosiło 15 proc. czy może tylko 14,4 proc.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z okazji rozkwitającej kampanii wyborczej przywracamy też naszą ulubioną, dawno niewidzianą rubrykę „Tytuł tygodnia". Oto zwycięzca z portalu tvp.info: „Przepychanki na wiecu Trzaskowskiego. Wylegitymowano posła Nitrasa". Niestety, z samego tekstu nie wynika, żeby Nitras rozbijał wiec Trzaska. A szkoda. Well, w sumie jak patrzymy na listę nieobecnych wśród kandydatów PeŁo, to większe powody do rozbijania wieców ma Sławomir Neumann. I nie Trzaska, tylko Tuska.

Kto czyta sondaże, ten wie, że optymizm PiS, o którym pisaliśmy tydzień temu, ma podstawy. Te podstawy to wyczyny Złego Donalda z Sopotu i jego kamandy, które ładnie przekładają się na różne takie słupki. Ale dziś ujawnimy jeszcze jedną podstawę. Otóż nie uwierzycie nawet, z jakim entuzjazmem przyjęto to, że cała Trzecia Droga opowiedziała się za szybkim przyjęciem euro. To że Szymon Płaczliwy – nie dziwi. Ale to, że Władek Tygrys-Kamysz, to już wzbudziło aplauz. Nie, nie na wsi. W sztabie. Nie, nie w sztabie Trzeciej Drogi.

Skoro już o Trzeciej Drodze. Miał z jej list kandydować Bogusław Sonik. Ale nie będzie. Bardzo ładnie uzasadnił swoją rezygnację: „Chciałem odzyskać wolność i swobodę myślenia

eprasa.pl aa5c8ac814

i wypowiedzi". Przypominamy, że zanim w jego życiu pojawiła się Trzecia Droga, Sonik przez wiele lat był politykiem PeŁo. I teraz pomyślcie – jeśli z wyłuszczonych powyżej powodów porzucił listy Tygrysa-Hołowni-Kamysza, na które uciekał z PeŁo, to jak źle musiało być wcześniej u Donalda.

Tymczasem znany konfederata Sławomir Mentzen chce, żeby Polską wreszcie rządzili młodzi (znaczy on), a „wrzeszczących staruszków" – Tuska i Kaczafiego – zamierza wysłać na emeryturę. Mamy niewesołe wieści dla Mentzena. Jego młodość to wątpliwy atut. Otóż Mentzen skończy jesienią 37 lat. Donald w tym wieku miał już za sobą trzy lata szefowania KLD, która to partia współtworzyła dwa rządy, a trzeci obaliła. A Jarosław zdążył zapisać ładną kartę w KOR, Solidarności, „Głosie" i nawet współzałożyć Komitet Helsiński w Polsce, choć były to czasy ponurej dyktatury Jaruzela. O to, co zdążył przez 37 pierwszych lat życia zrobić Korwin-Mikke, to już Mentzen może pana Janusza zapytać osobiście.

Dwaj Panowie T. Tak mógłby się nazywać serial o europejskiej polityce. Oto pomysł ramowy: rok 2014, szef rządu dużego europejskiego kraju porzuca fotel premiera na pierwszy dźwięk słów: „stanowisko w Brukseli". Rok 2023. Jeden pan ze stanowiska w Brukseli porzuca je na pierwszy dźwięk słów: „fotel premiera". W dodatku pierwszy pan T. szedł na pewniaka, a ten drugi pan T. ostro ryzykuje, bo najpierw musi zorganizować koalicję i wygrać wybory. Czego jednak nie robi się dla własnego kraju. Zapytajmy więc: Kto tu jest większym patriotą? Wychodzi, że od Tuska – nawet Timmermans.

Eine Totalopposition niezmiernie podnieca się nową książką. I o dziwo nie jest to książka Tomasza Piątka ani Olgi Tokarczuk. Otóż chodzi o książkę niejakiego Kamila Dziubki o PiS. Tymczasem nasze wiewiórki donoszą, że książka pierwotnie miała być grubsza, ale wyleciały z niej obszerne fragmenty – po tym, jak wydawca wyrywkowo sprawdził prawdziwość kilku informacji. A że ów wydawca ma w świecie polityki dobre kontakty, to dajemy temu wiarę. Szkoda, że nie ma szerszych. Gdyby bowiem sprawdził wszystko, co ma się w książce ukazać, to pewnie mogłaby w ogóle nie wyjść.

Czytaliśmy m.in. fragmenty poświęcone niejakiej Paczce. Czyli Marzenie Paczuskiej, niegdysiejszej szefowej „Wiadomości", a obecnej członkini Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Dziubka zrobił z niej potwora na podobieństwo Kury. Każdy zaś, kto Paczkę zna, wie, że jest ona damą. Stanowczą, ale damą. Pewnych jednak rzeczy nie potrafi i dziwnym trafem są to rzeczy, które przypisuje jej Dziubka.

Nawiasem mówiąc, w środowisku dziennikarzy znany jest fakt, że Dziubka w stosunki do Paczki ma tzw. zaleganie afektu, i to od kilkunastu lat. Pracował kiedyś w „Wiadomościach", robiąc tzw. ogony. Swoją szansę na rozwój dostrzegł w 2010 r., kiedy w TVP zbliżały się platformerskie czystki. Po zwycięstwie Komorowskiego wysłał do swojego znacznie zdolniejszego kolegi Marka Pyzy triumfalny SMS: „Twój czas się skończył". ©℗

REKLAMA

ROK 1605.
POLSKIE WOJSKA WKRACZAJĄ DO MOSKWY.

Oto historia straceńców, którzy wrogów liczyli dopiero po bitwie. Zabitych.

Oto historia ludzi tak szalonych, że poszli w tany z samą Śmiercią. Tak zuchwałych, że uwiedli Fortunę. Tak dumnych, że diabłu plunęli w twarz. I tak hojnych, że za przyjaciół płacili tylko krwią i życiem.

Oto historia awanturników i husarzy, którzy wstrząsnęli murami Moskwy i sięgnęli po koronę carów.

eprasa.pl aa5c8ac814

NAMO

DONALD TRUMP W ARESZCIE

Były prezydent USA w ubiegłym tygodniu (24 sierpnia) musiał stawić się w areszcie w hrabstwie Fulton w stanie Atlanta. Tam został formalnie zatrzymany i usłyszał 13 zarzutów. Głównym z nich jest udział w grupie przestępczej, której celem było nielegalne obalenie wyniku wyborów w 2020 r. w stanie Georgia. Oprócz byłego prezydenta zarzuty usłyszało w tej sprawie jeszcze 18 innych osób, w tym m.in. szef personelu Białego Domu Mark Meadows oraz prawnik Rudy Giuliani.

Prawnicy Donalda Trumpa wynegocjowali wcześniej w sądzie, jak będzie wyglądała procedura stawiania zarzutów. Zgodnie z tymi warunkami były prezydent po postawieniu zarzutów mógł wyjść z aresztu za kaucją wynoszącą 200 tys. dol. Trump spędził więc w budynku tylko 20 minut, w trakcie których oprócz wysłuchania zarzutów został zmierzony i zważony. Wykonano mu też policyjną fotografię.

– Nie zrobiłem nic złego – powiedział Donald Trump po opuszczeniu budynku aresztu w Fulton. I dodał: – Mamy pełne prawo kwestionować wybory, które naszym zdaniem były nieuczciwe.

Wcześniej były prezydent USA został już postawiony w stan oskarżenia w sądach na Florydzie, w Waszyngtonie i w Nowym Jorku. W pierwszym z tych sądów oskarżenie dotyczy przetrzymywania tajnych dokumentów. W drugim – nielegalnych prób utrzymywania się przy władzy, a w trzecim sprawa dotyczy płacenia za milczenie aktorce porno podczas kampanii wyborczej w 2016 r. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

FOT. ALYSSA POINTER/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

FOT. FULTON COUNTY SHERIFF'S OFFICE

Łukasz Warzecha

Pogoda dla

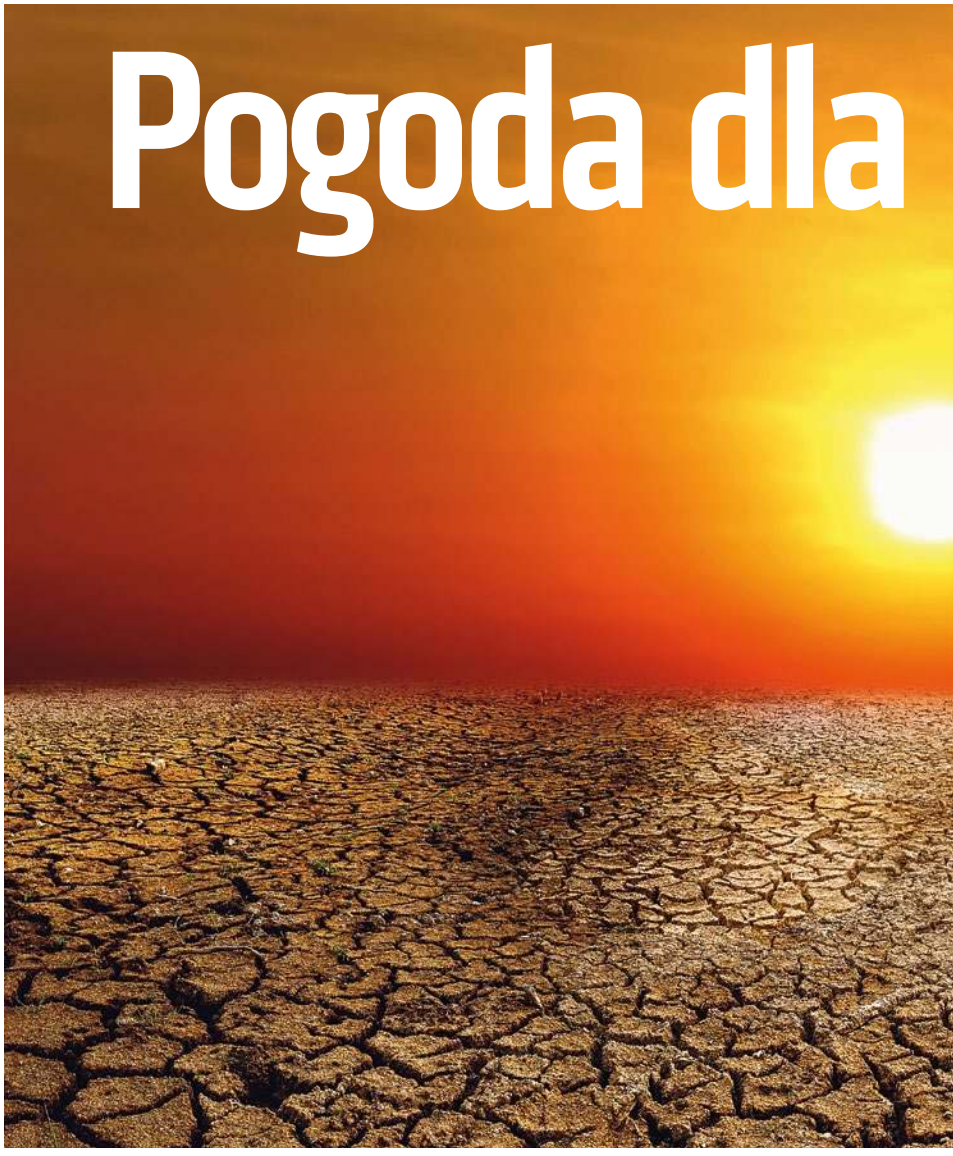

Mapy pogodowe zalane czerwienią, alerty RCB, utrzymane w apokaliptycznym tonie wystąpienia klimatystycznych proroków – wszystko to jest częścią pseudonauki i pseudonaukowej propagandy

W chwili, gdy piszę ten tekst, za oknem jest dokładnie 33,6 stopnia Celsjusza. Tak jest już od kilku dni, a ma być przez kolejnych kilka. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego – jest lato i w Polsce temperatury powyżej 30 stopni są czymś naturalnym. Zresztą, gdy wspomnieć lipiec, który podobno był „najcieplejszy w historii pomiarów" (choć akurat nie w Polsce), było przez większość czasu raczej chłodno. Jednak z różnych stron płyną mniej lub bardziej subtelne impulsy oraz indoktrynacja mające nas przekonać, że mamy do czynienia nie z normalną pogodą, ale ze zjawiskami absolutnie wyjątkowymi i ekstremalnymi.

Bardzo możliwe, że u progu obecnej fali upałów usiłowało się do mnie dobić Rządowe Centrum Bezpieczeństwa ze swoim alertem. Nie dobiło się, ponieważ alerty RCB kilka tygodni temu zablokowałem – szczęśliwie używana przeze mnie aplikacja do wiadomości daje taką możliwość (choć zapewne rząd, dbający o mój dobrostan jak o dobrostan zwierząt hodowlanych, chciałby mi ją odebrać). Alerty RCB zablokowałem – dobrze to pamiętam – gdy zwiedzałem w Giżycku XIX-wieczną Twierdzę Boyen. Był to jedyny naprawdę bardzo gorący dzień podczas mojego kilkudniowego pobytu na Mazurach w lipcu tego roku. Szedłem właśnie trasą straży twierdzy i podziwiałem jeden z koszarowców, gdy na telefon dotarł alert. Rządowe Centrum Bezpieczeństwa informowało mnie, że jest gorąco i dalej będzie. Apelowało, żebym się nawadniał oraz unikał wysiłku. Zabrakło tylko wezwania jak w czasie pandemii, które w lapidarnej formie przybierało postać wezwania: „siedź na d….".

Nie był to oczywiście pierwszy raz, gdy RCB informowało mnie o zjawisku pogodowym oczywistym o danej porze roku. Zimą dostawałem powiadomienia o tym, że ma być gołoledź albo będzie mocno padał śnieg. Niezależnie od pory roku – o tym, że będzie mocno wiać albo spadnie grad. To się zresztą niemal nigdy nie sprawdzało. Teraz, latem, RCB postanowiło mnie oświecić, że jest gorąco. Miarka się przebrała – wysyłane po kilka razy w miesiącu alerty zostały na zawsze przeze mnie zablokowane. Dewaluacja powiadomień RCB to zresztą temat na odrębny tekst.

Moja irytacja wzięła się i stąd, że alert odebrałem jako kolejną próbę tresowania mnie oraz straszenia czymś, co jest w gruncie rzeczy całkowicie normalne. Ludzie przeżyli tysiąclecia bez alertów RCB, mówiących im, co mają robić, kiedy rośnie temperatura, i jakoś ludzkość nie wyginęła.

KLIMAT A POGODA

Może jednak faktycznie mamy do czynienia z czymś niezwykłym? No to sprawdźmy, jakie były na obecnym obszarze RP w ciągu ostatnich mniej więcej 100 lat rekordy ciepła. Okazuje się, że dzisiejsze 33 stopnie są daleko od nich. W Kołobrzegu w sierpniu 1992 r. – 38 stopni. O 0,1 stopnia więcej na Podkarpa-

eprasa.pl aa5c8ac814

klimatystów

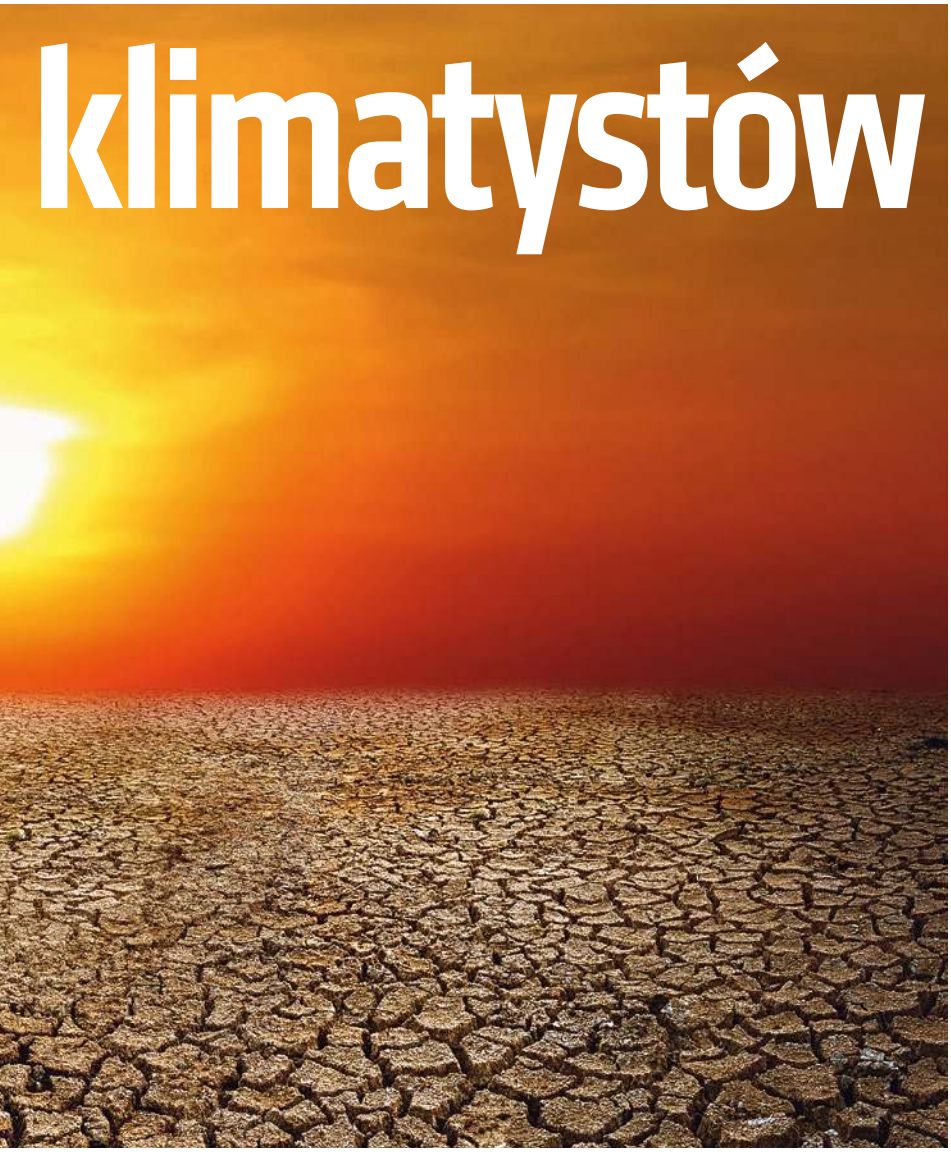

FOT. ADOBE STOCK

ciu w lipcu 1957 r. 38,2 stopnia w Chrzanowie w Małopolsce w sierpniu 1921 r. 38,7 stopnia w Złotym Potoku na Śląsku – także w sierpniu 1921 r. Było to bowiem wyjątkowo gorące lato. 39,5 stopnia w Słubicach było 30 lipca 1994 r. A rekordowe 40,2 stopnia odnotowano w Prószkowie w na Opolszczyźnie, na terenie dzisiejszej Polski, wówczas w Republice Weimarskiej – również w 1921 r., tyle że w lipcu. Ja sam pamiętam luty 1990 r., kiedy temperatura sięgnęła ponad 20 stopni i chodziło się przez kilka dni w krótkim rękawie. Nikomu nie przyszło wtedy do głowy histeryzować, że to początek końca planety.

Właściwie nie wiem, jak to możliwe, że ludzkość jeszcze trwa. Bo przecież w wypowiedzi dla Medonetu jeden z klimatystycznych guru, który prezentował swoje mądrości także na konwencji Koalicji Obywatelskiej kilka miesięcy temu – prof. Szymon Malinowski – oznajmił, że przy 35 stopniach Celsjusza ludzki organizm przestaje działać. Malinowski, twórca serwisu Nauka o Klimacie, od lat specjalizuje się w apokaliptycznych przepowiedniach, zgodnie z wytyczną szczerze kiedyś wygłoszoną przez Gretę Thunberg: „Chcę, żebyście się bali". Nie chodzi więc o to, żeby podejść do sprawy rzetelnie, ale o to, aby wpłynąć na ludzkie emocje tak, żebyśmy byli pewni, że stoimy na skraju apokalipsy.

Tu dochodzimy do fundamentalnej różnicy pomiędzy klimatem a pogodą. Jasne jest, że klimat to co innego niż pogoda. O klimacie, takim lub innym, możemy mówić dopiero, obserwując znacznie dłuższy okres, ale nawet tutaj łatwo można manipulować. Można np. zmiany klimatu nie umieszczać w kontekście innych podobnych z przeszłości. Albo ograniczać ten kontekst w taki sposób, żeby uciąć niewygodne historyczne dane. Albo uwzględniać tylko określony, specyficzny obszar. I tak dalej, i tak dalej. Laik nie jest w stanie tych manipulacji wychwycić, ponieważ nie ma oczywiście dostępu do całości danych, nie umie ich też czytać. Wystarczy zaświecić mu przed oczami słowami „nauka" lub „naukowiec", żeby z pokorą przyjął wygłaszane ex cathedra twierdzenia, nie zadając żadnych pytań.

PSYCHOLOGICZNE ODDZIAŁYWANIE

Fenomen klimatystycznej propagandy polega na tym, że obraca ona każdy fakt na swoją korzyść, nawet jeśli nie pasuje do opowieści. Jest bardzo gorąco? Proszę, oto dowód na globalne ocieplenie. Jest wyjątkowo chłodno, choć powinno być ciepło? To nie jest dowód na nic, to tylko pogoda, nie klimat.

Wtedy pojawiają się „objaśniacze" tacy jak wspomniany prof. Malinowski, wieszczący upadek ludzkości z wyżyn całej swojej profesorskiej godności. Albo pompowany niemiłosiernie przez część mediów niepraktykujący prawnik, który sam mianował się naczelnym ekspertem od klimatu w Polsce, Jakub Wiech. Oni podają ludziom gotową papkę, która ma ich odpowiednio emocjonalnie nastroić.

Tak działa też Międzyrządowy Panel ds. Zmian Klimatu (IPCC), na którego raporty chętnie powołują się kapłani klimatystycznej histerii. Bjørn Lomborg, jeden z krytyków przyjętej na świecie polityki klimatycznej (aczkolwiek podzielający opinię o zmianach klimatycznych), w swojej ostatniej książce „False Alarm" zauważa, że pomiędzy tym, co IPCC pisze w głównej części swoich raportów, a tym, co następnie zostaje umieszczone w podsumowaniu („Summary for Policymakers") przeznaczonym dla polityków, decydentów oraz publiczności, są wielkie różnice. To drugie opiera się na rażących uproszczeniach, przesadzie i pisane jest w alarmi-

eprasa.pl aa5c8ac814

stycznym tonie, podczas gdy w głównej części raportu wiele jest przypuszczeń, chwiejnych założeń, warunkowości. Wciąż powtarzają się słowa „najprawdopodobniej", „możliwe, że", „zapewne".

Psychologiczne oddziaływanie jest subtelnie przekazywane nawet poprzez wygląd map pogodowych na portalach internetowych albo w telewizjach. Temperatury wysokie, ale normalne latem, są od kilku lat oznaczane intensywnie czerwonym kolorem, podczas gdy kiedyś był to kolor żółty, ewentualnie przechodzący w pomarańczowy.

W tym roku byliśmy już straszeni rzekomo wyjątkowymi i straszliwymi pożarami, które wybuchły m.in. w Grecji, we Włoszech czy w Hiszpanii. Nikt jednak nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście mamy do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym. Pożary nie wybuchają też same z siebie. Pod koniec lipca władze Grecji poinformowały, że większość spośród ponad 660 pożarów lasów, które wybuchły w tym sezonie, zostało wywołanych przez ludzi.

L.G. Liacos z Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa Uniwersytetu Arystotelesa w Salonikach opublikował w grudniu 2015 r. w międzynarodowym periodyku naukowym „Fire Ecology" („Ekologia pożarów") artykuł poświęcony historii pożarów w Grecji. Czytamy w nim m.in., że w latach 1956–1971 liczba pożarów lasów czy zarośli wynosiła średnio 612. Dowiadujemy się także, że – podobnie jak obecnie – wiele pożarów, ok. 60 proc., zostało spowodowanych przez ludzką nieostrożność. Przyczyną wzrostu ich liczby jest rozrastanie się populacji, w tym przedmieść miast, a więc znacznie większa liczba okazji do zaprószenia ognia. W dodatku w strefie śródziemnomorskiej występowaniu pożarów sprzyja rodzaj roślinności.

Gdy mowa o stratach, mogą one być znacznie wyższe niż 50 czy 70 lat temu – po prostu dlatego, że ludzie więcej posiadają. Kiedyś pożar niszczył prostą chałupę z podstawowymi sprzętami – dzisiaj niszczy wygodny dom pełen drogiego wyposażenia.

KTO JEST WINNY?

Wszystko to oczywiście nie oznacza, że zmiana klimatu nie następuje i nie przyczynia się do większego wysuszenia gleby, czyli nie tworzy lepszych warunków dla ognia. To możliwe. Pytanie brzmi, czy istnieje jakikolwiek dowód, że winny jest człowiek. Takim dowodem nie są bowiem modele komputerowe – na które najczęściej powołują się piewcy klimatycznej apokalipsy – ponieważ wystarczy tam w danych wejściowych zmienić minimalnie któryś z parametrów, aby otrzymać całkowicie odmienny rezultat końcowy. Wyniki symulacji zwykle są przedstawiane w formie sygnalizującej pewną rezerwę: „bardzo prawdopodobne jest", „bardzo możliwe jest" itd.

Większość spośród 660 pożarów lasów w Grecji, które wybuchły w tym sezonie, spowodowali ludzie

Tu na scenę wkracza John Clauser, fizyk kwantowy, 81-letni noblista z 2022 r. w swojej kategorii. Jak powiedział kilka tygodni temu na kongresie Quantum Korea 2023, nawiązując do swojej specjalności: „Całe życie mogłem rozmawiać z Bogiem, chociaż jestem ateistą".

Dalej Clauser mówił, zwracając się do młodych koreańskich naukowców: „Dobra nauka jest zawsze oparta na dobrych eksperymentach. Doświadczenie jest zawsze ważniejsze niż spekulacje i teorie […]. Świat jest dzisiaj zalewany przez złą naukę, pseudonaukę. Przez naukową dezinformację". Według noblisty na świecie rozpowszechnione jest obecnie zjawisko wykorzystywania nauki dla oportunistycznych celów. Politycy, liderzy opinii, decydenci są łatwo oszukiwani przez pseudonaukę, a czasami sami uczestniczą w jej tworzeniu. Zdaniem Clausera młodzi naukowcy powinni stać się weryfikatorami faktów, pracującymi w oparciu o dobrze przeprowadzane eksperymenty.

Clauser tłumaczył, że miejsce prawdy zajmuje obecnie często postrzeganie prawdy – co nie jest tożsame. Postrzeganie buduje się poprzez propagandę i, by użyć angielskiego określenia, poprzez spin. „Jeśli da się to [dany pogląd] sprzedać, to musi być prawda. Jeśli się nie da, to musi być fałsz" – wywodził Clauser. Dalej oznajmił: „Moim zdaniem IPCC jest jednym z najgorszych źródeł dezinformacji […]. Uważam, że zmiana klimatu to nie żaden kryzys […]. W sprawie zmian klimatu uważam, że kluczowe procesy zostały przecenione dwustukrotnie". Puentując, Clauser stwierdził, że jeśli uprawia się dobrą naukę, to może to nas dzisiaj zaprowadzić w niepoprawne politycznie rejony. „Jeżeli jednak jesteście dobrymi naukowcami, to podążycie w tym kierunku" – powiedział.

Na koniec oznajmił: „Nie ma żadnego kryzysu klimatycznego, a zmiana klimatu nie powoduje ekstremalnych zjawisk klimatycznych".

Clauser podczas swojego wstępnego wystąpienia w Korei jedynie zarysował problemy, ale zrobił to stuprocentowo trafnie, gdy idzie o sytuację świata naukowego. Jego ostra opinia na temat zmian klimatycznych dotyczy przede wszystkim nie tyle klimatologii per se, ile matematycznych modeli, których używa m.in. IPCC do tworzenia prognoz oraz dowodzenia, że za zmiany klimatyczne odpowiada przede wszystkim człowiek. W tej dziedzinie trudno Clausera uznać za niekompetentnego.

Bardziej szczegółowo o swoich ustaleniach miał Clauser mówić w lipcu na specjalnym seminarium w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Seminarium zostało jednak niespodziewanie odwołane. Interpretacja tej decyzji przez kręgi kibicujące naukowcowi była oczywista: MFW boi się tego, co mogłoby paść z mównicy.

Warto się nad słowami ubiegłorocznego noblisty zastanowić, zwłaszcza gdy mówi o robieniu pseudonauki na zamówienie oraz o wartości eksperymentu i doświadczenia w relacji do teoretycznych rozważań czy modeli. Cała klimatystyczna narracja nie opiera się bowiem na doświadczeniu – takiego być nie może, ponieważ nie da się robić doświadczeń na planecie i atmosferze – ale właśnie na modelach, których żaden laik nie jest w stanie zweryfikować.

To, czym się nas epatuje każdego dnia – mapy zalane czerwienią, alerty RCB, utrzymane w apokaliptycznym tonie wystąpienia klimatystycznych proroków – wszystko to jest częścią pseudonauki i pseudonaukowej propagandy, o której mówił Clauser. Pozostaje mieć nadzieję, że sens jego słów dotarł do młodych Koreańczyków, którzy są być może mniej zindoktrynowani niż ich europejscy odpowiednicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

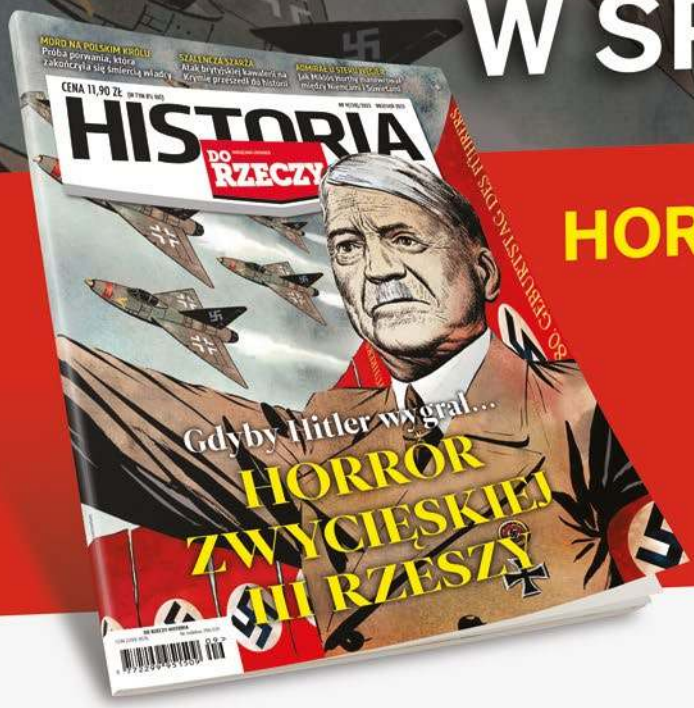

HORROR ZWYCIĘSKIEJ II RZESZY

Niemieckie plany wobec Europy po wygranej wojnie

Największy błąd Hitlera – Dlaczego Niemcy zdecydowali się na krok, który doprowadził do ich upadku?

Plan Germania – W 1950 r. przebudowana stolica Niemiec miała stać się tak wspaniała jak starożytny Rzym

Mord na królu Polski – Próba porwania Przemysła II zakończyła się zabójstwem monarchy

Zbrodnia 00486 – Ten rozkaz oznaczał koszmar dla żon i dzieci mężczyzn skazanych w wielkim terrorze

Szaleńcza szarża Brytyjczyków – Absurdalny atak kawalerii pod Bałakławą przeszedł do historii

Admirał u steru Węgier – Jak Miklós Horthy manewrował między Niemcami i Sowietami

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl aa5c8ac814

Oszustwo klimatycznego konsensusu

FOT. ADOBE STOCK

Mariusz Jagóra

Skąd wziął się mit, że 97 proc. naukowców zgadza się z poglądem, iż to człowiek powoduje zmiany klimatu i doprowadzi nas to do rzekomej katastrofy?

Jednym z najczęstszych argumentów alarmistów klimatycznych w ich zaciekłym ataku na „denialistów" jest twierdzenie, że przecież 97 proc. naukowców zgadza się z tym, że ludzie są przyczyną zmian klimatycznych, które są poważne i stanowią wielkie zagrożenie dla naszej planety, więc jasne jest, że potrzebujemy drastycznej redukcji emisji dwutlenku węgla. Przytaczanie badań, opinii naukowców, którzy dowodzą fałszu tych tez, nie zdaje się na wiele, bo to przecież trzyprocentowy margines naukowy, nawet jeśli krytyka pada z ust noblisty.

Jak się jednak okazuje, opinia, że istnieje 97-procentowy konsensus w sprawie antropogenicznego globalnego ocieplenia, to kłamstwo opierające się na prymitywnej manipulacji. Jest propagowane przez tych, których ideologicznemu programowi to służy. To świetna licencja na zastraszanie.

W rzeczywistości tylko 1,6 proc. naukowców zgadza się z powyższymi stwierdzeniami dotyczącymi zmian klimatycznych. Istnieje duża różnorodność poglądów wśród klimatologów, geologów, chemików, fizyków na temat natury i przyczyn możliwych zmian w globalnym klimacie i jeszcze większa różnorodność opinii wśród ekspertów energetycznych na temat najlepszego sposobu na transformację energetyczną.

Mit dotyczący 97-procentowego konsensusu naukowego zyskał globalną popularność dzięki tweetowi Baracka Obamy z 16 maja 2013 r. „97 proc. naukowców zgadza się – zmiana klimatu jest prawdziwa, spowodowana przez człowieka i niebezpieczna" – napisał wówczas i odesłał do artykułu opublikowanego przez Reutersa, który ogłosił, że „97 proc. naukowców twierdzi, że globalne ocieplenie jest głównie spowodowane przez człowieka, ale powszechne przekonanie opinii publicznej, że eksperci są podzieleni, utrudnia uzyskanie poparcia dla polityki mającej na celu ograniczenie zmian klimatu, wykazało międzynarodowe badanie".

STATYSTYCZNA SZTUCZKA

Tym „badaniem" był list, opublikowany w 2013 r. przez IOP Science w „Environmental Research Letters", autorstwa Johna Cooka, kontrowersyjnego działacza na rzecz ochrony środowiska, który prowadzi alarmistyczną stronę internetową SkepticalScience.com – wirtualną encyklopedię argumentów w obronie przed krytykami prognoz katastrofalnych zmian klimatu. List był zatytułowany „Ilościowe określenie konsensusu w sprawie antropogenicznego globalnego ocieplenia w literaturze naukowej" (John Cook et al 2013 Environ. Res. Lett. 8 024024) i został pomyślany jako projekt „nauki obywatelskiej" realizowany przez wolontariuszy współtworzących stronę internetową Skeptical Science.

W marcu 2012 r. autorzy listu przeszukali ISI Web of Science – bibliograficzną bazę danych artykułów naukowych z 22 tys. recenzowanych czasopism z całego świata – pod kątem artykułów opublikowanych w latach 1991–2011, używając haseł „globalne ocieplenie" lub „globalne zmiany klimatu". W otrzymanych wynikach wyszukiwania (11 944 prac) analizowano wyłącznie streszczenia badań, szukając poparcia tezy na istnienie konsensusu naukowego w sprawie antropogenicznego globalnego ocieplenia (AGW). Stwierdzono, że 97,1 proc. abstraktów popierało konsensus, iż ludzie powodują globalne ocieplenie.

Analizy metodologii tego „badania" ujawniają, że Cook dopuścił się manipulacji. Znalezione artykuły podzielił na siedem różnych kategorii. Pierwsza zawierała artykuły (64), które jasno stwierdzały, że globalne ocieplenie istnieje i jest w co najmniej 50 proc. spowodowane przez człowieka. Druga kategoria (922 artykuły) zawierała abstrakty, w których stwierdzono, że człowiek odgrywa jakąś rolę w globalnym ociepleniu, ale w żaden sposób nie określono ilościowo tej roli. Trzecia (2910) to prace mówiące, że ogólny wzrost CO_2 ma wpływ na ocieplenie. Czwartą kategorię (7970) stanowiły artykuły, które w ogóle nie komentowały roli człowieka lub utrzymywały, że nie jest jasne, czy człowiek odgrywa jakąkolwiek rolę w zmianach klimatu. W piątej kategorii (54) John Cook umieścił artykuły, które sugerowały, że ludzkość ma minimalny wpływ na globalne ocieplenie. Szóstą kategorię (15) stanowiły artykuły, które stwierdzały, że ludzkość prawdopodobnie nie ma żadnego wpływu na globalne ocieplenie, w siódmej zaś (9) znalazły się prace, które jednoznacznie dowodziły, że człowiek ma mniej niż 50 proc. wpływu na globalny klimat.

Cook połączył kategorie 1–3 w jedną grupę „konsensusu", co stanowiło 33 proc. wszystkich artykułów. Zdecydowana większość jednak – 67 proc. – należała do kategorii czwartej, czyli artykułów, które nie komentowały roli człowieka w globalnym ociepleniu. W stosunku do tej grupy Cook zastosował „sztuczkę statystyczną" – po prostu pominął te badania w analizie,

eprasa.pl aa5c8ac814

powodując procentowy wzrost grupy „konsensusu" z 33 do 97 proc. W ten sposób narodził się mit 97-procentowego konsensusu naukowego.

W tej połączonej do analizy grupie tylko streszczenia badań z poziomu pierwszego twierdzą, że Ziemia się ociepla, a emisja gazów cieplarnianych przez człowieka jest tego główną przyczyną – a to stanowi jedynie 1,6 proc. wszystkich analizowanych prac. To jest prawdziwy poziom „konsensusu" naukowego w tej sprawie.

Po opublikowaniu listu Cooka wielu naukowców zauważyło, że twierdzenie o 97 proc. jest celowym wprowadzeniem w błąd, mającym na celu zastraszenie opinii publicznej – i wielu z tych, których prace zostały sklasyfikowane przez Cooka, zaprotestowało. Doktor Richard Tol: „Badanie Cooka obejmowało 10 z moich 122 kwalifikujących się artykułów. 5/10 z nich zostało ocenionych nieprawidłowo. 4/5 zostało ocenionych jako popierające, a nie neutralne". Doktor Craig Idso: „To nie jest dokładne przedstawienie mojego artykułu...". Doktor Nir Shaviv: „Nie... to nie jest dokładna reprezentacja".

Aby dotrzeć do prawdy, portal PopularTechnology.net wysłał e-maile do wybranych naukowców, których artykuły zostały wykorzystane w badaniu z pytaniem, czy kategoryzacja zespołu Cooka jest dokładnym odzwierciedleniem ich artykułu. Odpowiedzi są dowodem na to, że fałszywie sklasyfikowano artykuły wielu z nich jako „popierające antropogeniczne globalne ocieplenie".

Astrofizyk Nir J. Shaviv komentował to tak: „Nauka to nie demokracja, nawet jeśli większość naukowców myśli jedno (i przekłada się to na większą liczbę artykułów), niekoniecznie mają rację. Co więcej, jak widać na powyższym przykładzie, sama analiza jest błędna, a mianowicie nie określa nawet poprawnie liczby naukowców ani liczby artykułów, które popierają lub umniejszają znaczenie AGO".

FANATYCY I CENZORZY

Skeptical Science to strona internetowa alarmistów klimatycznych, moderowana przez fanatyków, którzy bezlitośnie cenzurują wszelkie formy sprzeciwu wobec ich alarmistycznego widzenia świata. Deklarowany w nazwie sceptycyzm tyczy wyłącznie badań, które podważają religię antropogenicznych zmian klimatycznych. Strona nigdy nie jest sceptyczna nawet wobec najbardziej ekstremalnych alarmistycznych badań.

Cenzura, szyderstwa i oczernianie dotyczą tam wysoce uznanych i szanowanych naukowców zajmujących się klimatem. W marcu 2012 r. Skeptical Science została zhakowana, a jej zawartość opublikowana w Internecie. W jednym z wątków na forum John Cook przedstawił plan działań dla badania dotyczącego 97-procentowego konsensusu, podkreślając, że „istotne jest, aby opinia publiczna zrozumiała, że istnieje naukowy konsensus w sprawie AGO". Cook wyraża nadzieję, że prowadzone prace będą miały „zmieniający wpływ na publiczne postrzeganie konsensusu" i że uda się ustalić, że „nie tylko konsensus istnieje, ale że jest to konsensus rosnący".

W innym wątku na forum zatytułowanym „Pomysły marketingowe" przedstawiał plany marketingowe związane z „badaniem", zanim zostało ono rozpoczęte, mając nadzieję, że „często i regularnie bicie w bęben konsensusu" sprawi, że „Skeptical Science stanie się domem postrzeganego, umacniającego się konsensusu".

Tylko 1,6 proc. naukowców zgadza się co do tego, że klimat ociepla się głównie przez działalność człowieka

Ponieważ są badania pokazujące, że niepokojąco duża część opinii publicznej nie wierzy, że naukowcy zgadzają się co do globalnego ocieplenia, Cook sugerował podjęcie takich działań, żeby termin „konsensusu" zakorzenił się na stałe w ogólnej świadomości społecznej. „Aby osiągnąć ten cel – apelował – nie możemy wpaść w pułapkę poświęcania zbyt wiele czasu na analizę, a zbyt mało na promocję".

Jeden z uczestników forum, Ari Jokimäki, skomentował to tak: „Muszę powiedzieć, że uważam to planowanie ogromnych strategii marketingowych za nieco dziwne, kiedy nie mamy jeszcze naszych wyników, a przedmiot badań również nie jest rewolucyjny (po prostu podsumowujemy istniejące badania)".

Kim jest John Cook? Sam o sobie mówi tak: „Nie jestem klimatologiem ani naukowcem, ale samozatrudnionym rysownikiem i programistą internetowym z zawodu. Ukończyłem fizykę na University of Queensland i chociaż mogłem kontynuować studia doktoranckie, zamiast tego rzuciłem naukę i zostałem zawodowym rysownikiem. Chyba za dużo rysowałem na wykładach. Niemniej jednak żywo interesowałem się nauką i jeśli już, to moja ciekawość tego, jak działa świat, wzrosła, gdy nie byłem zmuszony uczyć się do zbliżających się egzaminów. Moje zainteresowanie globalnym ociepleniem zaczęło się, gdy narysowałem karykaturę serialu, w której zastanawiałem się, co zrobiłby Jack Bauer, gdyby Al Gore był prezydentem, a globalne ocieplenie było »zagrożeniem dnia dzisiejszego«. W ramach badań obejrzałem film »Niewygodna prawda«, który sprowokował mnie do myślenia, chociaż nie wiedziałem, co sądzić o całej tej nauce".

Na stworzonej dla potrzeb propagandowych stronie Theconsensusproject.com wyjaśniono, dlaczego ważna jest powszechna wiara w istnienie konsensusu: „Istnieje duża rozbieżność między publicznym postrzeganiem konsensusu w sprawie antropogenicznego globalnego ocieplenia (AGO) a rzeczywistością, w której naukowcy zajmujący się klimatem zgadzają się ze sobą w 97 proc. Ta »luka konsensusu« ma implikacje w świecie rzeczywistym. Badania nad postawami wobec zmian klimatu wykazały, że prawidłowe postrzeganie konsensusu naukowego jest powiązane ze wsparciem dla polityki klimatycznej. Innymi słowy, gdy ludzie nie zdają sobie sprawy, że istnieje konsensus naukowy, są mniej skłonni do wspierania działań na rzecz klimatu. Podkreśla to znaczenie zlikwidowania luki konsensusu. Naszą misją jest informowanie opinii publicznej o przytłaczającym porozumieniu naukowym w sprawie antropogenicznego (spowodowanego przez człowieka) globalnego ocieplenia".

Twórcy strony ubolewają, że media poświęcają małej liczbie sceptyków klimatycznych nieproporcjonalną uwagę, więc wszystkie chwyty dozwolone, nawet pompowanie poparcia z 1,6 proc. do poziomu 97 proc. To, niestety, działa. Dekadę temu można było znaleźć w mediach głównego nurtu artykuły krytykujące konsensus globalnego ocieplenia. Dziś należą one do rzadkości, media mówią jednym głosem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

Niewypowiadalne

Ilustracja z broszury „Newes From Scotland" (1591). Przedstawia rzekome czarownice z North Berwick rzucające zaklęcia FOT. DOMENA PUBLICZNA

Piotr Włoczyk

Brendan O'Neill porównuje w swojej najnowszej książce dzisiejszych krytyków aktywistów klimatycznych do... „czarownic", na które polowano w wiekach XVI i XVII

Kłopoty Agnes Sampson i 150 innych nieszczęśników zaczęły się od pomysłu, by Jakub I Stuart (król Szkocji w latach 1567–1625, król Anglii w latach 1603–1625) wziął za żonę duńską księżniczkę Annę. Problem polegał na tym, że Anna najpierw musiała dopłynąć do szkockich brzegów. Dwukrotnie się to nie udawało, za każdym razem okręty wysłane z Danii zmagały się na morzu z fatalną pogodą.

Jakub I Stuart zaczął się w tym dopatrywać sprawki wiedźm, które rzekomo chciały go pozbawić żony. Utwierdzić go w tym miały słowa Petera Muncha, duńskiego admirała, przed którym postawiono zadanie przetransportowania królewskiej wybranki. Munch stwierdził, że warunki na morzu nie były normalne, że „w tym wszystkim musi być coś więcej niż zwyczajowa przewrotność wiatru i pogody".

Pojmane w Szkocji kobiety oskarżono o wzniecanie przeciwnego wiatru, o „magię pogodową", także o „zmowę z diabłem". Mieszkająca nad zatoką Firth of Forth Agnes Sampson (nie jest znany jej dokładny wiek, wiadomo tylko, że była to „starsza" kobieta) została zgładzona na zamku w Edynburgu. Jej śmierć była równie makabryczna jak zbrodnie, o które ją oskarżono: Sampson została uduszona liną, a jej ciało spalono na stosie.

W czasie tzw. procesu czarownic z North Berwick sądzono 150 osób. Śmiercią ukarano 25 spośród nich (część ofiar stanowili mężczyźni). Był to jeden z najmroczniejszych rozdziałów polowania na czarownice w historii Szkocji (żeby rozwiać wszelkie wątpliwości: działalność Kościoła katolickiego była wtedy w Szkocji zabroniona już od 30 lat – „czarownice" były sądzone i poddawane egzekucji przez protestantów).

RZEKOMO OŚWIECENI

Brendan O'Neill zauważa w swojej książce „Manifest heretyka. Eseje o niewypowiadalnym" („A Heretic's Manifesto: Essays on the Unsayable"), że dziś w pewnym sensie mamy powtórkę z historii.

„Kobiety z North Berwick mogą być postrzegane jako jedne z pierwszych ofiar histerii klimatycznej, która zmierza do przerzucenia winy za anomalie pogodowe na nikczemnych ludzi" – pisze O'Neill. Jego książka to zbiór esejów na tematy tak różne jak transgenderyzm, klimat, COVID-19, zachodnia islamofilia czy odwrócony rasizm. O'Neill widzi tu jeden wspólny mianownik: reakcje lewicowo-liberalnego komentariatu na wszelkie opinie, które kwestionują przy-

eprasa.pl aa5c8ac814

jętą „ortodoksję" w wyżej wymienionych tematach.

Autor analizuje okres, który przyjęło się nazywać małą epoką lodowcową (lata 1300–1850), pod kątem polowania na „czarownice". Szczególnie dużo wyroków na „czarownice" wydano pod koniec XVI i w połowie XVII w., kiedy – zwłaszcza w północnej Europie – doszło do wyjątkowo złych zbiorów z powodu zimna (w tym miejscu znów trzeba podkreślić, że takie procesy były głównie domeną krajów protestanckich). Na stosach spłonęły wtedy tysiące kobiet.

Dosyć powszechnie wierzono wówczas, że wiedźmy – dzięki szatańskim konszachtom – są w stanie wzbudzać nagłe burze, grad, a także zasłaniać słońce i ściągać na ziemię chłód.

Człowiekiem, który walczył z takimi poglądami, był znany angielski parlamentarzysta Reginald Scot (1538–1599), który napisał o tym całą książkę. Przekonywał w niej, że to, co ludziom wydaje się szatańskimi mocami, to często iluzjonistyczne sztuczki, a ponadto człowiek nie jest w stanie kontrolować pogody. „Ani wiedźma, ani diabeł, tylko wspaniały Bóg tworzy grzmot" – pisał Scot.

„Niestety, wezwania, by nie prowadzić dyskusji o klimacie w kontekście moralności w XXI wieku, spotkają się z zerowym odzewem, tak samo jak argumenty Reginalda Scota, który przekonywał, że pogoda to niebiański fenomen, a nie sprawka szatana załatwiana rękoma zmutowanych istot ludzkich. Dziś, w naszej rzekomo oświeconej erze, pęd, by obwiniać grzesznych i egoistycznych ludzi za »przeciwny wiatr« lub »pogodę masowej zagłady«, jak to teraz ujmujemy, jest tak wszechobecny jak w czasie małej epoki lodowcowej. Pogodowe polowanie na czarownice ma się świetnie – pisze O'Neill. – Oczywiście teraz już nie grozimy „zmieniaczom klimatu" wrzuceniem ich w »wulkaniczne płomienie«. Nie »zaduszamy« ich liną, nie narażamy ich na »ból nie do wytrzymania«, co zostało uczynione biednej pani Sampson. Nie używamy już nawet słowa »wiedźma«. Teraz wolimy mówić o »klimatycznych przestępcach«".

Autor broni w tym eseju wolności słowa, wzywa do umiaru w krytykowaniu ideologicznych przeciwników i przede wszystkim przestrzega przed dyskutowaniem na tematy klimatyczne w kontekście moralności. Część aktywistów klimatycznych faktycznie sięga po język biblijny, a także najcięższe epitety, by piętnować nie tylko tych, którzy mają przeciwne zdanie, lecz także ludzi, którzy mają w kwestii ocieplenia klimatu pewne wątpliwości lub po prostu uważają, że lewicowe recepty na ratowanie klimatu mogą nie pomóc planecie, a na pewno doprowadzą do dramatycznego spadku poziomu życia społeczeństw, które zdecydują się na taki krok.

KONIEC DYSKUSJI

Przykładem takiego podejścia jest tworzenie kolejnych list „przestępców klimatycznych". Radykalnie lewicowy magazyn „Red Pepper" opublikował swój autorski spis „przestępców klimatycznych", na którym znaleźli się m.in. Donald Trump, były kanclerz skarbu Wielkiej Brytanii George Osborne (nie dość radykalnie wspierał rozwój prywatnych instalacji fotowoltaicznych) czy słynny dziennikarz motoryzacyjny Jeremy Clarkson (jego „zbrodnią" było… wyśmiewanie się z aut elektrycznych).

„To są dzisiejsi odpowiednicy Agnes Sampson – pisze O'Neill. – Różnica jest taka, że dziś nie mówimy o nich »czarownice«, tylko »przestępcy klimatyczni«. A zamiast »przeciwnego wiatru« mówimy o »zmianach klimatycznych«, bo dziś już jesteśmy »oświeceni«".

Autor podkreśla, że słownictwo pełne parareligijnej gorliwości wchodzi też do „klimatycznego mainstreamu". Paul Krugman, słynny amerykański ekonomista, laureat Nobla, felietonista „The New York Timesa", pisał, że krytyka tego, co jego dziennik pisze o klimacie, to „forma zdrady – zdrady wymierzonej w planetę". Z kolei w Instytucie Etyki im. Josepha and Rose Kennedych Uniwersytetu Georgetown otwarcie debatuje się wokół pytania, czy zaprzeczanie zmianom klimatycznym nie powinno być przypadkiem przestępstwem. Ten przykład jest o tyle ciekawy, że w Ameryce wolność słowa jest dzięki pierwszej poprawce do konstytucji doskonale chroniona. Wydawałoby się, że każdy tamtejszy filozof czy prawnik doskonale wie, że w USA zupełnie bezkarnie można zaprzeczać nawet… Holokaustowi.

O'Neill ubolewa w swoim eseju, że coraz więcej instytucji, które powinny zachęcać do rozwoju nauki, zamyka dyskusję wokół klimatu na Ziemi. Przykładem jest tu choćby Królewskie Towarzystwo w Londynie dla Rozszerzania Wiedzy o Przyrodzie, potocznie zwane jako The Royal Society. Ta szacowna instytucja przestała tolerować jakąkolwiek krytykę w sprawach klimatycznych, kończąc dyskusję formułką: „Nauka stanowi jasno...". Decyzja ta spotkała się z reakcją części brytyjskich naukowców, którzy napisali do The Royal Society list protestacyjny. Argumentowali w nim, że pięknem nauki jest właśnie to, że ciągłe podważanie aktualnych ustaleń i eksperymentowanie pcha świat do przodu.

BYĆ EKSCENTRYKIEM

Brendan O'Neill zachęca swoich czytelników – za XIX-wiecznym angielskim filozofem Johnem Stuartem Millem – do bycia w tych sprawach ekscentrykami, ponieważ tylko tacy ludzie są w stanie walczyć z tyranią.

„Bądźmy więc ekscentrykami w sprawie zmian klimatycznych. Odmawiajmy zginania kolan przed rytuałami i samobiczowaniem, które są wymagane przez tę religię określającą się mianem nauki. I mówmy głośno to, co jest niewypowiadalne – że nowoczesność nie tylko nie zniszczyła naszej planety, lecz także sprawiła, że stała się ona bardziej światłym i lepszym do życia miejscem – postuluje O'Neill. – Wiedza upowszechniła się, wolność stała się rzeczywistością, przewidywalna długość życia jest coraz wyższa, poziom ubóstwa spada, a zagrożenia spowodowane katastrofalnymi zjawiskami pogodowymi można minimalizować dzięki wykorzystywaniu przez nas na skalę przemysłową darów natury. Dzięki temu wszystkiemu tworzymy coraz bardziej dostatni świat. Ślad, który zostawiamy na Ziemi, to wspaniała rzecz, a nie plama, którą trzeba zetrzeć".

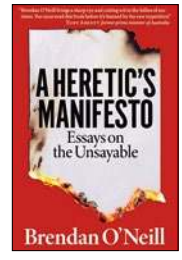

BRENDAN O'NEILL „A HERETIC'S MANIFESTO: ESSAYS ON THE UNSAYABLE" LONDON PUBLISHING PARTNERSHIP 2023

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

Michał Kołodziejczak ma się znaleźć na liście wyborczej PO

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

Kłopotliwi kandydaci

Rafał A. Ziemkiewicz

Na listach wyborczych mają pojawić się tak kontrowersyjni kandydaci, że niektórych opozycja już nawet zdążyła z nich wyrzucić

Ostateczny termin rejestrowania list wyborczych mija 6 września, ale większość partii ujawniła już, kto ma się na nich znaleźć. Przede wszystkim dlatego, że nazwiska kandydatów przyciągają uwagę mediów, a każde zaistnienie w nich jest w dzisiejszej polityce na wagę złota. Swoje znaczenie mają też względy praktyczne: przy rejestracji list trzeba przedstawić podpisy wyborców, a ich zbieranie to pierwszy sprawdzian pracowitości i lojalności kandydata. Albowiem, o czym niektórzy zdają się zapominać, „news" o wpisaniu kogoś na listę wyborczą wcale nie oznacza jeszcze, że ten ktoś naprawdę się na niej znajdzie.

ZNIKAJĄCY HARTMAN

Najboleśniej chyba przekonał się o tym profesor filozofii UJ i stały felietonista „Polityki" Jan Hartman, który zaraz po ogłoszeniu, że będzie „jedynką" Lewicy w Nowym Sączu (nie jest to, delikatnie mówiąc, okręg dla tej partii łatwy), rozpoczął swą kampanię z przytupem, upominając się o godność pedofilów, a konkretnie przeciwstawiając się ujawnianiu ich personaliów, choć jest to, przy zachowaniu odpowiedniej procedury, zgodne z prawem. Hasło „pedofil także ma godność, którą trzeba uszanować" wywołało oczywiście burzę sprzeciwów, co samemu Hartmanowi zapewne się spodobało – ale partii, którą miał reprezentować, wręcz przeciwnie. Najwyraźniej przypomniano sobie w kierownictwie Lewicy, trochę poniewczasie, o poprzednich, równie kontrowersyjnych wypowiedziach Hartmana – o tym, że nie ma żadnych sensownych powodów, by potępiać kazirodztwo, albo że przewlekle chorzy bez szans wyzdrowienia to „żywe groby" i podtrzymywanie takich pacjentów przy życiu za pomocą aparatury medycznej służy jedynie zaspakajaniu potrzeb emocjonalnych ich rodzin.

Partia uznała, że mandatu w Nowym Sączu i tak nie zdobędzie, ale jego rumakowanie (Hartman „rozkręcił się" błyskawicznie, udzielając w Internecie dobrych rad, głównie personalnych, bratnim stronnictwom politycznym oraz wyrokując na wszelkie możliwe, niekoniecznie politycznie korzystne tematy) będzie stale

eprasa.pl aa5c8ac814

w mediach ogólnopolskich kompromitować ugrupowanie. Lewica niezwłocznie się od Hartmana odcięła, wycofując zaproszenie na listę. Możliwe, że w ten sposób trafi on do księgi rekordów w kategorii „najkrótsza kampania wyborcza".

Gwoli ścisłości, nie był to jedyny taki przypadek – tyle że przewidziana jako kandydatka Koalicji Obywatelskiej z Hajnówki Laura Żurawska jest od profesora nieporównanie mniej znana, a i kandydować miała nie z pierwszego, tylko z ósmego miejsca. Sama zainteresowana twierdzi, że się rozmyśliła i nikt nie miał na jej decyzję wpływu, powszechnie jednak uważa się, że rezygnacja była równie dobrowolna jak w opisanym wcześniej wypadku, a jej przyczynę stanowiło opublikowanie przez lokalne media wielu antyukraińskich wypowiedzi kandydatki, chyba nieznanych wcześniej partii.

Kandydaci z dalszych miejsc mogą przysporzyć partyjnym areopagom jeszcze niejednego kłopotu. Wynika to z osobliwości naszej ordynacji wyborczej, która wymusza zgłaszanie absurdalnej wręcz liczby kandydatów – 20–30 – mimo że realnie rzadko może jedna partia liczyć na więcej niż trzy, cztery mandaty w okręgu. Liczne „niebiorące" miejsca trzeba więc, zwłaszcza w okręgach oddalonych od wielkich miast, gdzie partia nie ma zbyt wielu działaczy i gdzie nie ma szans przyciągnąć celebrytów, wypełniać kim popadnie. Niekiedy rodzinami polityków, co ściągnęło szyderstwa szczególnie na Konfederację, gdzie kandydować mają m.in. żony Krzysztofa Bosaka i Janusza Korwin-Mikkego, także córka i zięć tego drugiego, oraz bracia Konrada Berkowicza i Sławomira Mentzena – ten ostatni sprawiając partii pewien kłopot, gdyż ciążą na nim zarzuty karne. Inna sprawa, że akurat w wypadku tej partii, której posłowie będą poddani bardzo intensywnemu kuszeniu przez szukające rządowej większości PiS i PO, ten swoisty nepotyzm wydaje się uzasadniony.

Generalnie jednak partie starają się mieć na „niebiorących" miejscach ludzi mogących przyprowadzić jakąś grupkę wyborców – choćby nawet byli osobami kontrowersyjnymi. Przykład Klaudii Jachiry, która jaka jest, każdy widzi, a dzięki popularności zdobytej internetowymi wygłupami zdołała wejść do Sejmu, przyciąga naśladowców. Choć budzi też czujność lokalnych struktur, których szefowie nie chcą być przez jakąś nową Jachirę „przeskoczeni" i pozbawieni posłowania. Dlatego „teren" raczej nie zgłasza do centrali takich kandydatur – pojawiają się one jako „kaprys prezesa", stanowiąc w okręgu zaskoczenie. Niekiedy bolesne.

WASILEWSKA JAK JANOSZEK

– Te listy to jakiś żart, kabaret, okazuje się, że wieloletnie zaangażowanie i praca się nie liczą, czuję się bezczelnie wydymany! – w takim duchu „wyrwało się" przewodniczącemu rady miejskiej Łodzi i szefowi lokalnej „Nowoczesnej", Marcinowi Gołaszewskiemu, gdy dowiedział się, że został na sejmowej liście KO zepchnięty na siódme miejsce. Jego reakcja rozniosła się po Internecie. Ponieważ doskonale wiadomo, kto osobiście układał tę listę, ostatecznie Gołaszewski podzielił los Hartmana i Żurawskiej.

Łódzkiego samorządowca musiało szczególnie zaboleć umieszczenie na wyższym od niego miejscu Aleksandry Wasilewskiej, „doradczyni" prezydent Łodzi do spraw aktywności obywatelskiej. Wiele wskazuje, że to jednak Gołaszewski będzie się śmiał ostatni, bo w chwili, gdy mało komu wcześniej znana pani Wasilewska została gwiazdą KO, zaczęły pojawiać się informacje, każące widzieć w niej drugą Natalię Janoszek (która też, nawiasem mówiąc, kandydowała przed laty z list PO). Wikipedia usunęła biogram Wasilewskiej, prawdopodobnie napisany przez nią samą, stwierdzając, że żadna z podanych tam informacji o fantastycznych dokonaniach córki łódzkiego milionera podczas misji charytatywnych nie ma podstaw źródłowych. Przeciwnie – okazało się, że w swoich opowieściach zwykła ona przypisywać sobie cudze zasługi, podawać się za organizatora i inspiratora akcji, o które ledwie się otarła. Dawne wywiady z nią różnych niszowych mediów, które szybko pojawiły się w sieci, pełne są historii trącących mitomanią, a zarazem obnażających zdumiewające luki w wiedzy, jak na osobę, która chwali się takim życiorysem i dokonaniami – np. stwierdzenie, że „mieszkańcy Bliskiego Wschodu nie potrafią pływać, bo ich kraje nie mają dostępu do morza" (mają, można to sprawdzić na mapie).

Przykład Wasilewskiej pokazuje też jednak, że najlepiej nawet umotywowane zarzuty wobec osoby, którą Donald Tusk umieścił był na swojej „autorskiej liście" (jak określiły ją oddane mu media), nawet jeśli wychodzą z ośrodków tak odległych od PiS i prawicy jak Wikipedia, natychmiast czynią ją dla żelaznego elektoratu PO bohaterem i męczennikiem, któremu należą się szczególna cześć i poparcie – nie minął tydzień od decyzji Wikipedii, jak w „Gazecie Wyborczej" ukazał się wzruszający wywiad z „poddaną bezprzykładnej nagonce" zasłużoną społecznicą, sądząc po komentarzach czytelników, stanowiącą dla nich ofiarę jeszcze jednej „zbrodni PiS".

SEBASTIAN Z SEICENTO I WOŁOSZAŃSKI

Oczywiście nieprzekraczalnym wzorcem takiego męczeństwa pozostaje dla „żelaznego elektoratu" kandydujący z 25. miejsca w Warszawa Sebastian Kościelnik, przez prawą stronę Internetu zwany „Seba z seicento". Mimo że kilka miesięcy temu sąd (i bynajmniej nie „neosędzia"), odrzucając apelacje Kościelnika, ostatecznie potwierdził, że to on był sprawcą wypadku, w którym ucierpiała premier Szydło, w „bańce" antypisowskiej funkcjonuje jako ofiara fałszywych oskarżeń i prześladowany bohater walki z „reżimem". Sam „Seba" okazuje się zresztą sprytniejszy, niż można się by spodziewać po 26-latku, którego jedynym życiowym dokonaniem był wspomniany wypadek – najwyraźniej spodobał mu się pomysł, by zostać zawodowym politykiem, i wie, jak się do tego zabrać.

„Jakie mam kwalifikacje? Nie mam nic przeciwko Żydom, szanuję prawa społeczności LGBT, uważam, że UE to ogromna wartość dodana dla Polski. Aborcja do 12. tygodnia musi być legalna… Popieram integrację i wsparcie dla Ukrainy. Oraz sześć lat zahartowania w boju, we wszystkich instancjach w Ziobrowskiej rzeczywistości" – reklamuje Kościelnik swoją kandydaturę i mógłby ktoś pomyśleć, że kandydat nie rozumie słowa „kwalifikacje", skoro pod tym hasłem deklaruje poglądy. Jednak nie ma tu błędu – w polityce, a już na pewno w partii Tuska, kwalifikacje do kariery to nie dyplomy ani CV, tylko właśnie słuszne poglądy, zgodne z aktualną linią partii.

eprasa.pl aa5c8ac814

„Wierzę @donaldtusk, że liderzy PiS trafią do więzienia. Ale chcę też mieć w Sejmie ludzi, którzy tego dopilnują [Tusk wymaga dopilnowania? – przyp. R.Z.]. Dlatego w wyborach do Sejmu zagłosuję na Sebastiana Kościelnika. On dopilnuje rozliczenia PiS!" – tak reklamuje człowieka, który jako bohaterski kamikaze nadkruszył żebra PiS-owskiej premier, prof. Maciej Górecki z UW, ten, który domaga się „inwigilowania i dezintegrowania przez służby i policję" elektoratu PiS, po postulowanej delegalizacji „faszystów". Z takimi rekomendacjami wydaje się, że Kościelnik i Tusk będą mieć z siebie nawzajem wiele pożytku.

Mechanizm „wesprzeć męczennika" sprzyja też popularności w żelaznym elektoracie Bogusława Wołoszańskiego, byłego tajnego współpracownika wywiadu PRL, m.in. – jak wynika z książki Bogdana Rymanowskiego „Dopaść Morawieckiego" – zadaniowanego na inwigilację ojca obecnego premiera, po bezprawnym wyrzuceniu go przez komunistyczne służby z Polski, by nie przeszkadzał w dzieleniu się władzą przy Okrągłym Stole. Czy, jak twierdzą komentatorzy związani z PiS, to właśnie zadecydowało o umieszczeniu znanego popularyzatora historii na „jedynce", trudno powiedzieć, ale agenturalna przeszłość Wołoszańskiego jest przecież od dawna znana i na pewno KO nie zaszkodzi – przeciwnie, stanowi uspakajające mrugnięcie do elektoratu partyjno-mundurowego, że może być pewny obrony ze strony Tuska przed dekomunizacyjnymi i lustracyjnymi zapędami prawicy.

Podobnie – choć to zupełnie inna waga sprawy – Radosław Lubczyk, poseł milioner, który zatajając swe realne dochody, wyłudził od Sejmu kilkaset tysięcy złotych nienależnych diet jako znajdujący się w „trudnej sytuacji materialnej", nie miał kłopotu ze znalezieniem się na koszalińskiej jedynce Trzeciej Drogi. „Każdy ma jakąś polityczną przeszłość" – jak to ujął rzecznik PSL, Miłosz Motyka. Co prawda, ten komentarz, jakże bliski zasadzie Tuska „wszyscy w Platformie skądś przyszliśmy", nie dotyczył sprawy Lubczyka, która słabo się przebiła do opinii publicznej, przynajmniej na razie, ale sensacyjnego transferu w Stalowej Woli, gdzie Trzecia Droga wystawiła w ramach Paktu Senackiego Małgorzatę Zych, bliską w poglądach i dotychczasowych działaniach Grzegorzowi Braunowi, walczącą, przynajmniej do niedawna, z „ukrainizacją polski", a wcześniej, w czasie pandemii, ze szczepionkami i z restrykcjami. Nie liczy się polityczna przeszłość, liczy się, gdzie się jest obecnie.

Profesor Jan Hartman szybko został przez Lewicę usunięty z listy wyborczej. Mógł być dużym obciążeniem dla partii
FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

KRZYCZĄCA SHOSTAK I AGROUNIA

Lista dziwnych, nazwijmy to tak, kandydatur po stronie opozycji byłaby niepełna bez dwóch jeszcze nazwisk. Pierwsze to Jana Shostak (takiej pisowni nazwiska używa), „aktywistka, artystka intermedialna i feministka", Białorusinka mieszkająca od 12 lat w Polsce, która szerszej publiczności dała poznać się dotąd tylko z bardzo głębokiego, praktycznie odsłaniającego całe piersi dekoltu oraz nieartykułowanego wrzasku, który miał być protestem przeciwko reżimowi Łukaszenki; trudno tu opędzić się od skojarzeń z „protestami" ukraińskiego Femenu, ośmieszającego przez lata Ukrainę za pieniądze jednego z oligarchów Putina. Artystka kandydować miała jako reprezentantka koalicyjnych Zielonych, z odległego, 13. miejsca na Podlasiu – okazało się jednak, że lepiej dla niej, kiedy wrzeszczy, niż gdy próbuje przemawiać w sposób artykułowany: w ciągu zaledwie kilku dni, kiedy jako kandydatka Tuska zaczęła być zapraszana do mediów, oznajmiła, że mur na granicy z Białorusią to „debilizm", należy go rozebrać i kawałki rozdać okolicznym mieszkańcom, którzy „kryją się w swoich domach jak krety" (?), a aborcja ma być legalna nie tylko do 12. tygodnia ciąży, lecz także do samego jej końca. Medialne wojska PO ruszyły przeciwko krytykom tych słów równie skwapliwie, jak do obrony Wasilewskiej, ale tym razem zostały zdradzone przez swych przywódców, którzy ogłosili, że za słowa o aborcji Shostak nie wystartuje. Zieloni pogodzili się z tym (któż by sie spodziewał) i nawet poinformowali niemal natychmiast, że mają już nowego, jeszcze lepszego kandydata. Sprawa jest jednak rozwojowa, gdyż miejsce na swojej liście zaoferowała Shostak Lewica. Czy będzie to może osierocona przez Hartmana „jedynka" w Nowym Sączu?

Drugie zaś nazwisko, które celowo zostawiam sobie na koniec, to dominujący od dwóch tygodni w mediach Michał Kołodziejczak. Do wszystkich domniemanych powodów, które skłonić miały Tuska do zaskakującego dla wszystkich (podobno najbardziej dla działaczy PO, nawet tych teoretycznie nią współkierujących) zaproszenia lidera AgroUnii na jedynkę w Koninie – jak chęć „utopienia" PSL i Hołowni pod progiem wyborczym, odwołanie się do niezadowolonych rolników etc. – ostatnie dni dopisały jeszcze jedną: Kołodziejczak wszedł w rolę swego czasu odgrywaną przez Palikota i Niesiołowskiego. Opowieść (prawdopodobnie zaimprowizowana na poczekaniu, dla odbicia trudnego pytania o ciągłe zmiany partyjnych afiliacji), jakoby go Kornel Morawiecki „na łożu śmierci ostrzegał" przed swoim synem, nazywając go „oszustem", jest oczywistą dla każdego logicznie myślącego człowieka bzdurą. Jednak jakie to ma znaczenie, skoro spodobała się żelaznemu elektoratowi PO i wprawiła w furię żelazny elektorat PiS? Tusk lubi mieć na podorędziu takich politycznych chuliganów, a pełniący ostatnio tę funkcję

eprasa.pl aa5c8ac814

Sławomir Nitras został przez niego samego ośmieszony, gdy musiał przepraszać twitterowego hejtera.

Łukasz Pawłowski, szef Instytutu Badania Spraw Publicznych, pracowni postrzeganej jako bliska PO, ale od niedawna oskarżany o herezję „symetryzmu", postawił tezę, że Kołodziejczak ostatecznie nie znajdzie się na liście KO i od początku nie miał się na niej znaleźć. Gdyby tak się istotnie miało stać, krótkotrwałe wyniesienie i ustawienie w centrum debaty medialnej lidera organizacji, której poparcie w sondażach nigdy nie przekroczyło błędu statystycznego, byłoby tylko taktyczną zagrywką Tuska.

Czy rzeczywiście Kołodziejczak jest tylko – jak w znanym kawale – „kozą rabina", którą Tusk zamierza w odpowiedniej chwili wyprowadzić, ku uldze swej partii, przy okazji raz jeszcze dobitnie udowadniając, że może wszystko, a „wolne" media i „autorytety", nie mówiąc już o swoich podwładnych w partii, ma wytresowane tak, że trzy razy na dzień zmienią zdanie tak, jak im każe? Nie znając zakulisowych negocjacji, które na pewno wciąż jeszcze trwają, trudno wyrokować – poczekajmy do 6 września. Wcale nie jest wykluczone, że „twarzą KO dla wsi" może się ostatecznie okazać ktoś poważniejszy, wyciągnięty np. z list PSL.

NA PRAWICY BEZ SENSACJI?

Na pewno poczekać musimy, by powiedzieć cokolwiek o listach wyborczych PiS. Bez wątpienia, zwlekając z konkretami na ten temat, prezes Kaczyński działa z wyrachowaniem. Polityk, który może być czegoś pewny – np. „biorącego" miejsca – od razu robi się bardziej hardy. Dotyczy to nie tylko indywidualnych osób, lecz także frakcji czy – mówiąc oficjalnie – „koalicjantów" ze Zjednoczonej Prawicy. Na ile naprawdę mogą liczyć, w jakich okręgach znajdą się ich ludzie i na których miejscach, dowiemy się zapewne dopiero w ostatniej chwili. Z tą oczywistością wszyscy wydają się pogodzeni. Bodaj jeden tylko Adam Bielan wyskoczył przed szereg, próbując „zaklepać" miejsce dla Łukasza Mejzy, który z uwagi na swe dawne, wątpliwe moralnie interesy ma mocno zszargany wizerunek – a także można go łatwo bronić, wskazując, jak bardzo umoczeni, nierzadko rozpaczliwie wręcz potrzebujący immunitetu politycy kandydują u konkurencji.

Generalnie jednak nikt nie spodziewa się na listach ZP wielkich sensacji – a już na pewno nie na miarę „autorskiej listy Tuska", na której, jak policzyła „Gazeta Polska", znalazło się aż 250 zupełnych „debiutantów", a zabrakło wielu prominentnych dawniej polityków Platformy. Zaskoczenia mogą dotyczyć najwyżej pewnych osób, szczególnie tych, na które wyszłyby jakieś „haki". Tego zresztą możemy być w kampanii pewni: wciąż obowiązuje przecież „zasada Flisa", zgodnie z którą, przy tej ordynacji, prawdziwy wróg znajduje się nie na konkurencyjnej liście – ale na własnej. Robienie „przecieków" na swoich, oczywiście w największej dyskrecji, to stały element wyborczego krajobrazu i również teraz media jednej i drugiej strony mogą sobie obiecywać jeszcze wiele materiałów kłopotliwych dla kandydatów, ale chwytliwych dla widzów, słuchaczy i czytelników.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl aa5c8ac814

Tomasz Rowiński

Pani Marianno, mamy dość

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

W działaniach Marianny Schreiber widać tylko jedną spójność: ma być o niej głośno, ma być znana. Ten cel, niestety, osiągnęła

Przez jakiś czas na stronie Wikipedii utrzymywało się żartobliwe hasło opisujące nieformalne środowisko internetowe popierające Donalda Tuska, które w mediach społecznościowych oznacza się hashtagiem „Silni Razem". Zaczynało się ono w taki oto sposób: „Silni Razem, polska grupa społeczna o charakterze ekstremistyczno-kabaretowym, popularna na portalu Twitter…". Do tego rodzaju zjawisk – polityki kabaretowej – należy także postać Marianny Schreiber, żony ministra w drugim rządzie Mateusza Morawieckiego – Łukasza Schreibera. Właśnie została wyrzucona z założonej przez siebie partii o nazwie Mam Dość. Uzasadnienie decyzji, które podają członkowie zarządu partii, musi wywoływać uśmiech, podobnie jak cała ta quasi-polityczna inicjatywa, a także postać jej liderki.

Choć powstanie Mam Dość zostało ogłoszone już na wiosnę 2022 r., to Sąd Okręgowy w Warszawie zarejestrował partię dopiero 11 sierpnia tego roku. W zarejestrowanym ugrupowaniu brakuje jednak dziś jedynej naprawdę znanej jej działaczki, czyli samej Schreiber. „Zarząd partii oraz przyszli zdeklarowani jej członkowie nie utożsamiają się z działaniami pani Marianny Schreiber" – można przeczytać w oświadczeniu, którego fragmenty opublikowała „Rzeczpospolita". Dalej jest już tylko zabawniej, gdy członkowie partii Mam Dość oskarżają Schreiber o „skupianie się na prezentowaniu swojego wyglądu, samowolne podejmowanie decyzji, atakowanie wszystkich polityków poza tymi z formacji jej męża", a także o to, że cele, które realizuje, to „indywidualne działania obliczone na rozgłos medialny i zwiększanie zasięgów jej prywatnych profili w social mediach".

ATENCJA PRZEDE WSZYSTKIM

Zaskakujące jest to, że ktokolwiek ze współpracowników Schreiber jest dziś zdziwiony trajektorią medialnego lotu pani Marianny. Chyba nikt – nawet z postronnych obserwatorów – nie mógł mieć więcej niż przez sekundę wątpliwości, że mamy do czynienia z typem osoby poszukującej nade wszystko atencji. Osób takich jest nieskończona liczba w celebryckich gwiazdozbiorach. Ostatecznie – kto w wieku 28 lat decyduje się na udział w show w rodzaju „Top Model"? Albo – ludzie jakiego typu osobowości w ogóle próbują dostać się do takich telewizyjnych formatów, których styl niejednokrotnie powoduje zażenowanie? Także w politycznym projekcie Schreiber trudno dopatrzyć się idei, które wykraczałyby poza osobiste ambicje żony ministra z PiS.

– Chcę powołać do życia nową partię: Mam Dość. Chcę zrzeszyć wokół siebie ludzi nie tylko negujących polską rzeczywistość, lecz także takich, którym się chce, tak jak mi, zmieniać świat na lepsze, dzielić dobrem, empatią, szacunkiem wobec współobywateli. Ostatnie półtora miesiąca dowiodło, jak dużo w Polakach jest dobra, ochoty do bezkompromisowej pomocy uchodźcom z Ukrainy. Gdzie nie liczą się pieniądze, a działanie – mówiła Schreiber w kwietniu 2022 r. Trudno te słowa potraktować nawet jako stanowisko specyficznie polityczne, równie dobrze mogłaby to być deklaracja jakiegoś NGO czy przyjacielskiej grupy naprawiaczy świata bez sprecyzowanego planu.

Zarys programu politycznego Mam Dość od początku nie wykraczał poza liberalno-demokratyczne slogany powtarzane przez duże siły opozycyjne. – „Mam Dość 2023 powstaje z moich własnych funduszy, inicjatywy i nieprzy-

eprasa.pl aa5c8ac814

muszonej woli. Jesteśmy partią liberalną, demokratyczną, proeuropejską. Chcemy zrzeszać osoby młode. Szerzymy konstytucyjne prawo do wolności, tolerancji, pluralizmu. W konsekwencji szczególnie dbamy o kobiety i ich prawa" – twierdziła Marianna Schreiber w wywiadzie, którego udzieliła portalowi Wirtualna Polska. Mówiła też o potrzebie walki z inflacją i obniżeniu stóp procentowych, przywróceniu praworządności, uporządkowaniu systemu edukacji i usprawnieniu opieki medycznej. Deklarowała, że chce trafić do „zbuntowanych ludzi wobec niesprawiedliwości w Polsce", którzy są „zawiedzeni systemem udawanej pomocy państwa".

Słowa te pozostały jedynie hasłami i trudno uznać, by w którymkolwiek momencie stały za nimi jakiekolwiek propozycje rozwiązań. Potwierdził to zresztą Sylwester Zacheja obecny lider partii: „W ugrupowaniu jest grupa osób, która działa od samego początku i chce działać dalej. Jest już za późno na rejestrację komitetu wyborczego, chcemy się więc skupić na budowie struktur i tworzeniu naszego programu".

Kolejność dziwna – najpierw, jeśli tylko się da, start w wyborach, a potem program, a także deklaracja uczciwa, że programu żadnego w Mam Dość po prostu faktycznie nie ma.

Ten rys osobisty działalności Marianny Schreiber, kształtowany przez poszukiwanie uwagi mediów, dowartościowywanie się przez rozgłos, dał się zauważyć w relacji lewicowej freakaktywistki Mai Staśko z konferencji prasowej, na której ogłoszone zostało założenie Mam Dość. „Mówię w imieniu każdej kobiety hamowanej przez rodziny, męża. Pochodzę z bardzo oceniającej, konserwatywnej rodziny. Mój mąż jest w PiS, który nie daje wolności kobietom. Chcę się z tego wyrwać" – miała stwierdzić Marianna Schreiber. Czy słowa te rzeczywiście padły czy są legendą uformowaną przez Staśko, tego nie wiadomo. Wydaje się jednak, że oddają one mechanizm inspirujący Schreiber do działania. Jednak też ewidentny brak pomysłu na siebie.

OD „TOP MODEL" DO PARADY RÓWNOŚCI

Z perspektywy czasu dobrze widać, że udział w „Top Model", który początkowo ukrywała przed mężem, był rodzajem odskoczni do kolejnych aktywności, którym trudno przypisać jakiegoś rodzaju spójność. Spójne z pewnością było dążenie do medialnej rozpoznawalności. Niedługo po odpadnięciu z „Top Model" (10. edycja programu była emitowana jesienią 2021 r.) Schreiber wystartowała ze swoim programem „Marianna Schreiber: Mam tego dość!", który był emitowany na kanale internetowym „Super Expressu".

Robiła wiele, by jej nazwisko i zdjęcia reprodukowały bulwarowe portale. Poparła m.in. strajki nauczycieli organizowane przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, o czym pisała na swoich mediach społecznościowych. „Jako osoba, która jest z wykształcenia pedagogiem, nauczycielem i pracowała parę lat w szkole, czułam się w obowiązku wziąć udział w dzisiejszej pikiecie Związku Nauczycielstwa Polskiego. Poznałam ludzi, którzy przyszli tam nie po to, by zaciskać pasa, ale po to, by zacisnąć pięść do walki o lepsze płace. Lepsze płace dla ludzi, którzy mają ogromny wpływ na przyszłość społeczeństwa" – informowała.

W czerwcu 2022 r. pojawiła się także na Paradzie Równości, gdzie jej partia została zarejestrowana jako jeden z instytucjonalnych uczestników posiadających swoją „platformę". Platformą Schreiber była potężna biała limuzyna. Liderka swojej własnej partii przejechała przez paradę, stojąc w szyberdachu luksusowego pojazdu. Ubrana była w różową sukienkę i tęczową marynarkę, w ręce trzymała drzewiec z flagą „Mam Dość". Gdy dziś patrzy się na zdjęcia Schreiber z tamtego wydarzenia, aż cisną się pod klawiaturę słowa pewnego komentatora z popularnego portalu: „To jest dopiero żenada". Jednocześnie środowiska spod znaku tęczy nie zapomniały Schreiber, że jeszcze kilka lat wcześniej, w 2018 r., opublikowała ona w mediach społecznościowych zdjęcie dziewczyny z tęczową torebką na kolanach, które podpisała: „Won z mojego miasta".

Żona ministra Schreibera kluczyła – i dalej zresztą kluczy – w sprawie swoich poglądów na temat aborcji. Z jednej strony mówi, że nie wspiera aborcji na życzenie, z drugiej zaś potrafiła wyrazić zdanie dramatycznie przerażające ignorancją na temat tego, czym jest mord prenatalny: „Nie chciałabym urodzić dziecka, które nie miałoby szansy przeżyć. To jest jasne. Uważam, że nikt nie chciałby urodzić dziecka, które na 100 proc. nie będzie w stanie przeżyć". Czy jednak Marianna Schreiber nie zdaje sobie sprawy, że po zabiciu dziecko nie znika, tylko także trzeba je urodzić, ale po prostu martwe?

CYRK

To nie wszystkie jeszcze aktywności naszej antybohaterki. Pod koniec roku 2022 opublikowała dwa „utwory muzyczne" o charakterze raperskim, od których więdły uszy. Pierwsza z rymowanek o tytule „Polityczny dramat" została na portalu Cgm.pl zajmującym się hip-hopem skomentowana krótko i bezwzględnie: „Polityczny (muzyczny również) dramat Marianny Schreiber". W drugim z wideoklipów – w roli superbohatera i wybawcy Marianny – wziął udział największy przegryw polskich walk MMA, Marcin Najman. Jaki wybawca i superbohater, taki rap i wideoklip, niestety. I tak jest przy prawie każdym kontakcie z aktywnością tej celebrytki – tandeta, pustosłowie, brak poglądów i nieustanna chęć obecności przed kamerami, zwykle pozbawiona sensu.

Inną jeszcze odsłoną spektaklu – a może cyrku – który robi wokół siebie Marianna Schreiber, była trwająca 28 dni dobrowolna zasadnicza służba wojskowa. Schreiber regularnie relacjonowała ten okres swojego życia w mediach społecznościowych, a potem podsumowała go w wywiadzie dla „Super Expressu", określając czasem wielkiej przemiany: „Nie wierzyłam w siebie. Chciałam dotrwać do końca, ale zakładałam, że może mi się to jednak nie udać. Ja nie byłam tak silna. To dzięki wojsku jestem silna – fizycznie i psychicznie".

Co to jednak właściwie znaczy? I właściwie dlaczego my, odbiorcy infotainmentu, mamy być tym zainteresowani? Na koniec dnia obcowania z medialnymi wytworami Marianny Schreiber w głowie słyszę tylko jedno głośnie pytanie: Dlaczego ta osoba w ogóle jest znana? Ostatnio chyba dlatego, że poprawiła sobie u chirurga nos.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

Z Tisą Żawrocką-Kwiatkowską, założycielką i prezesem Fundacji Gajusz
rozmawia Agnieszka Golańska-Bault

Miłość większa niż strach

AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT: W 1998 r. założyła pani w Łodzi Fundację Gajusz zajmującą się opieką paliatywną nad dziećmi. Jednym z aspektów pani pracy jest prowadzenie hospicjum perinatalnego. Wydaje mi się, że termin „hospicjum perinatalne" nie jest powszechnie znany. Jak należy go rozumieć?

TISA ŻAWROCKA-KWIATKOWSKA: Hospicjum perinatalne to nie tyle miejsce, ile sposób opieki nad całą rodziną, w której na pewnym etapie ciąży pojawiło się rozpoznanie lub bardzo poważne podejrzenie, że dziecko, które ma przyjść na świat, jest nieuleczalnie chore.

Chodzi przede wszystkim o wsparcie emocjonalne i psychologiczne oraz o pomoc organizacyjną. Zwykle zgłaszają się do nas mama z tatą, a ja mówię wtedy, że do gabinetu wchodzi aż troje pacjentów. Zazwyczaj w pierwszym spotkaniu uczestniczy lekarz, ponieważ ludzie, którzy usłyszeli niepomyślną diagnozę, najczęściej byli w takim stresie, że po prostu nie pamiętają nic z tego, co im powiedziano. Dlatego nasza pani doktor sprawdza, co rodzice wiedzą, czy to się pokrywa z rzeczywistością. Ma dla nich bardzo dużo czasu, bo taka wizyta trwa zwykle dwie godziny. Następnie nasz lekarz przekazuje rodzinę pod opiekę psychologa, a na pewnym etapie tego procesu do działania włączam się również ja – zajmuję się organizacją porodów. Z przykrością muszę stwierdzić, że ostatnio mam tej pracy znacznie mniej, ponieważ szpitale nie wróciły jeszcze do normalnego funkcjonowania po COVID. Przed pandemią było dla wszystkich rzeczą zupełnie naturalną, że osoby z zewnątrz – np. ja, ksiądz, fotograf – byliśmy przy porodzie dziecka. Zdarzało się nam nawet bywać na sali operacyjnej podczas cesarskiego cięcia. Teraz widzimy ogromny opór, aby wrócić do takiego funkcjonowania. To wielka szkoda.

Trudności w państwa pracy są dziś pokłosiem kryzysu sanitarnego?

Tak, mam wrażenie, że został on niestety użyty, aby nie trzeba było tego dalej robić. Nie ulega wątpliwości, że wymaga to wiele zachodu i współpracy ze szpitalem. Staramy się pokonać ten opór, choć tutaj, w Łodzi, nasza współpraca ze szpitalem układa się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Mamy w szpitalu psychologa i położne, którzy z nami współpracują. Pomaga to zniwelować skutki naszej nieobecności przy pacjentach podczas porodu. Brakuje nam również powrotu do praktyki systematycznego organizowania konsyliów z udziałem wszystkich zainteresowanych: rodziców, pracowników hospicjów, ginekologów, położników, pielęgniarki koordynującej. Jestem absolutnie przekonana, że takie konsylium powinno być w każdym przypadku obowiązkowe i że powinno to wynikać z przepisów. Podczas takiego konsylium można wszystko ustalić, aby uniknąć wszelkich błędów w komunikacji i zagwarantować rodzinie potrzebny spokój. Ponadto w ramach konsylium tworzy się dokument, który jest wiążący dla każdego szpitala – nie tylko tego, w którym zaplanowaliśmy, że pacjentka urodzi, a kadra medyczna, mając taki dokument w ręku, zawsze wie, co zostało ustalone i co ma robić. Tak się niestety nie dzieje.

Jak wiele rodzin korzysta z pomocy państwa hospicjum perinatalnego w skali roku i czy widać wzrost zainteresowania tą formą opieki?

Do tej pory było to ok. 20 rodzin rocznie. Ale w 2022 r. zanotowaliśmy spadek do 11 rodzin – pomimo zmian w prawie.

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r., który uznał za niekonstytucyjną eugeniczną przesłankę przerywania ciąży, paradoksalnie nie wpłynął na zainteresowanie tą formą opieki nad chorymi dziećmi i ich rodzinami ani nie zmienił podejścia do państwa działalności pracowników służby zdrowia...

My wypracowaliśmy sobie pewną formę współdziałania ze szpitalami, natomiast nie funkcjonuje to automatycznie. Pacjentki, które do nas trafiają, nie dostają do nas skierowania. Często muszę je odsyłać, choćby do lekarza pierwszego kontaktu, który również może takie skierowanie wystawić. Nie rozumiem tego. Lekarz ma przed sobą kobietę w bardzo kryzysowej sytuacji i im szybciej dowie się ona, że jest takie miejsce, w którym może uzyskać pomoc, tym dla niej lepiej. Skoro wymagane jest skierowanie, to powinna je trzymać w ręku. Tymczasem kobiety regularnie znajdują informacje o nas same i kontaktują się z nami dzięki danym znalezionym na stronie internetowej lub na Facebooku. Kobieta, wychodząc od lekarza w największym kryzysie, jaki sobie pewnie można wyobrazić, szuka pomocy na własną rękę.

Kilka lat temu w czasie naszej rozmowy w siedzibie fundacji w Łodzi mówiła pani, że plakaty informujące o działalności hospicjów perinatalnych były w szpitalach zrywane przez personel medyczny. Czy to się zmieniło?

Ponieważ to się działo systematycznie, zaprzestaliśmy wieszania plakatów. Staramy się jak najlepiej współpracować z personelem medycznym, ale jest to naprawdę gigantyczna praca.

Z czego wynika ten opór czy wręcz niechęć lekarzy wobec idei hospicyjnej opieki perinatalnej?

Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Mogę jedynie przytoczyć to, co mówiły pacjentki. Lekarze w ogóle nie rozumieją,

eprasa.pl aa5c8ac814

FOT. FUNDACJA GAJUSZ

po co takie miejsca istnieją, po co skazywać kobietę na taką potworną traumę urodzenia dziecka. Przed zmianą prawa mówili, że trzeba to jak najszybciej zakończyć, zapomnieć o tym, a najlepiej szybko zajść w kolejną ciążę. Oczywiście świadczy to o ich niewiedzy. Ale jest i inna kwestia. Wiele mówi się o tym, jak bardzo potrzebny jest wybór. Rozmawiam z kobietami o najprzeróżniejszych poglądach i one wszystkie podkreślają, że tego wyboru nie ma albo jest on bardzo ograniczony, i to paradoksalnie przede wszystkim dla kobiet, które chciałyby chore dziecko urodzić.

Omawiając skutki własnego orzeczenia, TK stwierdził, że ustawodawca ma obowiązek dostosować stan prawny do wydanego wyroku, co miało się przejawiać w szczególnej pomocy władz publicznych udzielanej rodzicom nieodwracalnie upośledzonego albo nieuleczalnie chorego dziecka. Jak ocenia pani działania władz publicznych w tym zakresie na przestrzeni ostatnich dwóch lat w odniesieniu do perinatalnej opieki hospicyjnej?

Moim zdaniem nic się na lepsze nie zmieniło. Jeśli chodzi o same fundusze, to nie możemy narzekać. Usługa ta została wyceniona, a pacjentek jest tak niewiele, że z pieniędzmi dajemy sobie radę. Kobiety, których dzieci przeżywają poród, mają możliwość pozostawienia dziecka w hospicjum stacjonarnym lub zabrania dziecka do domu pod opieką hospicjum domowego i działa to nie najgorzej od lat, ale nie ma nic wspólnego ze zmianą prawa.

Po orzeczeniu TK powinna się była pojawić jakaś edukacja dla osób, które uczestniczą w przekazywaniu diagnozy, powinien zostać wprowadzony monitorowany obowiązek wystawiania skierowań do hospicjum perinatalnego, a także wspomniany już przeze mnie, również podlegający rozliczeniu, obowiązek organizowania konsylium z udziałem wszystkich zainteresowanych. Skoro tego nie ma, to znaczy, że system nie działa tak, jak powinien.

Chciałabym powiedzieć o jeszcze jednej rzeczy, która dla mnie osobiście jest szokująca, a o której można przeczytać na forach internetowych. Regularnie pojawiają się w nich relacje, że pacjentki z niepomyślną diagnozą są wysyłane przez lekarzy do Londynu, aby tam „pozbyć się problemu". Procedura jest zwykle taka, choć sytuacje mogą być różne, że lekarz pod kontrolą USG podaje dziecku w serce śmiercionośny zastrzyk, serce

eprasa.pl aa5c8ac814

przestaje bić, a kobieta wraca do Polski, gdzie stwierdza się obumarcie płodu i wywołuje poród. Aby ocenić wpływ zmiany prawa na faktycznie wykonywaną liczbę terminacji ciąż dzieci z wadami letalnymi, wystarczyłoby zrobić statystyczne badania i sprawdzić, ile takich dzieci rodzi się aktualnie w Polsce. Wiadomo, że dwoje–troje dzieci na tysiąc to dzieci z wadami letalnymi. Prosta matematyka. A jednak nikt nigdy tego nie zrobił.

Jak rozumiem, nie ma problemu z dostępnością hospicyjnej opieki perinatalnej. Raczej należałoby powiedzieć o braku pacjentów, którzy się po tego rodzaju pomoc nie zgłaszają.

Z jednej strony tak, a z drugiej myślę też, że to jest naprawdę bardzo skomplikowany proces. Proszę sobie np. wyobrazić, jak ogromnym wyzwaniem dla personelu hospicjum perinatalnego jest praca z pacjentkami, które nie chcą rodzić dziecka. Radzimy sobie, ponieważ mamy bardzo dobrych, doświadczonych specjalistów, ale wyobrażam sobie, że wiele hospicjów perinatalnych to instytucje bardzo mocno „kościółkowe". Takie hospicja oczywiście też powinny istnieć, ponieważ dla kobiet głęboko wierzących kwestie światopoglądowe i ich religijność będą czymś bardzo pomocnym w ich wyborze. One tego chcą. Ale kobieta niewierząca może czuć się w takich miejscach osądzona jako zła mama, a tak się nie da pracować z pacjentem. Ja oczywiście osobiście mam swoje poglądy, każdy z pracowników hospicjum perinatalnego ma jakieś swoje prywatne poglądy na ten temat, ale my ich w ogóle nie ujawniamy. Jesteśmy przezroczyści, aby każda kobieta niezależnie od tego, co myśli, czego się boi, o co chce nas zapytać, mogła do nas bez obaw przyjść. One regularnie pytają, gdy mają wątpliwości: „Czy pani uważa, że jestem wyrodną mamą?". Nie, ja tak nie uważam, nikogo nie osądzam. Ja mam być maksymalnie profesjonalnym organizatorem, który mówi, jakiego rodzaju pomoc proponuje. Nic więcej. Czasem przekazuję, co mówią inne kobiety, bo to właśnie najbardziej interesuje pacjentki. Dla nich wiarygodna jest tak naprawdę tylko inna mama. Rodzice, którzy są już po wszystkim, potwierdzają, że człowiek kompletnie nie wie, z czym się spotka i jakie temu będą towarzyszyć emocje, a one są zwykle dość podobne. Dziecko budzi miłość, naprawdę. Nieważne jakie, nieważne, czego mu brakuje. Gdy w naszym hospicjum przyjmowaliśmy ateistów, zwrócili mi bardzo przytomnie uwagę na pewną kwestię, mówiąc: „Dla nas to jedyna szansa poznania naszego dziecka. Dla nas nie ma żadnego potem. Więc my musimy się do tego przygotować najlepiej, jak się da. Powtórki nie będzie".

Czy zdarza się, że rodzina np. ze skierowaniem od lekarza trafia do państwa hospicjum, ale po spotkaniu rezygnuje z pomocy?

Nie. Nigdy to się nie zdarzyło. My stajemy na głowie, aby to się nie działo. Chodzi o to, aby rodzice, którzy przekraczają próg fundacji, mieli poczucie, że nam na nich bardzo zależy, że na nich czekamy, że jesteśmy im życzliwi. To jest zmiana jakościowa. Wchodzą do nas jak najbardziej wyczekiwani goście. Myślę, że po tym, czego doświadczyli wcześniej, są bardzo pozytywnie zaskoczeni.

Perinatalna opieka hospicyjna systemowo nie działa, a niewiele trzeba, by działała dobrze

A co jest dla pani osobiście najtrudniejsze w tej pracy?

Trudne dla mnie jest to, że perinatalna opieka hospicyjna systemowo nie działa, a niewiele trzeba, by działała dobrze. Wystarczyłoby podjąć kilka prostych decyzji. Ta „ściema" mnie wkurza. Wszyscy wiedzą, czego potrzeba, ale nikt nic nie robi.

My stajemy na głowie. Informacje o naszej działalności docierają do ludzi choćby przez Facebooka. Czuję, że redagując posty, pełnię funkcję edukacyjną, ponieważ pokazuję w nich, jak wyglądają takie porody. Dla matek, które dowiadują się o letalnej diagnozie, to najważniejsza informacja. One chcą wiedzieć, co się wydarzy, co będą prawdopodobnie czuły. Opisuję rzeczywiste sytuacje, cytuję prawdziwe słowa, nawet jeśli te wpisy to czasem kompilacja różnych historii. Mamy, których to dotyczyło, często piszą do mnie, aby mi powiedzieć, że ujęłam wszystko „w punkt". Fundacja Gajusz próbuje zmieniać rzeczywistość i dlatego dzisiaj o tym rozmawiamy.

Na stronach państwa fundacji widnieje link do petycji „Zero maseczek w hospicjum". Czy wciąż wymaga się od państwa noszenia masek w pracy z dziećmi w hospicjum?

Na szczęcie od 1 lipca obowiązek ten w końcu został zniesiony. Dla mnie to była sytuacja kompletnie absurdalna. Przychodzi na świat bardzo chore dziecko, ale rozwijające się np. intelektualnie prawidłowo. Jak można było skazywać dziecko, które żyje krótko, na to, że nigdy nie zobaczy twarzy człowieka? Nasze dzieci pojawiają się na tym świecie zwykle na chwilę, a w opiece paliatywnej skupiamy się nie na wydłużaniu życia, ale na jego jakości. Wydaje mi się, że uśmiech wpływa na jakość życia każdego człowieka. Dlaczego ktoś chciał to odebrać najciężej chorym dzieciom? Prawie rok temu wysłaliśmy w tej sprawie pismo do ministra zdrowia, ale otrzymaliśmy odpowiedź odmowną, jedynie odwołującą się do obowiązujących przepisów. Nie było w niej elastyczności czy szansy na indywidualną interpretację dla hospicjów dziecięcych. I stąd ta petycja. W ten sposób docieraliśmy z informacją do ludzi, którzy nawet nie wiedzieli, że taka sytuacja ma miejsce.

Skąd czerpią państwo siłę do podejmowania trudnych wyzwań?

Sami mamy bardzo wiele dobrych doświadczeń w naszej pracy. Mam poczucie, że Fundacja Gajusz jest swoistą enklawą, w której doświadczamy wielkiego dobra. Osobiście kocham moją pracę. Daje mi ona poczucie sprawczości i sensu. Uwielbiam nasze pacjentki, naszych podopiecznych. Wydaje mi się, że wykonuję najwspanialszy zawód na świecie i nie wiem, jak to możliwe, bo choć od 25 lat kieruję Fundacją Gajusz, to nie ma we mnie najmniejszego śladu wypalenia zawodowego. Ludzie są dla mnie bardzo inspirujący i tak wiele można dla nich zrobić. Jedna z naszych mam, która urodziła śmiertelnie chore dziecko, powiedziała zdanie, które często powtarzam: „My w ogóle nie wiemy, co się wydarzy, co będziemy czuć. Ale niech pani powie innym matkom, że im gwarantuję, iż miłość będzie znacznie większa niż strach".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

Poznaj najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia na polskiej scenie politycznej. Na rozmowy w Telewizji Republika zaprasza Rafał Ziemkiewicz.

REPUBLIKA

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

Niedziela
11:00

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl aa5c8ac814

FOT. ADOBE STOCK

Z Jakubem Kosikowskim, rezydentem onkologii, twórcą poradnika OnkologiaNaCito
rozmawia Łukasz Zboralski

Niewiele zbiórek na leczenie ma sens

ŁUKASZ ZBORALSKI: Przyglądał się pan zbiórkom w Internecie, na których ludzie zbierają fundusze na leczenie. I po tej lekturze podał pan w wątpliwość sens wielu z nich. Dlaczego?

JAKUB KOSIKOWSKI: Jeśli ktoś pisze, że odmówiono mu leczenia, bo dany lek jest w Polsce nierefundowany, i np. zbiera na lek na raka piersi, to ma to sens. Są bowiem leki, które przedłużają pacjentkom życie, a jeszcze nie są u nas w kraju refundowane.

Jednak takie zbiórki na leczenie to mniejszość. Zwykle ktoś pisze, że wyczerpano możliwości leczenia w Polsce, że nikt nie chce się podjąć operacji, że nie ma już do zaproponowania jakiejkolwiek terapii – i to oznacza najczęściej, że medycyna naprawdę jest już bezradna. Kiedy u nas w kraju lekarz dyskwalifikuje z dalszego leczenia pacjenta, to nie oznacza, że nie chce go leczyć, tylko że dalej się nie da. Po prostu nie ma już możliwości operowania, naświetlania czy podania innej chemii, np. bez spowodowania dużego ryzyka zgonu pacjenta.

Oczywiście rozumiem osoby, które takie zbiórki wtedy zakładają. One walczą o życie, złapią się każdej szansy, każda nadzieja jest dla nich ważna.

Wielu Polaków wspiera innych w ich kłopotach. Jak ktoś bez wykształcenia medycznego może rozpoznać, że jakaś zbiórka ma medyczny sens, a inna będzie tylko przekazaniem pieniędzy pewnego rodzaju szarlatanom?

Nie ma takiej możliwości. Ja jestem rezydentem onkologii, jeszcze wszystkiego nie wiem, sam musiałem w wielu przypadkach sprawdzać wytyczne leczenia, żeby zweryfikować sens zbiórek na określone terapie.

Czyli nie mamy szans, żeby mieć narzędzie do rozpoznawania, czy naprawdę komuś pomożemy?

Problem ten oczywiście mógłby w pewien sposób zostać rozwiązany. Gdyby portale prowadzące zbiórki prawnie uregulowały status zbiórek medycznych – np. wymuszając, że taką zbiórkę musi najpierw ocenić konsylium specjalistów lekarzy z danej dziedziny.

Problem w tym, że nikt nie jest tym zainteresowany. Portale zbiórkowe żyją z prowizji od zebranych kwot. Zależy im więc na tym, by zbiórek było jak najwięcej i za jak największe kwoty. Nijak w ich interesie nie leży zatrudnienie sztabu fachowców, którzy ocenią, czy rodzina zbierająca na leczenie naprawdę zbiera na pomoc medyczną czy tylko za olbrzymie kwoty kupuje nadzieję.

Te „niezwykłe" terapie zwykle oferowane są za granicą. To może budzić w ludziach przekonanie, że polscy lekarze czegoś jeszcze nie wiedzą, czegoś nie potrafią...

eprasa.pl aa5c8ac814

Gdyby jakaś metoda leczenia, na którą ktoś zbiera pieniądze, miała 5 proc. szansy powodzenia, najpewniej byłaby dostępna w Polsce albo na refundację, albo ktoś z lekarzy oferowałby ją prywatnie, bo nie bałby się, że straci prawo do wykonywania zawodu za jakiegoś rodzaju „medycynę alternatywną".

Gdyby było tak, że jakiś rodzaj nowotworu można usunąć operacyjnie, naprawdę znalazłby się u nas w kraju lekarz, który zrobiłby to za 200 tys. zł plus koszty wynajęcia bloku operacyjnego. I można by to zrobić za tyle u nas zamiast za 2 mln zł w USA.

Warto zrozumieć, że Polska naprawdę nie jest już medycznym skansenem. Mogę porównać nas np. do Szwajcarii – mamy te same leki, ten sam sprzęt, te same metody. Mamy jedynie trochę mniej pieniędzy w systemie, więc może też gorsze materiały, a lekarze gorzej zarabiają, jest ich mniej, tak jak mniej jest pielęgniarek czy asystentów. Jednak leki – np. w programach lekowych w nowotworach – mamy takie same jak w USA. Oczywiście jeszcze nie wszystkie leki mamy, ale w ostatnich latach to szybko się zmienia. I jeśli mówi się u nas o jakiejś dobrej zmianie, to właśnie w tym segmencie państwa ona nastąpiła. Coraz to nowe leki wchodzą na listy refundacyjne i oferujemy pacjentom terapie, które kosztują kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie.

Skoro oferujemy ten sam poziom medycyny, to czy jakimś problemem nie jest u nas wciąż zaufanie do lekarzy? Oczywiście umierający człowiek złapie się każdej obietnicy. Jednak czy nie tkwi w tym jakaś nieufność w zdanie polskich medyków?

To jest złożony problem. Właśnie dlatego zaczynam działanie w social mediach, które nazwaliśmy „OnkologiaNaCito. Jak przeżyć leczenie nowotworowe w Polsce". Zdaję sobie sprawę, że jeszcze wiele w naszym systemie kuleje – opóźnienie diagnozy, opóźnienie rozpoczęcia leczenia, nie wszystkie leki są dostępne. Istnieją zatem różne problemy z leczeniem onkologicznym w kraju, przez które mamy o ok. 10 proc. gorszą wyleczalność niż rozwinięty Zachód.

Tylko to nadal nie jest taka sytuacja, że lekarz w Polsce nie wie, co robi, a ktoś ze Stanów Zjednoczonych wie lepiej i może coś lepiej zoperować czy zaproponować terapię, o której nad Wisłą nie mają pojęcia. Mamy w Polsce topowych specjalistów, którzy nie odbiegają poziomem od najlepszych zachodnich ośrodków.

Oczywiście lekarz zawsze może się pomylić. Może nie zlecić jakiegoś badania, czegoś nie dopilnować, zwłaszcza gdy mamy takie braki kadrowe i taki nawał pracy. I ma nic złego w tym, że pacjent, który otrzymuje informację, iż nadaje się już tylko do leczenia paliatywnego, pójdzie do innego lekarza, by sprawdzić, czy tak naprawdę jest. Jednak gdy w kilku ośrodkach ludzie słyszą, że już nic nie da się zrobić – np. jest to nowotwór glejak wielopostaciowy i mówimy, że przy zastosowanym leczeniu szanse na przeżycie kolejnych dwóch lat wynoszą 2 proc. – to naprawdę nie ma nic w zamian.

Ludzie i tak będą jednak wtedy szukać szansy.

I ja to rozumiem. Ktoś, kto do momentu wystąpienia objawów jest wzorem zdrowia, nagle słyszy, że to już koniec i że nic nie można dla niego zrobić. Jemu się wali życie. I jeśli dowie się, że za granicą ktoś na to samo oferuje jakąś nowatorską immunoterapię, to zbierając w Internecie pieniądze na taką próbę, z własnej perspektywy nic na tym nie traci.

Chciałbym jednak powiedzieć pacjentom i ich rodzinom, które będą to czytać, że jeśli jest metoda leczenia nowotworu albo choćby wydłużenia życia – gdzie za sukces uważamy dziś przedłużenie życia o dwa–trzy miesiące – to te leki są w badaniach klinicznych – i są one za darmo. Płaci za to firma farmaceutyczna, która chce dowieść skuteczności swojego produktu. Płaci za pielęgniarkę, która podaje leki, za lekarza, który zajmuje się terapią. I finansuje to dlatego, że chce po prostu potem zarobić na leku, który okaże się przydatny.

Przy czym w onkologii – bo to ważne dla ludzi – w badaniach klinicznych często porównujemy nowy lek ze starym, nie z placebo. Sięgamy po leki, które działają, i po prostu sprawdzamy, czy ten nowy lek działa lepiej. Pacjent wtedy nie pozostaje bez leczenia. Dlatego polecam najpierw szukać terapii w badaniach klinicznych. Tam pacjent może dostać za darmo coś, co rzeczywiście może mu pomóc, w przeciwieństwie do drogiego leczenia za granicą, za które dziwnym trafem żadna firma farmaceutyczna nie chce zapłacić. Przecież gdyby coś miało się okazać skuteczne, byłby to wielki biznes do zrobienia. Zdrowie dla ludzi jest bezcenne.

Skoro większość zbiórek na drogie zagraniczne terapie to tylko przekazywanie pieniędzy na coś, co ma zwykle wątpliwy sens, to co by pan doradził ludziom stającym w sytuacji, w której nie ma dla nich terapii? Może żeby wydali pieniądze na dobre spędzenie czasu z bliskimi? Na przeżycie czegoś jeszcze?

Nam to się wygodnie mówi, co robić, bo nie jesteśmy tymi, którzy przeżywają ten dramat. Dla pacjenta to jest jego życie. Dla rodzin to jest ta jedyna matka, córka, brat, chłopak…

Mogę tylko powiedzieć, że gdy wszyscy lekarze mówią, iż nie da się wyleczyć lub przedłużyć życia w sensowny sposób, to może warto się zastanowić, czy zamiast na nadzieję nie zebrać pieniędzy na zabezpieczenie przyszłości swojej żony, która zostanie sama, czy swoich dzieci albo na jakość swojego życia – na spędzenie dobrego czasu z bliskimi.

Oczywiście trochę inaczej to wygląda, gdy ktoś ten los na loterii nadziei chce kupić za pieniądze ze zbiórek czy za majątek rodziny lub, co gorsza, kredyt. W tym ostatnim wypadku rodzina zostaje nie tylko bez rodzica czy dziecka, lecz także z potężnymi długami i w dodatku nierzadko z poczuciem po czasie, że to nie miało sensu, że czas, który spędzili w szpitalu, mogli spędzić razem inaczej.

W tym wszystkim pomagać może dobra rozmowa z lekarzem. Czy w Polsce lekarze potrafią powiedzieć we właściwy sposób pacjentowi, że nie mogą już go uratować, że to koniec? Czy są tego uczeni?

Nie byliśmy do tego przygotowywani. Mój rocznik nie miał takich zajęć. Za moich czasów takich rzeczy dowiadywaliśmy się np. na Aeropagu Etycznym dzięki działaniom ks. Jana Kaczkowskiego. Zjeżdżali się tam studenci medycyny, by uczyć się tego na własną rękę. To się zmieniło. Obecnie studenci medycyny są już do tego przygotowywani.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jakub Kosikowski *– lekarz rezydent onkologii klinicznej, członek Okręgowej Rady Lekarskiej w Lublinie, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej.*

eprasa.pl aa5c8ac814

Z twarzą Marlona Brando

Krzysztof Masłoń

„Ojciec chrzestny" to dzieło, które przyćmiło swoich twórców i zyskało mityczną sławę, a jego język i świat na stałe weszły do popkultury. Dorobek literacki jego autora, Maria Puzo, postanowiło przypomnieć Wydawnictwo Albatros w 11-tomowej serii

Pół wieku temu Mario Gianluigi Puzo, wraz z Francisem Fordem Coppolą, dostał Oscara za najlepszy adaptowany scenariusz do filmu „Ojciec chrzestny", jednego z kilku najwybitniejszych obrazów w dziejach kinematografii. Film otrzymał wtedy jeszcze dwa, pewnie ważniejsze, Oscary: za najlepszy film i dla Marlona Brando jako najlepszego aktora pierwszoplanowego, a w ogóle nominowany był w 10 kategoriach. Nie byłoby jednak tego sukcesu połączonego z bezprzykładnym triumfem frekwencyjnym, a co za tym idzie, finansowym (niecały miesiąc po premierze „Ojciec chrzestny" zarabiał milion dolarów dziennie, jako pierwszy film w historii), gdyby nie wydana w 1969 r. książka „The Godfather" Maria Puzo, wcześniej nieznanego dziennikarza i autora niewybrednych historii romansowych czy półpornograficznych, który jednak uparł się, że zostanie pisarzem, i choć jego pierwsze książki nie osiągnęły powodzenia, to trafił wreszcie na temat życia, a stała się nim włoska mafia, z którą naprawdę tyle miał wspólnego, że był włoskiego pochodzenia.

Bo co też z tego wynikało? „Od razu polubiłem Maria: był zabawny, mądry i sympatyczny" – opowiadał Coppola. Ale widział też jego słabe strony: „Nie znał włoskiego. Większość wiedzy o mafii czerpał z zeznań Valachiego. Nie wiedział, że określenie »don Corleone« było niepoprawne… powinno się mówić »don Vito«". Wspomniany Joseph Valachi był gangsterem średniego szczebla, który zeznając przed Kongresem w 1963 r., zdradził tajniki działania cosa nostry, po raz pierwszy używając określenia „ojciec chrzestny". Mario Puzo nauczył się tych zeznań niemal na pamięć.

Temat okazał się wyjątkowo nośny. 21 września 1969 r., po 26 tygodniach na liście bestsellerów, „Ojciec chrzestny" znalazł się na pierwszym miejscu listy bestsellerów, z którego zdetronizowała go dopiero 8 lutego 1970 r. „Kochanica Francuza" angielskiego pisarza Johna Fowlesa. Też już klasyka.

Życie Puzo odmieniło się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zapewnił żonie i pięciorgu dzieci nie tylko stabilizację materialną, lecz także życie w zbytku, sam przenosząc się do Los Angeles, będąc świadomy tego, że literatura zapewni mu chleb, ale już o to, co do niego, postarać się musi w Hollywood. Praca nad scenariuszem „Ojca chrzestnego" okazała się nadzwyczaj owocna. Dość powiedzieć, że po premierze filmu książkę Puzo natychmiast wznowiono w Stanach w miękkiej oprawie w nakładzie 1,5 mln egzemplarzy.

Film zrobił milionera nie tylko z niego, lecz także oczywiście z Coppoli czy kierownika produkcji Ala Ruddy'ego, no i aktorów, choć niekoniecznie z… Marlona Brando. Temu bowiem w zamian za potrzebne mu wtedy natychmiast na opłacenie podatków 100 tys. dol. wytwórnia odebrała udział w zyskach, na czym artysta stracił, bagatela, 11 mln dol.

Puzo wydał po „Ojcu chrzestnym" jeszcze sześć powieści, same bestsellery, i zarobił miliony na pisaniu scenariuszy, nie tylko do kontynuacji trzyczęściowej w końcu opowieści o rodzie Corleone, lecz także do „Supermana" z 1978 r. i jego sequela nakręconego dwa lata później.

eprasa.pl aa5c8ac814

Marlonowi Brando w zamian za potrzebne mu wtedy natychmiast na opłacenie podatków 100 tys. dol. wytwórnia odebrała udział w zyskach z „Ojca chrzesntego", na czym artysta stracił, bagatela, 11 mln dol.

FOT. PARAMOUNT PICTURES /ALBUM/EAST NEWS

Pisarz zmarł na serce 2 lipca 1999 r. w wieku 78 lat.

WYBITNE, AMBITNE, BYLE JAKIE

Dorobek literacki tego autora postanowiło przypomnieć Wydawnictwo Albatros w 11-tomowej serii jego książek dopełnionych bardzo ciekawym, powiedziałbym, reportażem historycznym „Zostaw broń, weź cannoli" o kulisach powstania filmu „Ojciec chrzestny" pióra znanego dziennikarza Marka Seala. Naturalnie Mario Puzo w książce tej obsadzony jest w jednej z głównych ról. W końcu Francis Ford Coppola napisał: „To całkowita prawda, że zawdzięczam swój sukces Mariowi, a jego powieść zmieniła moje życie".

Jasne, że i teraz nad edycją powieści Puzo unosi się duch Vita Corleone. Mamy tu bowiem i trzy książki stanowiące sagę sławnego rodu: „Ojciec chrzestny", „Sycylijczyk" oraz odzyskaną z jakoby pozostawionego przez autora maszynopisu „Rodzinę Corleone" (jako współautor występuje Ed Falco), i dwie także o tematyce mafijnej – „Ostatni don" i wydana już po śmierci autora „Omerta", a jak kto się uprze, to i „Rodzina Borgiów", dokończona w 2001 r. przez towarzyszkę niemałej części życia autora, Carol Gino, odnosi się do tej samej tematyki, tyle że w zupełnie innym wydaniu. Galerię pozostałych tytułów rozpoczyna wczesna „Mroczna arena" z 1955 r., za którą autor zainkasował jedynie zaliczkę w wysokości 3,5 tys. dol., i na tym koniec. W „The Nation" nazwano ją wprawdzie „jedną z najlepszych powieści zainspirowanych przez naszą okupację Niemiec", inne recenzje były jednak krytyczne, jeśli nie druzgocące. Dla nas rzecz jest o tyle interesująca, że znajdziemy w niej z lekka zarysowane wątki polskie. Tu trzeba wspomnieć, że Mario Puzo po tym, jak podczas wojny służył w Siłach Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych, pozostał w Niemczech, pracując dalej dla wojska, ale już jako cywilny publicysta. Sporo więc z tego, co opisał, sam przeżył. A z Niemiec przywiózł do kraju żonę.

Do czasu okupacji Niemiec przez aliantów i odpowiedzialności obywateli tego kraju za wojenne zbrodnie odnosi się również kolejna powieść Puzo „Sześć grobów do Monachium", którą zresztą po raz pierwszy wydał pod pseudonimem Mario Cleri. To już czysta sensacja, gdzie niejaki Genco Bari, jeden z głównych donów mafii, opowiada dość osobliwe historie o Sycylii: „– Czy wiesz, dlaczego żaden kamienny mur na Sycylii nie ma wysokości większej niż sześćdziesiąt centymetrów? – spytał Michaela. – Rząd w Rzymie uważał, że zbyt wielu Sycylijczyków atakuje się nawzajem z zasadzki zza kamiennych murów, toteż doszedł do wniosku, że ograniczenie ich wysokości zredukuje liczbę morderstw. Cóż za głupota. Nic nie powstrzyma ludzi przed wzajemnym zabijaniem się".

Dalej mamy jeszcze „Dziesiątą Aleję", na podstawie której w 1988 r. powstał serial „Mamma Lucia" z Sophią Loren w roli głównej. Jest tu nieco autobiografii, dla postaci tej wzorem była bowiem matka pisarza. Podobno bardzo chciała, by syn został urzędnikiem kolejowym. „To była jej największa ambicja" – wspominał Puzo.

Wreszcie edycję zamykają dwie książki, opatrywane tym samym nadużywanym często określeniem „naj". Jest to ponoć najwybitniejsza z powieści „Głupcy umierają", której lektura mocno mnie jednak znużyła, może dlatego, że jej lwią część zajmują opisy rozgrywek w kasynach, a te, jak wiadomo, pasjonują wyłącznie hazardzistów. No a tak się składało, że jeśli chodzi o hazard, to Puzo był nałogowcem. Pewnie dlatego tak bardzo odpowiadało mu pisarstwo Dostojewskiego.

Kolejny „naj" odnosi się do „Czwartego K" (1990), najambitniejszej – jak utrzymywał sam autor – jego powieści. „Czy wiesz, że dziewięćdziesiąt osiem procent przestępstw pozostaje bez kary? – retorycznie pyta w niej nowo mianowanego szefa FBI amerykański prezydent, tytułowy Czwarty K, kolejny Kennedy zresztą. – Nietzsche określił to już dawno temu: »Społeczeństwo, kiedy staje się miękkie i tkliwe, staje po stronie tych, którzy wyrządzają mu krzywdę«. Instytucje religijne, z całym tym swoim gównianym miłosierdziem, wybaczają zbrodniarzom, wszystkim tym sukinsynom. Najgorszą rzeczą, jaką widziałem, była ta matka w telewizji, której córkę zgwałcono i zabito w tak okropny sposób. I wiesz, co powiedziała? »Wybaczam im!«. A kto jej niby dał jakieś zasrane prawo, żeby wybaczać zbrodniarzom?".

Powieściowy prezydent stwierdza również, że biali boją się czarnych, czarni białych, a bogaci biednych. Starsi obywatele noszą broń w torbach na zakupy, gdyż boją się młodych. Kobiety, w obawie przed gwałcicielami, starają się zdobyć czarny pas, a tysiące spośród nich nosi przy sobie broń palną.

Francisowi Xavierowi Kennedy'emu, tak krytycznie oceniającemu stan bezpieczeństwa obywateli amerykańskich, przyjdzie zmierzyć się z wyzwaniem ze strony terrorystów, którzy porwą mu córkę w tym samym dniu, w którym zabiją papieża. Ten krewniak sławnych stryjów – Johna i Roberta Kennedych – nie uzna tego za przypadkowe i dokona zemsty. Przy okazji swoje marzenie o stworzeniu państwa prawa, odkładając ad Kalendas Graecas. A gdy terroryści dokonają egzekucji także na jego córce, poczuje, że „ma władzę i użyje tej władzy. Może sprawić, że jego wrogowie zadrżą, może sprawić, że ślina zgorzknieje im w ustach. Może zmieść wszystkich tych małych, nic nieznaczących ludzi, wszystkich tych, którzy omroczyli tragedią jego życie i jego rodzinę".

Należy wspomnieć jeszcze, że powstały również książki kontynuujące „Ojca chrzestnego": „Powrót ojca chrzestnego"

eprasa.pl aa5c8ac814

(2004) i „Zemsta ojca chrzestnego". Napisał je, w porozumieniu ze spadkobiercami, Mark Winegardner, ale funkcjonują one poza kanonem, który wyszedł spod ręki Puzo. To swoją drogą ciekawe, jak chętnie rodzina przystaje na tworzenie kolejnych historii na kanwie „Ojca chrzestnego". Pod tym względem znacznie twardsi są właściciele praw filmowych (swego czasu wytwórnia Paramount kupiła prawa do ekranizacji powieści Puzo za… 12,5 tys. dol.). Corleone stał się marką i dlatego np. nazwisko to nie mogło paść w ekranizacji „Sycylijczyka", której w 1987 r. dokonał Michael Cimino. Choć Michael Corleone występuje w powieści pod tym tytułem, jak najbardziej.

STRACH, A TAKŻE PODZIW

Widzieli państwo, „Poranek kojota", film Olafa Lubaszenki z 2001 r.? Kto nie widział! No to zapamiętali państwo zapewne czytelnicze wyznanie gangstera Dzikiego, który w te słowa zwraca się do wyjątkowo antypatycznego Stefana: „W moim życiu przeczytałem dwie książki. Jedna z nich to »Ojciec chrzestny«. Gdybyś ją przeczytał, to wiedziałbyś, że pieniądze to nie wszystko, że nie zdradza się przyjaciół i nie dmucha ich żon, ale niestety zapchałeś sobie głowę jakimiś pierdołami o żabach i teraz na siłę próbujesz zainteresować tym innych, nie Krzysiu?". Tak retorycznie pyta Krzysztofa Jarzynę ze Szczecina, szefa wszystkich szefów. I w tym momencie Stefan już wie, że ma przechlapane.

Gangsterzy z wcześniejszej „Sary" (1997) Macieja Ślesickiego w wolnych chwilach wraz ze swoim bossem też nie robią nic, tylko na okrągło oglądają sławny film Coppoli. Z braku miejsca nie wymieniam tu litanii innych filmów, w których cytuje się „Ojca chrzestnego", odwołuje się do niego, a i go parodiuje. W Ameryce, gdzie kino gangsterskie nie święci już może takich triumfów jak przed laty, ale wciąż pozostaje istotnym gatunkiem sztuki (?) uprawianej w Hollywood i okolicach, powstały ich setki. A w końcu nie byłoby jednego z najchętniej oglądanych i najczęściej nagradzanych seriali telewizyjnych przełomu wieków XX i XXI, jakim była „Rodzina Soprano", gdyby nie „Ojciec chrzestny", do którego nawiązywała, nawet poprzez wyraźną wobec niego opozycję, przede wszystkim w postaci głównego bohatera: Tony Soprano był bandziorem, Vito Corleone budził strach, a także podziw.

Na pewno „Ojciec chrzestny" to dzieło, które przyćmiło swoich twórców i zyskało mityczną sławę, a jego język i świat na stałe weszły do popkultury. Także np. muzyka z tego filmu. W 2015 r. odwiedziła Warszawę i Wrocław, w czasie swojego tournée, orkiestra symfoniczna pod batutą amerykańskiego dyrygenta Justina Freera, prezentując The Godfather Live, czyli graną równolegle z wyświetlanym na ekranie filmem muzykę Nino Roty. Wśród publiczności było bardzo wielu młodych ludzi, dla których – widać – opowiedziana przez Puzo i Coppolę historia z Vito Corleone w roli głównej wcale nie jest prehistorią. A muzyka broni się sama. I pomyśleć, że mało brakowało, a byłaby zupełnie inna, gdyż Robert Evans, szef produkcji Paramountu, zdecydowanie wolał Henry'ego Manciniego. Na szczęście Coppola był w tej kwestii (nie tylko w niej zresztą) bardziej zdeterminowany. Muzyka do filmu przyjęta została wręcz entuzjastycznie i Nino Rota z pewnością dostałby Oscara, gdyby członkowie Akademii nie doszli do wniosku, że część „motywu miłosnego" została użyta w innej wersji w „Fortunelli" – włoskim filmie Felliniego z 1958 r. A i tak kilka wersji trafiło na listy przebojów. Na premierze motyw przewodni z „Ojca chrzestnego" grała Orkiestra Glenna Millera, a tekst do kompozycji Nino Roty śpiewał Andy Williams. No i pięknie, choć o popularności filmu i wszystkiego, co z nim związane, niech najdobitniej świadczy to, że w takim np. Białymstoku zaraz po pierwszych seansach na dancingach w knajpach zaczęto grać piosenkę z, powiedzmy, luźno związanymi z oryginałem słowami. Zaczynała się tak: „Mój chrzestny ojciec w Białymstoku woził gnój…".

I podobnie działo się, jak sądzę, na całym świecie.

MAŁE PUDEŁKO Z PIEKARNI

Słowa „ojciec chrzestny" stały się synonimem władzy i pieszczotliwym określeniem. Kwestia „Złożę mu propozycję nie do odrzucenia" w 2005 r. została uznana przez Amerykański Instytut Filmowy za drugi najpopularniejszy cytat z amerykańskiego kina, ustępując tylko słowom: „Szczerze, moja droga, to mam to gdzieś" z „Przeminęło z wiatrem".

Sekretarz stanu Henry Kissinger powiedzieć miał mu po projekcji: „Bob, kiedy widownia płacze po śmierci gangstera, który na jej oczach zabił setki ludzi, mamy do czynienia z arcydziełem"

FOT. PHOTOSHOT/REPORTER

Mark Seal wyłuszcza też, jak rodziła się jedna z najczęściej cytowanych filmowych kwestii wszech czasów.

„Wszystko poszło jak po maśle. Castellano w roli Clemenzy wysiada z samochodu, żeby się wysikać. Rocco, zabójca na tylnym siedzeniu, celuje z atrapy pistoletu w głowę Pauliego Gatto. Rozlegają się trzy głośne wystrzały i pociski z karabinu dziurawią szybę. Clemenza na chwilę podnosi wzrok i obraca głowę. Martwy Gatto leży na kierownicy.

Clemenza zapina spodnie i wraca do samochodu. A potem Richard Castellano, który miał za sobą dziesięć lat doświadczeń aktorskich na scenie i ekranie, wypowiada kwestię, którą Coppola zapisał dla niego w scenariuszu:

– Zostaw broń.

Pistolet, razem ze zwłokami Pauliego Gatto, miał zostać jako ostrzeżenie dla tych, którzy zdradzili rodzinę Corleone albo zamierzali to zrobić w przyszłości. »Przed sprawiedliwością donna nie ma ucieczki«, zapisał Coppola w swoim notatniku. Dwaj zabójcy przygotowują się do opuszczenia miejsca zbrodni.

Wtedy, chociaż nie ma tego w powieści Puza ani w scenariuszu Coppoli, Castellano przypomina sobie, o co prosiła go żona, i dodaje słowa, które wkrótce miały się stać sławne:

– Weź cannoli.

Rocco, cyngiel Clemenzy, zabiera z tylnego siedzenia małe białe pudełko z piekarni, a jego szef chwyta sznurek pulchnymi dłońmi.

Na planie nikt nie bił brawa ani nawet nie zwrócił na to większej uwagi.

Być może nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało: że Richard Castella-

eprasa.pl aa5c8ac814

no zaimprowizował jedną z najczęściej cytowanych filmowych kwestii wszech czasów.

»Zostaw broń. Weź cannoli«.

W tych słowach zawarło się wszystko: żona, dzieci, ojcowie, matki, kuchnie, rodziny, jedzenie i to, do czego mężczyźni byli zdolni, by je zdobyć. Owszem, chodziło o broń, ale bardziej o cannoli. O statuę, która stoi w oddali, zwrócona plecami do sceny zbrodni. O kraj, który odwrócił się od tych ludzi, i tylko Ojciec Chrzestny był w stanie zapewnić im sprawiedliwość, pracę i godność.

A przede wszystkim chodziło o rodzinę.

»Jest tylko jedno wyjaśnienie, dlaczego ten film odniósł taki sukces – powiedział Al Ruddy kilkadziesiąt lat później. – To chyba najwybitniejszy film rodzinny w historii«.

Anthony Puzo odniósł się do tej kwestii, gdy pisał o swoim ojcu: „Uważał, że nikt nie przywiązuje takiej wagi do wartości rodzinnych jak Włosi. To dlatego tak dobrze czuli się w mafii. Często mawiał, że »Ojciec chrzestny« tak naprawdę jest pokrzepiającą opowieścią o rodzinie wyznającej solidne wartości".

TRAFIĆ W PUNKT

W biografii Marlona Brando, „Somebody", Stefan Kanfer napisał, że Puzo „zaspokajał rozpaczliwe pragnienie racjonalności i kontroli, nawet w świecie przestępców. Czytelnicy, bombardowani licznymi wiadomościami o kłopotach w kraju i za granicą, szturmowali księgarnie, zupełnie jakby chcieli wierzyć, że Vito Corleone istnieje, że przywódca mafii może mścić się na złoczyńcach, szukając własnej wersji sprawiedliwości i kontrolując z zacisza swojego pokoju rozległe obszary współczesnego życia".

Film, choć pozbawiony niektórych wątków i choć częściowo łagodzący pewne sceny, potwierdził trafność pierwszych reakcji czytelniczych. Tyle że i wśród nich zdarzały się i nieoczekiwane. Coppola np. powiadał o książce Puzo i tak: „Zacząłem ją czytać, ale przerwałem po około pięćdziesięciu stronach. Uznałem, że to dosyć tandetna powieść sensacyjna. Dotarłem do miejsca, w którym pojawiają się piosenkarz rzekomo wzorowany na Franku Sinatrze oraz dziewczyna, którą Sonny Corleone uwielbiał, ponieważ miała ogromną waginę. Pomyślałem, mój Boże, co to ma być, »Rogate dusze«? Przerwałem lekturę i dałem sobie spokój". Chciał wtedy nakręcić „Rozmowę" i już.

Jednak Al Ruddy, gdy otrzymał telefon z pytaniem, czy chce wyprodukować „Ojca chrzestnego", odpowiedział: „Jasne, oczywiście, uwielbiam tę książkę", chociaż jej nie czytał, w tym nie ma zresztą nic dziwnego, bo ludzie kina czytają tylko wówczas, gdy ktoś im za czas spędzony na lekturze zapłaci. I to szczodrze.

Dla autora „Ojca chrzestnego" po sukcesie filmu stał się pierwszą gwiazdą scenariuszopisarstwa. Już w 1974 r. do kin weszło „Trzęsienie ziemi" Marka Robsona z jego scenariuszem, potem były „Supermany", kolejne części „Ojca chrzestnego", a także „Cotton Club" zrobiony w 1984 r. też z Coppolą, ale słusznie uznany za porażkę, a wreszcie w 1992 r. wielką klęskę poniósł „Kolumb odkrywca", za scenariusz do którego nominowany został do Złotej Maliny. Filmowi Johna Glena nie pomogli ani Marlon Brando, ani też Puzo, o którym wcześniej twierdzono, że wszystko, co napisze, zamienia się w złoto.

À propos Złotych Malin… Tę dostała, za swoją rolę w „Ojcu chrzestnym III", córka reżysera – Sophia Coppola, jako najgorsza debiutantka (co nie było do końca prawdą, gdyż zagrała już w pierwszej części „Ojca chrzestnego", obsadzona jako niemowlę i to płci męskiej) i najgorsza aktorka drugoplanowa. W komentarzach mówiono o ukaranym w ten sposób nepotyzmie artystycznym, co nie do końca było prawdą, bo wcześniej w roli Connie Corleone obsadził Coppola własną siostrę, Talię Shire. I trafił w punkt.

A z najważniejszego wieczoru w swoim życiu – 14 marca 1972 r., dnia światowej premiery „Ojca chrzestnego" – Robert Evans najbardziej zapamiętał, że do nowojorskiego Loew's State Theatre wchodził wraz ze swoją ówczesną żoną Ali MacGraw u jednego boku i sekretarzem stanu Henrym Kissingerem u drugiego.

Kissinger powiedzieć miał mu po projekcji: „Bob, kiedy widownia płacze po śmierci gangstera, który na jej oczach zabił setki ludzi, mamy do czynienia z arcydziełem".

„Adaptacja jednej z najbardziej poczytnych powieści wszech czasów tchnęła nowe życie w Hollywood – pisze Mark Seal. – Ocaliła Paramount Pictures, przedstawiła światu Francisa Forda Coppolę, jednego z najwybitniejszych reżyserów nowej ery kina, stworzyła nowe pokolenie gwiazd filmowych, przyniosła bogactwo scenarzyście, reżyserowi i producentowi, a także stała się zarzewiem wojny między dwiema największymi amerykańskimi potęgami: rekinami z Hollywood i żołnierzami mafii". O tej wojnie (za duże to chyba słowo) przeczytać możemy teraz w książce „Zostaw broń, weź cannoli", a komplet powieści, które napisał Mario Puzo, pozwala nam ocenić rangę jego pisarstwa i wyjątkowość na tym tle „Ojca chrzestnego", którego tytułowy bohater już na zawsze będzie miał twarz Marlona Brando.

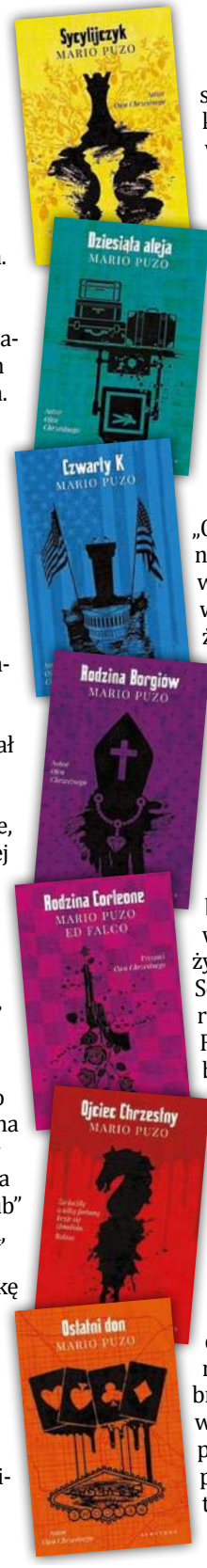

Seria Wydawnictwa Albatros

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

Albertina chyli głowę przed antykiem

Piotr Semka z Wiednia

Wiedeńska Albertina na specjalnej wystawie przypomniała niedawno wzory antycznej waleczności i wierności

Nie chcę ukrywać naszego podziwu dla antyku na tej wystawie" – podkreśla Klaus Albrecht Schröder, dyrektor generalny muzeum Albertina w Wiedniu. Wystawa „Bogowie, bohaterowie i zdrajcy" nie epatuje wielkimi nazwiskami, ale skupia się na poznaniu i dostrzeżeniu na nowo historycznych grafik europejskich z ok. 1800 r. Muzeum w stolicy Austrii zaprasza w podróż do świata pełnego patosu, mitologii, surowej moralności, które ilustrują opowieści niekiedy trudne do rozszyfrowania.

KOLEKCJA KAWALERA ORŁA BIAŁEGO

Albertina przypomina tą wystawą o swoich początkach. W końcu prawie wszystkie z 74 pokazywanych tu dzieł, powstałych w latach 1760–1820, a więc w epoce klasycystycznej, nabył sam książę Albert Sasko-Cieszyński (1738–1822), którego kolekcja grafik była bazą do powstania Albertiny. Pomyślmy życzliwie o tym arystokracie. Był to bądź co bądź królewicz polski. Miał prawo do tego tytułu jako syn króla polskiego Augusta III i Marii Józefy Habsburżanki. Dzięki tak wysokiemu urodzeniu już w kołysce oznaczony został w 1738 r. Orderem Orła Białego. Po co był oseskowi najważniejszy polski order, tego już na wystawie się nie dowiemy, choć może był to jakiś dworski wymóg.

Nie ma co ukrywać, że Albert specjalnie Polakiem nigdy się nie czuł. Ojciec co prawda nosił polską koronę, ale był Saksończykiem, matka zaś była Austriaczką i to dlatego jej habsburska rodzina zadbała, by syn szybko wylądował w Wiedniu pod opiekuńczymi skrzydłami cesarskiej rodziny. I to ona zadecydowała, że w kwietniu 1766 r. Albert Kazimierz, bo tak miał na drugie imię książę, ożeni się z arcyksiężną Marią Krystyną, ulubioną córką cesarzowej Marii Teresy. Wbrew obawom okazali się dobrym małżeństwem i chyba szczerze się kochali. W epoce licznych faworyt, awanturnic i sączącego z Francji libertynizmu nie było to takie znów częste.

Małżeńskie szczęście Alberta przerwała śmierć jego żony w 1798 r. Zrozpaczony książę zlecił znanemu włoskiemu rzeźbiarzowi Antonio Canovie wykonanie w wiedeńskim kościele Augustianów nagrobka

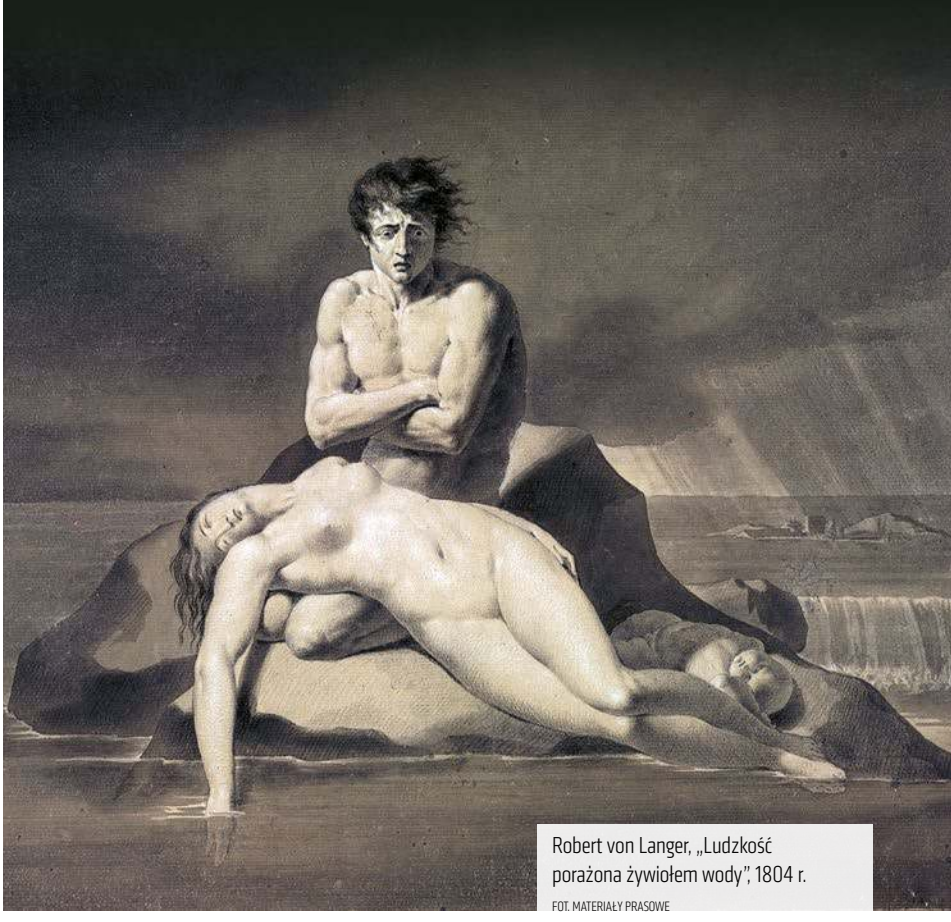

Robert von Langer, „Ludzkość porażona żywiołem wody", 1804 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl aa5c8ac814

z dedykacją „Uxori optimae" (najlepszej żonie). Pogrążony w smutku Albert mieszkał do końca życiu w Wiedniu, poświęcając się kontemplowaniu sztuki oraz budowaniu swojego zbioru rycin.

I dziś z tej pasji kolekcjonerskiej możemy skorzystać i my. Dyrektor generalny Albertiny żartuje: „Książę Albert pełni rolę swego rodzaju drugiego kuratora wystawy obok jej twórczyni pani Julia Zaunbauer". Jednak tej wystawy nie byłoby, gdyby nie epidemia COVID. Schröder miał w czasie pierwszej kwarantanny związanej z pandemią koronawirusa czas, aby przekopać się przez ok. 60 tys. rysunków inwentarza i – jak wspomina – natknął się na dużą liczbę obrazów historycznych. To narodziło pomysł ekspozycji, która pokazuje dzisiejszemu widzowi, jakiej wizji historii hołdowały europejskie elity ok. 1800 r.

Była to epoka, którą wykreował wielki teoretyk klasycyzmu Winckelmann. Były to czasy, kiedy brytyjscy lordowie wydawali fortuny na odkopywane przez poszukiwaczy zabytków dzieła sztuki greckiej i rzymskiej. W modę na klasycyzm wstrzelili się liczni malarze i graficy. W końcu każdy, chcąc uchodzić za liberalnego, musiał na ścianach mieć pełno miedziorytów ze scenami z klasycznej historiografii.

CLIO LUBI GRECKIE TUNIKI I RZYMSKIE TOGI

W okolicach 1800 r. obraz historyczny odwołuje się do greckiego świata bogów, najważniejszych wydarzeń z historii Rzymu czy motywów ze Starego Testamentu. Twórcy dzieł byli przekonani, że sztuka powinna być kompasem moralnym dla odbiorców i pokazywać konsekwencje braku nienagannego zachowania. Przedstawienie wydarzeń z mitologii starożytnej czy z dziejów Rzymu nie było nowością. Już w renesansie poszukiwano klucza do tajemnicy piękna, harmonii i treści, moralności i edukacji w sztuce antyku.

W oświeceniu albo w epoce klasycyzmu promowano nie tylko klasyczne zasady projektowania, tak jak przejrzystość formy. Na czasy współczesne przenoszono również antyczne wartości moralne i wychowawcze. Bohaterowie, których możemy zobaczyć w salach Albertiny, przedstawiani byli jako szczególnie sprytni, lojalni lub ofiarni. W ostatecznym rachunku mieli być wzorem do naśladowania. Ideały klasyczne zawsze służyły do przypominania, że kiedyś był złoty wiek, w którym władcy byli sprawiedliwi, patroni rodów miłosierni, herosi umieli ginąć za ważne idee, a kobiety błyszczały cnotami i oddaniem dla macierzyństwa.

Bartolomeo Pinelli, „Pojedynek pomiędzy Eteoklesem a Polinejkesem"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„To nie był wynalazek XVIII w." – podkreśla kuratorka Julia Zaunbauer, wskazując, jak w odrodzeniu odkryto renesans. „Ale to w tym okresie sztuka przeżyła przełom, kiedy klasycyzm pod względem treści i stylu zwrócił się ku antykowi i poszukiwał prostoty i klarowności. Gatunek grafiki miedziorytu był wówczas uważany za najbardziej doskonałą dyscyplinę, ponieważ artyści musieli wcześniej opanować np. malowanie martwej natury do dokładnego odwzorowania broni. Wymagane było także mistrzostwo w malarstwie pejzażowym i od malarzy wymagano biegłości niemal równej operowej scenografii.

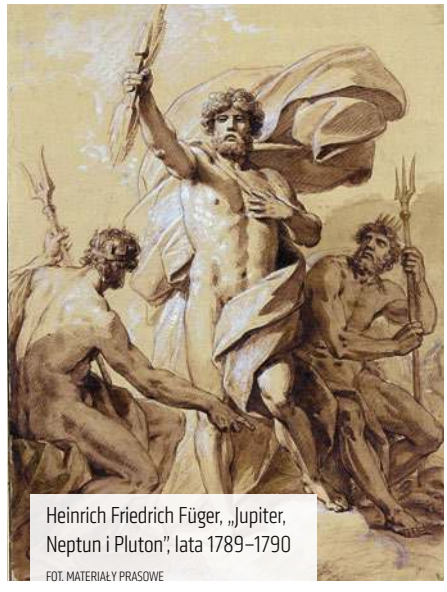

Heinrich Friedrich Füger, „Jupiter, Neptun i Pluton", lata 1789–1790
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Czy dziś opowieści o herosach się zestarzały? Bogowie, historycy i zdrajcy – to brzmi jak kinowy hit. Czy kosmiczne przygody superbohaterów Marvela, uniwersum DC Comics czy »Gwiezdnych wojen«, które dominują gdzieś w multipleksach na całym świecie, nie są wariacjami na temat tych trzech głównych wątków wystawy?" – pisze recenzent ekspozycji z wiedeńskiego dziennika „Kurier".

W tym sensie od gustu naszych pradziadów z początku XX w. nie oddaliliśmy się aż tak bardzo, jak bylibyśmy gotowi to przyznać. Amerykańska Superwoman ma przecież w sobie wiele z potężnej bogini Hery.

SKŁĘBIONE CIAŁA I KURZ BITEWNY

„Każdy, kogo ogarnia bezradność podczas przechodzenia przez kolejne sale wystawy, może być pocieszony" – pisze w swej recenzji krytyk Austriackiej Agencji Prasowej. Pocieszony w tym sensie, że nawet spece Albertiny nie potrafili w wypadku niektórych dzieł rozgryźć, kogo koniec końców uwiecznił artysta. Widz staje wobec dziesiątek niekiedy bardzo dużych grafik z herosami w romantycznych pozach. Staje oko w oko naprzeciw antycznych bóstw ciskających gromy i pioruny na ziemskich śmiertelników. I musi sobie zadać dużo trudu, aby

eprasa.pl aa5c8ac814

Jacques-Louis David, „Walka Diomedesa", 1776 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ogarnąć niekiedy wieloplanowe sceny bitewne. Czy na wystawę trzeba brać do kieszeni egzemplarze „Iliady" i „Odysei", aby rozeznać się w tym, kto jest kim w tłumie antycznych wojowników? To na pewno przesada, ale też nie ma co ukrywać, że lepiej zwiedza się wystawę, gdy przeszło się w szkole średniej sumiennie lekcje o bojach Spartan i Rzymian.

Dyrektor Albertiny Schröder bez oporu przyznaje, że niekiedy on sam, nawet mimo długiego analizowania treści grafiki, nie był w stanie do końca zidentyfikować ani tematu, ani tytułu pracy. Jak wyznaje: „W wypadku takich dzieł stajemy przed nim jak przed szkieletem dinozaura, którego wielkość szkieletu podziwiamy, ale którego niegdysiejszy wygląd możemy tylko sobie wyobrazić". Jednak takie problemy musiały na przełomie wieków XVIII i XIX przytrafiać się także wielu współczesnym księcia Alberta Sasko-Cieszyńskiego. „Nawet wtedy tematy były raczej elitarnymi układankami obrazkowymi, których zawartość szczegółowo omawiali kiedyś kolekcjonerzy, często spierając się w przyjemnej atmosferze" – wskazuje Julia Zaunbauer, kurator wystawy.

Zmuszanie do pracy umysłowej było istotnie zamierzone, a edukacja widza była ideałem artysty. „Przeczytacie na wystawie wiele tytułów i nazw, o których nigdy nie słyszeliście" – zapowiada pani kurator wystawy. I dodaje: „Tytuły, które odnaleźliśmy, i ich zakres tematyczny obejmują m.in. mity greckie autorstwa malarza Roberta von Langera (1783–1846), motywy literackie tak lubiane przez szwajcarsko-angielskiego prekursora fantastyki Johanna von Füssliego (1741–1825) czy historię rzymską Angeliki Kauffmann (1741–1807), która na wystawie reprezentuje twórczość ówczesnych kobiet.

Jednak w największym stopniu ekspozycja w Albertinie skupia się na pracach mistrza Heinricha Friedricha Fügera (1751–1818) urodzonego w Heidron w Wirtembergii, w południowych Niemczech. Füger jako dyrektor akademii uczynił z Wiednia centrum klasycyzmu na kilka dziesięcioleci. Gdy ogląda się jego grafiki, czuć, że artysta przez osiem lat pracował w Rzymie, gdzie studiował starych mistrzów. W końcu w 1784 r. osiadł w Wiedniu, otrzymując stanowisko nadwornego malarza rodu Habsburgów i dyrektora galerii obrazów w Belvedere. Dla dzieł Fügera zarezerwowano na wystawie osobną salę.

DOPNIJ SWEGO LUB ZGIŃ

Dyrektor Schröder podkreśla wielki patos prezentowanych obrazów historycznych. O znaczeniu tego gatunku dla sztuki XVIII w. świadczy choćby często powielana grafika „Walki Diomedesa" z 1766 r. autorstwa Jacques'a-Louisa Dawida na temat „Iliady" Homera. Według Schrödera „obraz ten był »poszukiwany« przez prawie dwa stulecia" – długi czas nie było wiadomo, za jakie dzieło artysta otrzymał w 1774 r. słynne Prix de Rome. Dopiero w 1956 r. wyszło na jaw, że nagrodę przyznano nie za olej na płótnie, ale za rysunek. Wszystko to zostało odkryte przez austriackiego historyka sztuki Wernera Hofmanna, który pracował w Albertinie w latach 50.

Błądząc po salach wiedeńskiego muzeum pełnego obrazów walk antycznych herosów, przypomniałem sobie dramat Stanisława Wyspiańskiego „Noc listopadowa". Czy to aby nie pod wpływem takich obrazów z nurtu klasycyzującego nasz geniusz teatru zaludnił sceny z wybuchu powstania styczniowego postaciami z drugiego, równoległego świata antyku, którego boginie wychwalają cnoty męstwa i odwagi? Czy nasza polska kultura stawiałaby tak wysoko ideały waleczności i wierności, gdyby nie kontakt ze sztukami Homera i Wergiliusza?

Dziś już wykształcenie klasyczne jest w zaniku. Przedwojenni uczniowie byle gimnazjum wiedzieli więcej o imionach bohaterów antycznych eposów niż doktoranci z uczelni humanistycznych naszych czasów. Tym bardziej warto było zajrzeć do wiedeńskiej Albertiny, aby chociaż na parę godzin przypomnieć sobie wzory antycznej waleczności i wierności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „Bogowie, bohaterowie i zdrajcy. Obraz historyczny ok. 1800 roku" eksponowano w Albertinie w Wiedniu do 27 sierpnia. Szczegóły na www.albertina.at.

eprasa.pl aa5c8ac814

Już 4 września w „Do Rzeczy” dodatek

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl aa5c8ac814

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

sky SHOWTIME

Worek pokutny

Dawno, dawno temu, kiedy w Ameryce królował rasizm, wątłą nadzieję na lepszą przyszłość zgasili źli ludzie: Ronald Reagan, gdyż dał się obrać prezydentem, oraz Fred Trump, gdyż był biały, bogaty (ach, miejmy też w pamięci złowrogi cień jego syna!). Obu tych panów nic nie różniło od Josepha Goebbelsa, a los czarnoskórej mniejszości był równie ponury jak Żydów w ukraińskim Ostropolu w czasach, gdy dochodziło do pogromów. Tak, wiem, streszczam stronniczo.

Reżyser James Gray wywodzi się z rodziny żydowskich emigrantów, która z rzeczonego Ostropola wyjechała. Opowieść „Armageddon Time" reklamuje jako powrót do krainy dzieciństwa, rzecz o dorastaniu imigrantów w Nowym Jorku wysnutą z własnych doświadczeń. Startuje więc w tej samej konkurencji, co Spielberg z „Fabelmanami", Almodóvar z „Bólem i blaskiem", Branagh z „Belfastem" czy Mendes z „Imperium światła". Sporo go łączy z tym ostatnim, bo Mendes przy okazji opowieści o swojej matce i o narodzinach miłości do kina musiał głośno pojękiwać, jakim strasznym miejscem była Anglia za czasów Margaret Thatcher. Otóż w „Armageddon Time" nawet dziecięcych miłości do czegokolwiek brak, zostało tylko pojękiwanie: my wstrętni biali, my wstrętni rasiści, bogacze nas zmuszają do bycia podłymi, a czarnych wykluczają systemowo.

Proszę mnie zrozumieć – afroamerykańska mniejszość ma w USA rachunki krzywd, których żadna ręka nie przekreśli, ale tak łopatologicznej ekspiacji jak u Graya nie widziałem chyba dotąd w żadnym filmie wielkich reżyserów amerykańskich. A Gray jest takim reżyserem, bo filmy „Ad Astra", „Zaginione miasto Z" czy „Kochankowie" to dzieła wybitne, a „Mała Odessa", „Królowie nocy" czy „Imigrantka" – bardzo dobre. Teraz Gray zaoferował nam film, który zachwyci recenzentów „New York Timesa" albo „Guardiana", ale nic poza tym. Nawet Anthony Hopkins jako dziadek głównego bohatera średnio tu pasuje, bo nie kojarzy się z Europą Wschodnią, tylko z esencją brytyjskości. I po co to wszystko? I po nic. Typowano „Armageddon Time" jako jeden z ważnych, mocnych filmów roku 2022, oczekując gradu nagród. Film Graya zignorowali w branży nawet ci, którym chciał się podlizać, czyli gremia przyznające nominacje do Oscarów czy Złotych Globów. Jest u nas w streamingu, irytując mnie niezmiernie – jak to bywa w przypadku zawiedzionych miłości. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. JAMES GRAY
„ARMAGEDDON TIME"
USA 2022

wyst. Banks Repeta, Jeremy Strong, Anne Hathaway, Anthony Hopkins

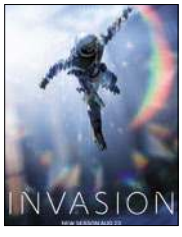

NOWE SERIALE: „INWAZJA" tv+

Serial „Inwazja" był jedną z ciekawszych premier roku 2021: wielowątkowa opowieść o zwykłych ludziach i ich postawach w obliczu nadejścia obcych. Dwa lata później dostajemy ciąg dalszy: obcy okupują sporą część naszej planety, a znani już (oraz nowi) bohaterowie na różne sposoby angażują się w walkę i muszą dokonywać trudnych wyborów. Dużo więcej tu już efektów specjalnych, mniej suspensu. Zmiana tonu jest na tyle istotna, że można powiedzieć: rzecz zaczyna się na nowo, z większym wykopem. ©℗ ***Piotr Gociek***

• *sezon 2* ***„Inwazja" („Invasion")****, USA 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 3* ***„Ojciec chrzestny Harlemu" („Godfather of Harlem")****, USA 2023* CANAL+ ONLINE

• *reż. Oz Rodriguez* ***„Miguel chce się bić" („Miguel Wants to Fight")****, USA 2023* Disney+

• *reż. Tom Harper* ***„Misja Stone" („Heart of Stone")****, USA 2023* N

eprasa.pl aa5c8ac814

Wersal się skończył KINO

Kaprys kobiety ma siłę bomby atomowej. Gdy Maïwenn postanowiła zagrać o 22 lata młodszą kurtyzanę, której uroda i seksapil oszołomiły nawet tak wytrawnego konesera damskich wdzięków, jakim był Ludwik XV, nikt i nic nie mogło jej powstrzymać. Rezultatem jest film wywołujący konsternację w kręgach znawców historii Francji. Prawdziwa madame du Barry, nieślubna córka mnicha i kucharki, była pazerną prostaczką. Ekranowa jest oczytaną libertynką, protektorką poetów i artystów, powiewem świeżości w zakłamanym Wersalu. Szczera i spontaniczna Jeanne nie wstydzi się okazywać uczuć, które inni starannie ukrywają. Salonowcy silą się na dowcipy, ona ma wrodzone poczucie humoru. Maïwenn – scenarzystkę i reżyserkę – ciągnie w stronę karykatury. Portretuje Burbonów oraz ich dwór jako zbiór durni lub hipokrytów. Ludwik jest zblazowany i zmęczony życiem, nawet faworyta o aparycji wiedźmy nie potrafi wyrwać go z letargu. Dewoci nazywają hrabinę „grzechem wcielonym". O tym, że madame du Barry była znienawidzona przez ogół Francuzów, widzących w niej symbol dekadencji monarchii, z „Kochanicy króla" się nie dowiemy. Forma trąci myszką. Przedstawiciele nacji, tak dumnej z rewolucyjnych skłonności, epatują teatralnymi wyciemnieniami tudzież narratorem, który objaśnia to, co każdy widzi na własne oczy. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆
REŻ. MAÏWENN
„KOCHANICA KRÓLA JEANNE DU BARRY"
FRANCJA 2023

wyst. Maïwenn, Johnny Depp, Benjamin Lavernhe

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WYBUCHOWY KAPITALIZM KINO

Nie wiadomo, co bardziej podziwiać. Upór, z którym Liam Neeson wciela się w zwykłaków poddanych wyzwaniom, z którymi poradziłby sobie jeden na stu komandosów, czy biznesowy talent właścicieli praw autorskich „Ultimatum". Koncept jest średnio odkrywczy. Bohater rozbija się po Berlinie furą za 100 tys. euro, mając na tylnym siedzeniu dzieciaki, a pod fotelem bombę, która wybuchnie, jeśli nie spełni żądań tajemniczego terrorysty. Obecna wersja jest czwarta (po hiszpańskiej, niemieckiej i koreańskiej) i – jak mniemam – najbardziej efektowna.

Antal kiedyś zrobił „Kontrolerów", teraz to reżyser rzemieślnik do wynajęcia. Rozwiązanie zagadki trochę rozczarowuje, a antykapitalistyczne tyrady śmieszą, jednak film ogląda się bez bólu. Poincie przyklaśnie każdy, bez względu na płeć, rasę oraz stosunek do 14. emerytury. Czasem dobrze jest znaleźć się w strefie niedostępnej dla telefonii komórkowej. ©℗

★★☆☆☆☆
REŻ. NIMRÓD ANTAL
„ULTIMATUM" („RETRIBUTION")
USA/FRANCJA/HISZPANIA 2023

wyst. Liam Neeson, Embeth Davidtz, Matthew Modine

USTA PRAWDY

Rakuten TV

W 70. rocznicę premiery arcydzieło Wylera nie straciło nic ze swego powabu. „Rzymskie wakacje", film czarno-biały, nakręcony w pośpiechu, z udziałem debiutantki, będącej zaprzeczeniem dominujących na ekranach kusicielek, hojnie obdarzonych przez naturę, rozbił bank. Pomyśleć, że scenariusz aż siedem lat czekał na realizację, a Hepburn otrzymała główną rolę tylko dlatego, że pożądane przez reżysera i producentów Elizabeth Taylor i Jean Simmons miały kontrakty z innymi wytwórniami. Skutki uboczne? Audrey nigdy już nie uwolniła się od wizerunku kobiety dziecka. Stolica Włoch, wcześniej atrakcyjna jedynie dla pielgrzymów, miłośników antyku, renesansu i baroku, stała się zaś mekką romantyków. Dzisiaj, by powtórzyć gest Pecka przy Ustach Prawdy, trzeba czekać w długiej kolejce. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★★☆
REŻ. WILLIAM WYLER
„RZYMSKIE WAKACJE" („ROMAN HOLIDAY")
USA 1953

wyst. Audrey Hepburn, Gregory Peck, Eddie Albert

GRA TYGODNIA: „GORD"

W swoim debiucie niezależne warszawskie studio Covenant.dev odwołuje się do świata i wierzeń Słowian. Robi to w sposób brutalny i klimatyczny. To klimat właśnie uznałbym za największy atut tej produkcji. A reszta? Nie jest źle, ale rewelacyjnie niestety też nie. Rozgrywka jest dość monotonna i ma problemy z dynamiką. Ale dałbym tej mieszance strategii czasu rzeczywistego z survivalem i jeszcze kilkoma innymi gatunkami szansę. Chciałbym zobaczyć część drugą. Drzemiący w słowiańskości potencjał nie zajmuje należnego mu miejsca w świecie gier. Sam „Wiedźmin" to za mało. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

- ***Gatunek:*** *RTS, survival*
- ***Platforma:*** *XSX, PS5, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Covenant.dev, Team17*

eprasa.pl aa5c8ac814

MOJA PÓŁKA

Czterdzieści arów baćkauszczyny

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Łukaszenka miał powiedzieć, że wychował się na jego wierszach. Pewnie podobnie jak Wałęsa na poezji Miłosza. Bo to, że Wasil Bykau był prozaikiem, a nie poetą, jakież miało znaczenie!

Do szkoły szedł trzy kilometry; trzy w jedną stronę, trzy w drugą. Był wzorowym uczniem, dlatego dyrektor szkoły kupił mu buty, a może było po prostu żal mu biednego dziecka w rozdeptanych trzewikach.

Złożył papiery do szkoły plastycznej w Witebsku. Ojciec miał do tego wyboru zastrzeżenia: „Lepiej byś się kształcił na nauczyciela albo wstąpił do partii, jak nasz Nowikau. Naczelnikiem został…". Do partii Bykau nie wstąpił nigdy, pod tym względem wśród białoruskich pisarzy doby komunizmu był wyjątkiem.

Zmarł 20 lat temu. Jego pogrzeb przerodził się w manifestację. Żegnali go wszyscy Białorusini, którym drogie były wolność i prawda, czytelnicy jego opowiadań i powieści – znakomitych. Są one dostępne w Polsce, teraz ukazuje się u nas jego autobiografia, „Długa droga do domu". Te wspomnienia dzieciństwa, a następnie młodości spędzonej na wojennych frontach, porażają swoją wymową i prostotą. Obraz wojny, który Bykau przedstawiał, daleki był od narzuconego przez socrealizm wzorca.

Gdy na łamach „Maładości" opublikował w 1965 r. powieść „Umarłych nic już nie boli", zarzucono mu – bagatela – brak patriotyzmu i zniesławienie Czerwonej Armii, a polemizował z nim sam marszałek Koniew, który za opisaną przez Bykaua operację kirowogradzką otrzymał Order Lenina. „Ale czy ktoś spytał o zdanie – czytamy w »Długiej drodze do domu« – żołnierza na zaśnieżonym polu, zalanego krwią i zmasakrowanego gąsienicami czołgów"?

W innym miejscu Bykau pisał: „Białoruskie chłopstwo w latach trzydziestych, pozbawione ziemi i wolności, było przyparte do muru. Od śmierci głodowej ludzi uratowały przydomowe ogródki – wykarmiło ich czterdzieści arów ojcowizny. Potem Niemcy przycisnęli ich jeszcze mocniej, pogłębili białoruską biedę. Co było robić? Jak reaguje pies albo wilk w potrzasku? Rzucają się na ludzi. Białorusini rzucili się na Niemców. Z rozpaczy. Oto źródła heroicznej partyzantki".

Opowiedział Bykau w „Długiej drodze do domu" o swej pisarskiej drodze, naznaczonej bojami z cenzurą, o ludziach, których spotykał, o Sołżenicynie, Sacharowie, Lubimowie. Zaprezentował okoliczności towarzyszące powstaniu Białoruskiego Frontu Ludowego „Odrodzenie" i swój w tym udział. Kiedy 30 października 1988 r., w święto dziadów, ludzie udali się na miejsce stalinowskiej kaźni w Kuropatach, powitały ich tam oddziały wojska i milicji, wielu ludzi pobito i zatrzymano. W „Ogonioku" zamieścił wtedy pisarz artykuł „Palki zamiast pieriestrojki", a Gorbaczow – w sumie admirator jego twórczości – dziwił się: „Panie Bykau, jak to możliwe, że Białorusini wyszli przeciwko władzy radzieckiej? Spokojny, zdyscyplinowany naród… Niepojęte". Siedem lat później, 9 maja, już w zupełnie innych – zdawałoby się – okolicznościach, łukaszenkowski OMON nie dopuścił do złożenia przez Bykaua kwiatów pod pomnikiem na placu Zwycięstwa w Mińsku. Zaczęto grozić mu śmiercią, w końcu wyjechał za granicę, skąd wrócił dopiero przed samą śmiercią.

Na niczym nie zależało mu tak, jak na powstrzymaniu procesu niszczenia języka białoruskiego i białoruskiej kultury. Pisał: „Narodowy język Białorusinów, podobnie jak sto lat temu, był pogardliwie poniewierany na wszystkich polach, zastępowany rosyjskim […]. Białoruskie szkolnictwo stopniowo marniało, szkoły w pełni białoruskojęzyczne ostały się na wsiach (na przykład w Hudziewiczach na Grodzieńszczyźnie). W Mińsku nie przetrwała ani jedna".

Są w „Długiej drodze do domu" niezbyt liczne, ale ciekawe polskie ślady, jak ten o przyjeździe z Warszawy Wiktora Woroszylskiego: „Gdy wracał, zatrzymali go w grodzieńskiej izbie celnej, zrobili haniebną upokarzającą rewizję, przetrząsnęli wszystko co do joty. Woroszylski urodził się w Grodnie i mieszkał tu z rodzicami podczas wojny. Niemcom nie udało się zgładzić rodziny słynnego grodzieńskiego Żyda ginekologa tylko dlatego, że przez wszystkie lata okupacji ratowała ich Białorusinka, była pracownica porodówki. Wiktor opowiadał, jak po nocach prowadziła troje małych i trzech starszych, przechowywała w komórkach i opuszczonych chlewikach, ryzykując życie własne i krewnych. Uratowała, nikt z nich nie zginął. Zmarła w latach 70., nieuhonorowana ani przez białoruskie władze, ani przez izraelski Yad Vashem. Nie ma drzewka koło słynnej mińskiej Jamy". Słynnej? Na Białorusi i nigdzie indziej. Tak jak sławnym pisarzem jest autor „Kruhlańskiego mostu", „Doczekać do świtu", „Obelisku" i wielu innych utworów, do których dołączyć warto i „Długą drogę do domu". ©℗

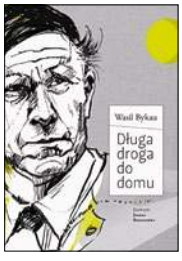

★★★★☆

WASIL BYKAU „DŁUGA DROGA DO DOMU"
KEW, WROCŁAW – WOJNOWICE 2023

eprasa.pl aa5c8ac814

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kankan na wulkanie

Tytułowy rausz dotykał świata w międzywojniu na różne sposoby. Mniejsze narody Europy świętowały odzyskanie niepodległości, ale szybko trzeźwiały, bo była krucha i trzeba było o nią dalej walczyć. Wielka Brytania przeżywała swoje popołudnie i wiek iluzji, bo imperium chyliło się ku upadkowi, ale nikt tego jeszcze nie zauważał. Ameryka miała własny rausz – z prohibicją, Roaring Twenties – a potem wielki kryzys. Niemcy zaś… O Niemczech opowiada Harald Jähner w książce „Rausz. Niemcy między wojnami", wypełnionej fascynującymi szczegółami z dodatkiem kontrowersji.

Jähnera poznaliśmy dwa lata temu dzięki książce „Czas wilka. Powojenne losy Niemców", w której zajmował się dekadą 1945–1955. Teraz zabiera nas na wycieczkę do Republiki Weimarskiej, bo jednak większość uwagi skupia na okresie przed dojściem Hitlera do władzy. Książka właściwie mogłaby nosić tytuł „Chaos", bo była to epoka niezwykłego zamętu, od ciężkiej traumy przegranej wojny, przez próby wywołania rewolucji, do hiperinflacji. Jednak ucieka autor od spraw politycznych i gospodarczych, przyglądając się światu idei, kultury i obyczajów.

Niemcy utraciwszy dawnego boga – cesarza – szukają nowych. Mechanizacja, fascynacja silnikami, miłość do samochodów. Dziwaczni guru. Kult tężyzny fizycznej – ktoś argumentuje, że nawet poeci powinni być bokserami. Tęsknota za „powrotem do korzeni", czyli sielskością, anielskością i niewinnością wsi niemieckiej. A zarazem rozpasanie, wyuzdanie, narkotyki, przemoc – kryminalna i jako narzędzie polityczne. Przekraczanie granic między płciami, nowe kierunki w sztuce – jedni chcą dekadentyzmu, inni straszą ekspresjonizmem, jeszcze innym marzy się nowoczesność w amerykańskim stylu. Ale co warto importować z USA, a czego nie? Myszka Miki – nie. Wolne soboty – tak! I tak dalej. Oszałamiająca jest to mieszanka, a Jähner zasypuje nas masą nieprawdopodobnych, acz prawdziwych historii.

O kontrowersjach – widoczna jest u autora lewoskrętność, z nadmierną sympatią do komunizmu włącznie (fascynacja Różą Luksemburg). A gdy pisze o wyczynach Freikorpsów na wschodzie, stawia tezę, że to „skrajni nacjonaliści" po obu stronach granicy odpowiadają za niepokoje. Ot, symetryzm gościa, który zrównuje kolonizatorów i zaborców z ich ofiarami. ©℗

★★★★☆☆

HARALD JÄHNER „RAUSZ. NIEMCY MIĘDZY WOJNAMI" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowy przekład jednej z najważniejszych powieści geniusza amerykańskiej literatury. Poprzedni był dziełem Macieja Słomczyńskiego, teraz ze słynną książką mierzy się Piotr Tarczyński.

WILLIAM FAULKNER „ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU" ZNAK

Już nie obiekt medytacji filozofów, lecz towar, którego sprzedaż napędza handel i politykę. Jak doszło do degeneracji tego pojęcia, opowiada profesor University Of London, znany krytyk konsumeryzmu.

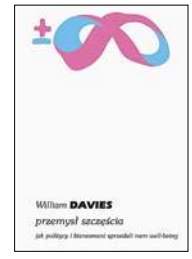

WILLIAM DAVIES „PRZEMYSŁ SZCZĘŚCIA" PIW

Sekretarz Władysława Zamojskiego i Adama Czartoryskiego zastanawia się nad tragicznymi wydarzeniami XVIII w. i polską skłonnością do ufania obcym mocarstwom. Książka nie była wznawiana przez ponad stulecie.

KS. WALERIAN KALINKA „PRZYCZYNY UPADKU POLSKI" WEKTORY

Powieść znana ze wspaniałej animowanej ekranizacji Hayao Miyazakiego. Film był piękny, ale książka jest ciekawsza; opowieść brytyjskiej pisarki fantasy to rzecz bardziej intrygująca i wieloznaczna.

recenzuje Piotr Gociek

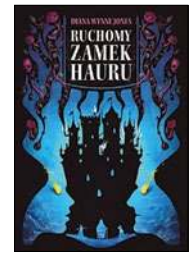

DIANA WYNNE JONES „RUCHOMY ZAMEK HAURU" NOWA BAŚŃ

KOMIKS TYGODNIA: „FRANKENSTEIN ŻYJE, ŻYJE!"

Historia albumu „Frankenstein żyje, żyje!" rozpoczyna się w 1983 r., kiedy rysownik Bernie Wrightson stworzył serię kilkudziesięciu ilustracji do słynnej powieści Mary Sheley „Frankenstein". Cztery dekady później rozpoczął rysowanie serii komiksów, które były nieoficjalnym ciągiem dalszym książki. Wszystkie cztery części ukazują się teraz po polsku w jednym tomie. Ostatnie plansze narysował Kelley Jones – Wrightson zmarł w roku 2017. ***Piotr Gociek***

BERNIE WRIGHTSON „FRANKENSTEIN ŻYJE, ŻYJE!" KBOOM 2023

eprasa.pl aa5c8ac814

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Z podlaskiej stodoły

Sezon ogórkowy ma swoje plusy, takie mianowicie, że rozglądamy się częściej za czymś, co umknęłoby naszej uwadze w innym intensywniejszym czasie. I wtedy trafiamy na takie historie i takich ludzi, z którymi mamy do czynienia przy okazji wystawy „Kobieca dusza – Bronze, Céramique et Poésie".

Wystawa rzeźb Patrycji Meunier. Córki białostoczanki i francuskiego architekta, która w Paryżu skończyła filologię francuską, a w Normandii Akademię Sztuk Pięknych; która w dzieciństwie spędzała wakacje na zielonym Podlasiu, która wreszcie – po trwającym dekadę epizodzie z Zakopanem – zamieszkała na Podlasiu na stałe.

Tu, w starej stodole, ma swoją pracownię, w której tworzy rzeźby w brązie. Na wystawie w Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego w Białymstoku zgromadzono „cykl miniaturowych rzeźb, płaskorzeźb i odlewów z brązu połączonych ze starym konstrukcyjnym drewnem, pochodzącym z dawnych podlaskich stodół. Tematem ekspozycji jest figura kobiety świętej i uduchowionej". ©℗

FOT. MUZEUM RZEŹBY ALFONSA KARNEGO W BIAŁYMSTOKU

GDZIE? ***Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego w Białymstoku***
KIEDY? ***do 15 września***

W CIENIU TRAGEDII

„HIROSZIMA • NAGASAKI W cieniu tragedii" to wystawa składająca się m.in. z plansz zaprojektowanych przez Muzeum Pokoju w Hiroszimie. Z inicjatywy Ambasady Japonii w Polsce otwarta została w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w 78. rocznicę ataku bombowego na Hiroszimę. Little Boy i Fat Man odebrały życie łącznie 200 tys. osób, a wielu innym odebrały zdrowie. I to do nich w szczególności odnosi się termin „hibakusha". A czym są Hibakujumoku? Warto w Manggha przekonać się samemu. ©℗

FOT. MUZEUM SZTUKI I TECHNIKI JAPOŃSKIEJ MANGGHA

GDZIE? ***Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie***
KIEDY? ***do 17 września***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Ból myślenia

Przez niemal pół wieku znakiem rozpoznawczym Johna Lydona vel Rottena była rozmyślna prowokacja. W końcu, w styczniu, ujawnił swoją czułą stronę na singlu „Hawaii", przejmującym i pięknym pożegnaniu z umierającą żoną Norą.

Grupa Public Image Ltd, której Lydon przewodził od 1978 r., zgłosiła „Hawaii" do irlandzkich preselekcji na Eurowizję 2023. Piosenka zajęła czwarte miejsce. Pod względem lirycznym pozostała część albumu jest typowa dla PIL. Poszarpany wokal lidera połączony z pseudodyskotekowym bitem, śpiewną linią basu i skrzeczącymi gitarowymi riffami tworzy jak zwykle wybuchową mieszankę. W tekstach Lydon jest wiernym sobie w obnażaniu głupoty i zakłamania. W „Being Stupid Again" atakuje uniwersytecką politykę „woke" („Cała matematyka jest rasistowska"), w „Penge" groteskowo opisuje potyczki na przedmieściach Londynu, w „Wall" występuje przeciw niekontrolowanej emigracji. W oczach postępowców były wróg publiczny numer jeden z czasów Sex Pistols przeistoczył się w stetryczałego reakcjonistę głoszącego protrumpowe i probrexitowe poglądy.

Lydon znów kąsa i tylko szkoda, że muzycznie ten 11. album PIL jest nierówny. Niestety, obok świetnych nagrań, jak motoryczny „Car Chase", gotycko-metalowy „North West Pasage" czy hipnotyzujący „Down on the Clown", są na płycie również utwory muzycznie bezbarwne. ©℗

★★★★★☆
PIL
„END OF WORLD"
PIL OFFICIAL

★★★★☆☆
NILS LOFGREN
„MOUNTAINS"
CATTLE TRACK ROAD
Grupę Grin założył w wieku 15 lat. Dziś jest członkiem zespołów Bruce'a Springsteena i Neila Younga. Na solowym debiucie z 1975 r. błagał Keitha Richardsa, by nie odszedł. Teraz składa hołd Charlie Wattsowi. Wspomaga go Ringo Starr i Ron Carter. Nic wielkiego, a miło!

★★★★★☆
BETTYE LAVETTE
„LAVETTE!"
JAY-VEE
Amerykanka od 60 lat mocnym głosem zarówno pieści, jak i tnie po żyłach. Nie doczekała się należnej jej sławy, ale zdobyła uznanie wśród muzyków. Na płycie są Steve Winwood, John Mayer czy John Baptiste, a producentem jest Steve Jordan. Soczysty soul-funk w najlepszym wykonaniu.

eprasa.pl aa5c8ac814

Kadr z serialu „Dewajtis" będącego adaptacją powieści Marii Rodziewiczówny
FOT. TVP

Paradoks się czai

Krzysztof Masłoń

Marek Czertwan, bohater „Dewajtisu", nie będzie miał lekko, ale że był mężczyzną więcej niż dzielnym, myślę, że poradzi sobie i z interpretacjami ponowoczesnych ekspertów

Gorąco za oknem, gorąco i na szklanym ekranie, oczywiście za sprawą okładających się po łbach politycznych „drużyn" – pisowskiej i antypisowskiej. Przedwyborczej nawalance przyświeca hasło: „Im mocniej, tym głupiej", nic więc dziwnego, że telewidzowie dostający już mdłości na sam widok któregokolwiek z członków tych wunderteamów niecierpliwie wypatrują nowości w powakacyjnych ramówkach.

Te, oczywiście, są, ale niekoniecznie takie, o jakie chodziło. Trudno bowiem szczególnie podniecać się wcześniejszą porą nadawania programu „Dzień dobry TVN", ścigającego się z publicznym „Pytaniem na śniadanie". Zwłaszcza że w roli gospodarzy występują ci sami ulubieńcy mas z Dorotą Wellman i Marcinem Prokopem na czele.

W telewizyjnej Dwójce odtrąbiono koniec show „You can dance – nowa generacja", za to jak najlepiej ma się „The Voice of Poland", otwierający już swoją 14. odsłonę. Zinterpretować można ten sygnał z Woronicza mniej więcej tak: śpiewać każdy może, ale tańcować już nie. Chyba że obwiążemy chustką nogę, a wtedy załapiemy się na jakąś biesiadę albo w ostateczności poszukamy żony rolnika czy jakoś tak.

Z nowych seriali najbardziej intrygujący okazał się „Dewajtis", adaptacja powieści Marii Rodziewiczówny, której – jakże by inaczej – nikt nie czytał, ale każdy mądrzy się na jej temat. Z powodów – jak się okazuje – niezmiennie tych samych.

„Nie bez powodu Rodziewiczówna, mimo trwającej ponad 100 lat ogromnej popularności, przestała być czytana" – podkreśla w Onecie Emilia Padoł, autorka uznawanego za biograficzne dzieła „Rodziewicz-ówna. Gorąca dusza". „Świat się bardzo zmienił, czytelnicy zamiast szlacheckich i ziemiańskich narracji, które tak bardzo zdominowały polską kulturę i nasze myślenie o świecie, są złaknieni opowieści o życiu swoich wiejskich przodków, chłopek i chłopów. Chcą poznawać historie dyskryminowanych mniejszości, także narodowych i etnicznych, są też wyczuleni na patriarchalną przemoc czy antysemityzm – a od tych wszystkich problemów »Dewajtis« nie jest wolny".

Pomysł adaptacji „Dewajtisa" nie przekonuje Padoł, gdyż „ta opowieść o dumnym, milczącym herosie, który broni ojczystej ziemi i zrasta się z nią jak prastary dąb Dewajtis, z trudem wciąga współczesnego czytelnika". – Może niezłym pomysłem byłoby połączenie fabuły „Dewajtisa" z biografią pisarki? – sugeruje znawczyni tematu. Może… Czemu jednak Padoł nie wpłynęła na zapewne bliski swemu sercu TVN, by skręcił taki głęboko poprawny polityczne serial historyczno-literacki? Już widzę tę milionową widownię wypatrującą podobnej produkcji niczym kania dżdżu. No a kiedy znowu będzie przepięknie i normalnie, wtedy pozostanie już tylko zekranizowanie superprodukcji „Księgi Jakubowe" według naszej noblistki Olgi Tokarczuk, a wtedy możemy spodziewać się nawet Oscara. Za efekty specjalne.

Na „Dewajtis" deszcz nagród raczej nie spłynie. Oczywiście „sam fakt, że TVP bierze się za twórczość tak niejednoznacznej osoby, jaką była Maria Rodziewicz, jest intrygujący, ale czai się tu pewien paradoks. W końcu to osoba nieheteronormatywna, wpisująca się w grupę LGBTQIA+, która bardzo wcześnie zadeklarowała, że nigdy nie wyjdzie za mąż [pisarka czy grupa? – przyp. K.M.]".

Cóż, Marek Czertwan, bohater „Dewajtisu", nie będzie miał lekko, ale że – jak wynika z powieści, którą w przeciwieństwie do jej krytyków znam – był mężczyzną więcej niż dzielnym, myślę, że poradzi sobie i z interpretacjami ponowoczesnych ekspertów, i z życzliwością Onetu, który nagle zainteresował się pisaną na nowo historią literatury polskiej.

Od śmierci Marii Rodziewiczówny (autorki także lubianego i również przerobionego na serial „Lata leśnych ludzi") minie niebawem 79 lat, w związku z tym opętani erotyką badacze do woli mogą sobie grzebać w jej życiorysie, czyniąc z niej demona seksu. Marek Krajewski nie ma jeszcze 60 lat, żyje sobie we Wrocławiu niezgorzej, pisząc kolejne powieści, i niełatwo mu będzie przypisać wszystkie cechy bohatera jego „Erynii", Edwarda Popielskiego zwanego „Łyssym", traf chciał też erotycznie nienasyconego niezwykłego komisarza z przedwojennego Lwowa, w którego postać w zapowiadanym serialu Borysa Lankosza wcielił się Marcin Dorociński. Serial emitować będzie TVP HD. Prezes Mateusz Matyszkowicz powiedział, że stacja ta ma być „naszym oknem pay-tv". Cokolwiek by to znaczyło. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

Spotkanie prezydenta RP Andrzeja Dudy z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Pytanie, którego brakuje w referendum

Wojciech Golonka

Czy w tym nawiedzonym domu strachów jest jeszcze miejsce na porozmawianie z wyborcami o prawdziwym horrorze, jakim jest udział w pełnoskalowej wojnie z mocarstwem o potencjale militarnym Federacji Rosyjskiej?

W ostatnim czasie doszedłem do wniosku, że wybory parlamentarne powinny odbywać się w Polsce co pół roku, a znaczne koszty ich częstej organizacji byłyby bez porównania z korzyściami zeń wypływającymi. Otóż na dobre kilka miesięcy przed wyborami władza pokornieje, nadstawiając ucha wobec postulatów i odczuć ludu, które nagle stają się słyszalne, przynajmniej na chwilę. Nie jedynym, ale spektakularnym przejawem tej magicznej wyborczej transformacji jest atmosfera wokół „kwestii ukraińskiej", by określić w ten zbiorczy sposób politykę Warszawy wobec Kijowa w dobie wojny na Ukrainie.

Zaiste, naprawdę spektakularne było to, że prezydencki minister swym jednym zdaniem („Ukraina powinna zacząć doceniać to, co robi dla niej Polska") zdołał narobić znacznie więcej kwasu między naszymi krajami (do ukraińskiego MSZ wezwano przecież na dywanik naszego ambasadora) niż wszystkie „ruskie onuce" bezczelnie rozważające od początku wojny na łamach naszego tygodnika za i przeciw polityki rządu właśnie w „kwestii ukraińskiej".

Casus wypowiedzi Marcina Przydacza nie był zresztą jedyny – nieco wcześniej, na okoliczność 80-lecia ludobójstwa Polaków dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu, premier Mateusz Morawiecki stanowczo domagał się możliwości godnego pochówku ofiar, najwyraźniej nie zważając na skierowaną rok wcześniej przez prezydenta Andrzeja Dudę przestrogę do ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego i przedstawicieli rodzin ofiar rzezi wołyńskiej, że mają „ważyć słowa".

W końcu, po tym, jak w ostatnich dniach Mychajło Podolak, doradca prezy-

eprasa.pl aa5c8ac814

denta Wołodymyra Zełenskiego, otwarcie zapowiedział, że przyjaźń między naszymi państwami (jeśli w ogóle można nazwać obecną postawę Kijowa wobec Warszawy przyjacielską!) ma miejsce tylko na okoliczność wojny, po której przyjdzie czas na (ostrą) konkurencję, gospodarze przybytku polskiej demokracji zwątpili chwilowo w idylliczny obraz naszych wzajemnych relacji, nakazując zdjęcie ukraińskich flag w budynku Sejmu.

PRZEMINĘŁY DNI SŁUG UKRAINY?

W zasadzie publicysta tygodnika stygmatyzowanego ze względu na prowadzoną dotychczas na jego łamach w tej kwestii debatę powinien się cieszyć, że zamiast słodkawych ad nauseam uścisków, retoryki romantyczno-życzeniowej czy osławionych już, acz niegodnych deklaracji rzecznika polskiego MSZ o byciu „sługami narodu ukraińskiego" wybrzmiewają w obozie władzy bardziej trzeźwe głosy, co wymusza być może także samo położenie sił ukraińskich (hucznie ogłaszana kontrofensywa przyniosła na razie po stronie Ukrainie głównie krwawe straty w ludziach i sprzęcie). Dla przypomnienia: były dowódca NATO w Europie, gen. Ben Hodges, zapowiadał w styczniu, że „Ukraina wyzwoli Krym pod koniec sierpnia" (już w maju 2022 r. Hodges, obecnie bardziej tępy propagandysta niż subtelny wojskowy, zapowiadał, że tamtego lata rosyjska armia pójdzie w rozsypkę, a Ukraina odbije wszystkie zajęte w czasie wojny terytoria, jeśli nie więcej). Ba! Jeszcze pod koniec czerwca nasi rodzimi „eksperci" wieścili rychły rozpad Federacji Rosyjskiej na skutek wojny domowej rzekomo rozpętanej przez rzekomy bunt wagnerowców.

Otóż tego typu dysonanse między słowami a rzeczywistością w pewnym momencie wymuszają korektę przekazu, która nie ominęła i naszego kraju. Z pewnym istotnym zastrzeżeniem, ponieważ wiele wskazuje, że zmiana retoryki jest przede wszystkim… właśnie korektą retoryczną, a nie samego kursu czy prędkości okrętu. Owszem, festiwal deklaracji utożsamiających interes Rzeczypospolitej z interesem Ukrainy przycichł na rzecz realnych kroków podkreślających odrębność, a nawet możliwą sprzeczność naszych poszczególnych interesów, jak choćby w kwestii problemu zalewu polskiego rynku ukraińskim zbożem, który w końcu został dostrzeżony i potraktowany przez rząd na poważnie (przynajmniej do czasu wyborów). Jednakże, jeśli wczytać się w zasadnicze deklaracje elit rządzących, to ich linia postępowania, wraz z wynikającymi zeń niewiadomymi i możliwymi negatywnymi konsekwencjami, pozostaje, mimo mniej lukrowanego dyskursu, w gruncie rzeczy niezmieniona.

Po pierwsze, nie ma wyraźnego sygnału, że władza odeszła od określonego już na początku wojny przez Mateusza Morawieckiego fundamentalnego paradygmatu, a mianowicie, że istnienie suwerennej Ukrainy jest warunkiem istnienia suwerennej Polski, co w praktyce oznaczało nie tylko bezapelacyjne, lecz także bezkresne zaangażowanie się na rzecz naszego sąsiada w wojnie rosyjsko-ukraińskiej. Po drugie, głowa naszego państwa w niedawnym wywiadzie dla „Washington Post" w dość osobliwy sposób potwierdziła zasadnicze zaangażowanie Polski po stronie amerykańskich neokonserwatystów na rzecz kontynuowania wojny, czyli odrzucania perspektywy rozmów pokojowych do czasu pokonania Rosji. Cytuję relację z tego wywiadu za oficjalną stroną internetową prezydenta Rzeczypospolitej: „Podczas rozmowy z publicystą Markiem Thiessenem Prezydent Duda został zapytany m.in. o to, dlaczego amerykańscy prawicowcy – których część sprzeciwia się pomocy Ukrainie – powinni poprzeć jej walkę. – To bardzo proste. W tej chwili rosyjski imperializm może zostać powstrzymany tanio, bo amerykańscy żołnierze nie giną – odpowiedział prezydent. Jak dodał, Władimir Putin marzy o odzyskaniu terytorium Imperium Rosyjskiego i musi być powstrzymany teraz, »żeby nie stało się tak jak w pierwszej i drugiej wojnie światowej, kiedy amerykańscy żołnierze musieli przelewać krew i poświęcać życie w Europie na rzecz przywrócenia pokoju i wolności światu«".

Pozostawiam z boku kwestię pozbawionego dyplomatycznego taktu i zarazem instrumentalnego przedstawienia ukraińskich ofiar w walce z „imperializmem rosyjskim" jako mniej wartościowych od ewentualnych ofiar amerykańskich (jeśli doskonale rozumiem, co prezydent miał na myśli, wyraził on jednak fatalnie swój argument o cennym braku ludzkich kosztów po stronie USA, acz jak najbardziej po „neokońsku"). Chodzi mi o to, że zarówno w rozumowaniu premiera Morawieckiego, jak i prezydenta Dudy oraz w debacie publicznej w ogóle nie było miejsca na jasne, poza zdawkowym, określanie zasad „bezpiecznego" dla Polski angażowania się po stronie walczącej Ukrainy, a zwłaszcza na wskazanie granicy naszego zaangażowania się na wypadek jej możliwej przegranej militarnej.

Najprościej rzecz ujmując, zasadnicze pytanie brzmi: Na ile nasza władza gotowa (zdolna) jest podjąć decyzje mogące w pewnych warunkach skutkować wciągnięciem Polski do toczącej się obecnie wojny tudzież doprowadzić do wojny rosyjsko-polskiej? Oto kluczowe pytanie w brzemiennej w skutki dla nas wszystkich kwestii, które – ogólnie rzecz ujmując – jest zupełnie nieobecne w obecnej kampanii wyborczej, mającej przecież wyłonić przyszłych decydentów Rzeczypospolitej. Mówiąc wprost: ludzie, od których decyzji może zależeć, czy dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy Polaków złożą „podatek z krwi" w postaci śmierci lub dożywotniego kalectwa, o niepoliczalnych stratach materialnych nie wspominając, unikają rozmowy o tej zasadniczej kwestii, mimo obecności czynników geopolitycznych, które czynią podobną perspektywę jak najbardziej możliwą.

NIE UCISZAĆ DEBATY

Oczywiście postawione przeze mnie pytanie można zbywać na różne sposoby, dając z góry do zrozumienia, że temat ten nie zasługuje w ogóle na dyskusje, a tym bardziej na jakieś solenne obietnice w kampanii wyborczej. Nie tyle w kwestii stanu „ogólnego" bezpieczeństwa Polski z punktu widzenia jej sojuszów militarnych, wysiłków zbrojeniowych itp. – te rzeczy, choć nieco w buńczucznym stylu, poruszane są dość często (ostatnio Jarosław Kaczyński uczynił je hasłem wyborczym własnej formacji politycznej) – ile właśnie w kwestii określenia klarownego postępowania na „wypadek W" ze strony sług narodu polskiego, których wskażemy 15 października przy urnach.

eprasa.pl aa5c8ac814

Można więc zbywać problem, twierdząc, że w ogóle on nie zachodzi – bo przecież przez półtora roku naszej niebywałej pomocy zbrojnej dla walczącej Ukrainy nie doprowadziliśmy, wbrew obawom, do rozlania konfliktu czy wciągnięcia nas do wojny. Można również, skoro już tysiące razy powtarzano nam, że to „nasza wojna" i że my już w niej uczestniczymy, odrzucić a priori dyskusję twierdzeniem, że kwestia ewentualnej wojny rosyjsko-polskiej zależy i tak wyłącznie od rosyjskiego imperializmu i zdolności bojowych Federacji Rosyjskiej, więc jedyne, co możemy obecnie zrobić, to właśnie osłabiać jej potencjał militarny za pośrednictwem armii ukraińskiej, podnosząc jednocześnie potencjał naszych sił zbrojnych do poziomu skutecznego odstraszania przeciwnika. Można także użyć argumentów moralnych, kierując pytanie na poboczny wątek i zarzucając rozmówcom tchórzostwo, tak jakby pytanie o granice rozsądku było jednoznaczne z kapitulanctwem. Można, w końcu, użyć płytkich argumentów moralizatorskich, twierdząc, że dyskusje uderzające w naszą jedność w obliczu wojny na Ukrainie służą jedynie Putinowi, a zatem są wywoływane i podsycane przez macki Kremla.

Jakkolwiek mniej lub bardziej trafne byłyby podobne argumenty, nie mogą one, w perspektywie wybierania naszych współobywateli do reprezentowania nas na ławach sejmowych i rządowych, służyć za powód do uciszania debaty, którą naturalnie narzucają nam fakty. Po pierwsze, nie jest tajemnicą, że toczą się rozmowy o udzieleniu Ukrainie gwarancji bezpieczeństwa przez państwa sojusznicze. Otóż prestiżowe, a przede wszystkim wpływowe czasopismo waszyngtońskie „Foreign Affairs" przedstawiło na początku sierpnia projekt takich gwarancji, w którym sąsiedzi Ukrainy zobowiązani byliby jej pomóc na wypadek rosyjskiej agresji przy jednoczesnym zrzeczeniu się przez nich prawa do inwokacji artykułu piątego traktatu północnoatlantyckiego (wedle którego atak na kraj NATO-wski oznacza atak na cały sojusz), tak aby USA nie były obarczone ryzykiem konfrontacji z Rosją. Tę świetlaną perspektywę uzupełnił swoistą egzegezą w niedawnych wywiadach dr Jacek Bartosiak, podkreślając, że USA mają odmienne cele od Ukrainy w tej wojnie – osłabienie Rosji za pośrednictwem ukraińskich sił zbrojnych, ale nie rozbicie Rosji czy wywołanie wojny światowej – Polska zaś po ewentualnej przegranej Ukrainy po prostu zajęłaby, w planach amerykańskich, jej miejsce w projekcie utrzymania amerykańskiej równowagi na naszym uskoku geopolitycznym.

W 2022 r. Węgrzy ponownie wybrali Viktora Orbána, bo obiecał im pokój

W końcu rosyjska propaganda jak mantrę opowiada wyssaną z palca bajeczkę o planowanym rozbiorcze zachodniej Ukrainy przez Polskę, jednak trzeba przyznać, że zarówno propozycja Jarosława Kaczyńskiego o misji pokojowej na zachodniej Ukrainie, słowa polskiego ambasadora we francuskiej telewizji o konieczności przystąpienia do wojny w przypadku klęski sił ukraińskich, jak i zachęty byłego sekretarza generalnego NATO Andersa Rasmussena (obecnie doradcy prezydenta Zełenskiego) do umieszczenia (czyli wkroczenia!) wojsk polskich i litewskich na Ukrainie rodzą pytanie, na ile ta zasadniczo nieakceptowalna dla Moskwy kwestia jest branym pod uwagę przez rząd planem, a na ile nieodpowiedzialnym marzeniem na głos polityków cierpiących na niedobór przygód przy dźwiękach „Pierwszej Kadrowej".

JEDNOZNACZNE DEKLARACJE

„Czy jesteś za udzieleniem przez Polskę gwarancji bezpieczeństwa Ukrainie?", a bardziej przejrzyście rzecz ujmując: czy godzisz się, aby twój syn, mąż czy ojciec (a także: córka, żona lub matka) zginął lub stał się kaleką w obronie suwerenności bądź integralności terytorialnej Ukrainy? Czy godzisz się z tego powodu na masową destrukcję majątku Polaków i majątku narodowego – oto, jak mogłoby brzmieć zasadne pytanie w odpowiedzialnym za kraj referendum. Tymczasem, poza dwoma małymi wyjątkami, temat ten w kampanii wyborczej nie istnieje i z pewnością nie wpisuje się w obrane przez partie strategie wyborcze. Nie trzeba być prymusem z politologii, aby zrozumieć, że obecna kampania sprowadza się na razie w dużej mierze do jak najintensywniejszej polaryzacji: PiS straszy Polaków widmem Platformy, Platforma z przybudówkami – widmem PiS; Konfederacja straszy Polaków PO-PiS tudzież „bandą czworga", a że złapała w ostatnich miesiącach sondażowy wiatr w żagle, PO i PiS straszą Polaków także widmem Konfederacji.

Czy w tym nawiedzonym domu strachów jest jeszcze miejsce na porozmawianie z wyborcami o prawdziwym horrorze, którym jest udział w pełnoskalowej wojnie z mocarstwem o potencjale militarnym Federacji Rosyjskiej? Czy oprócz Grzegorza Brauna, który zdaje się dbać o przekaz skierowany jedynie do swych entuzjastów lub osób zdolnych przymykać oko na jego polityczną ekscentryczność, jawnie marginalizowanego w dyskursie Konfederacji o „niskich i prostych podatkach", tudzież dr. Leszka Sykulskiego, który – abstrahując od jego działań dzielących z automatu publikę na potencjalnych zwolenników (w mniejszości) i osób dystansujących się (w większości) – nie zdołał przekuć swego ruchu antywojennego w siłę polityczną: czy zatem kandydujący politycy przywiązują do tej kwestii minimum uwagi i odwagi (bo przecież prób zakrzyczenia osób i tematu nie brakuje), aby poruszać ją publicznie?

W ich ostatnich wyborach w 2022 r. Węgrzy ponownie wybrali Viktora Orbána, BO obiecał im pokój, a od tego czasu notowania jego Fideszu w sondażach jeszcze bardziej wzrosły ZE WZGLĘDU na prowadzoną przezeń politykę w „kwestii ukraińskiej". Czy jako Polacy aż tak różnimy się od Węgrów, że nie traktujemy kwestii pokoju jako w ogóle tematu do dyskusji? 15 października wyłonimy przy urnach skład rządu i Sejmu, od których decyzji będzie być może zależeć życie bądź śmierć nas samych i naszych współobywateli. Władza życia i śmierci to odpowiedzialna sprawa, nie bagatelizujmy jej – w ostateczności decydentami będziemy my, wyborcy, byle kandydaci pozwolili nam na rzeczywisty wybór w tej kwestii, składając jednoznaczne deklaracje.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Komuniści w powstaniu

Warszawę straszy do dziś al. Armii Ludowej, co świadczy o jakości powierzchownej dekomunizacji, mimo upływu ponad trzech dekad od „zmian". Argument? Przecież AL walczyła w powstaniu! A tak naprawdę jak to było? Stany AL w Warszawie były niewielkie i praktycznie bezbronne. Mówią o tym ich własne raporty z okresu okupacji. Ale według historiografii komunistycznej były to… tysiące ludzi (dochodząc do wielkości 5 tys.), dobrze uzbrojonych. Gdyby PRL trwał nadal, to dziś te wyliczenia wyniosłyby zapewne już 10 tys. albo i więcej.

Ostatnie ich raporty sprzed powstania mówią o 435 osobach (to liczba PPR-owców, włącznie ze stanami innych grupek, które się z nimi połączyły). A broń? Mieli zaledwie sześć karabinów, trzy pistolety maszynowe, 40 pistoletów, 13 butelek zapalających i 51 granatów. To miała być ta potęga?

Ale to nic, ważniejszy był ich plan zdobycia Warszawy. To dokument, który szokuje do dziś. Oto jego istota: „W gorączce walk pierwszych godzin można będzie bezkarnie »trzepnąć« ten czy inny oddział reakcyjny włażący nam w parafię". Nie, to nie pomyłka! Oni naprawdę chcieli walczyć. Ale z kim i o co? Z oddziałami „reakcyjnymi", czyli niepodległościowymi! Wroga określili sobie bardzo jednoznacznie. Na równi stawiali Niemców i Polskie Państwo Podziemne. To miały być „siły wroga: faszysty niemieckiego i polskiego".

Ale po wybuchu powstania faktycznie opowiedzieli się jednak po polskiej stronie, choć specjalnych sukcesów swymi mikroskopijnymi siłami nie osiągnęli. Była też masowa dezercja ze Starego Miasta, gdy przed jego upadkiem w popłochu opuścili stanowiska, usiłując się przedostać na tereny bardziej „bezpieczne".

Jednym z koronnych dowodów ich bohaterstwa są Ordery Virtuti Militari dla dwóch AL-owców („poruczników AL."): Jana Szelubskiego (był kapralem WP) i Edwina Rozłubirskiego (w WP nie służył). Ich nadanie miało wymowę polityczną, aby zamanifestować przed Stalinem polityczną wolę współpracy z komuną. Nominaci zostali wyznaczeni przez PPR, czyli sowiecką jaczejkę w konspiracji na terenie okupowanej Polski. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, na Sowietach nie zrobiło to wrażenia i ich postawy wobec powstania nie zmieniło.

Dla bardzo wielu powstańców, będących stale w walce z Niemcami, odnoszących rany i mimo to walczących nadal, takich orderów zabrakło. Na powyższych przykładach widać, jak bardzo nasza historia jest zakłamana i zideologizowana. Stare polskie przysłowie mówi, że nie wszystko złoto, co się świeci. W tym przypadku to nie jest nawet srebro, to zwykły blichtr. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Koniec Kawalerów Mieczowych

Gdy w 1525 r. zakon krzyżacki przegrał kolejną wojnę z Polską, doszło do likwidacji pruskiej linii zakonu. Ostatni wielki mistrz, Albrecht von Hohenzollern, złożył hołd lenny Zygmuntowi Staremu, przeszedł na luteranizm i stał się świeckim księciem Prus. W tej sytuacji istniejąca dalej linia inflancka zgromadzenia zaczęła używać nazwy Zakonu Kawalerów Mieczowych.

Był to jednak zupełny anachronizm, gdyż w ówczesnej Europie nie było już miejsca na rycerskie państwa zakonne. Książę pruski Albrecht von Hohenzollern zaproponował Zygmuntowi Augustowi likwidację inflanckiej linii zgromadzenia i stworzenie świeckiego państwa z nim jako polskim lennikiem, ale król odrzucił ten pomysł. Sama idea wydała mu się jednak atrakcyjna, gdyż oznaczałoby to zdobycie portów dla litewskiego handlu i osłonę północnej granicy Litwy przed zakusami Moskwy. Do tego miasta inflanckie uchodziły za bardzo zamożne, co znacznie wzmocniłoby gospodarkę Wielkiego Księstwa. Chętnych do podboju jednak nie brakowało, a najgroźniejszym przeciwnikiem wydawał się Iwan Groźny, który w 1554 r. zmusił zakonników do płacenia trybutu. Car nie zamierzał zresztą tym się zadowolić i planował opanowanie całych Inflant.

Podczas obrad zakonnej kapituły najwięcej zwolenników miała opcja poddania się Rzeczypospolitej. Zdawano sobie sprawę z tego, że sama Litwa jest zbyt słaba, by stawić skuteczny opór Moskwie, a do tego należało się też liczyć z ekspansją Szwedów i Duńczyków. Poza tym zakonników i szlachtę inflancką nęciły tolerancja i swobody, które panowały w Rzeczypospolitej.

Mistrz Zakonu Kawalerów Mieczowych, Johann Wilhelm von Fürstenberg, próbował jednak zachować niezależność, ale poniósł klęskę w walce z Rosjanami i dostał się do niewoli, z której już nie powrócił. Natomiast nowy zwierzchnik zgromadzenia, Gothard Kettler, był politycznym realistą. Doskonale rozumiał, że państwo zbrojnych mnichów nie ma szans na przetrwanie i jedyną szansą było oparcie się na Rzeczypospolitej. Kettler miał też osobiste ambicje i chciał zostać założycielem nowej dynastii. Z tego też powodu 31 sierpnia 1559 r. na mocy I paktu wileńskiego oddał się pod protektorat króla polskiego, przekazując jednocześnie litewskim załogom zamki w południowo-wschodniej części Inflant. To była zapowiedź sekularyzacji zakonu i przejęcia jego ziem przez Rzeczpospolitą. Miało to nastąpić dwa lata później i stać się przyczyną wieloletnich wojen o Inflanty. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

Wysoka cena ekumenizmu

FOT. GLOBAL IMAGENS/ATLANTICO PRESS/ABACA/FACT NEWS

Paweł Chmielewski

Niemal niepostrzeżenie dekretowana jest w Kościele nowa eklezjologia, czyli nauka o tym, czym Kościół w ogóle jest. Celem jest przełamanie granic katolickości, tak żeby za właściwą podstawę bycia dobrym chrześcijaninem uchodził wyłącznie chrzest. Liczy się tylko wola „bycia razem". Polska jest jednym z centrów krzewienia tych idei

4 sierpnia, podczas Światowych Dni Młodzieży, na stadionie Benifiki w Lizbonie odbyło się wspólne katolicko-protestanckie uwielbienie Boga pod nazwą „The Change" („Zmiana"). Była to oficjalna część ŚDM. Bezpośrednimi organizatorami wydarzenia były trzy podmioty: watykańska organizacja Charis, która zrzesza tzw. charyzmatycznych chrześcijan z całego świata; protestancki pastor z Portugalii Rodrigues Pereira; organizacja Shiloh Global.

Warto zwrócić uwagę na tę ostatnią: to firma samozwańczej „prorokini" z Kanady, Stacey Campbell; po wejściu na jej oficjalną stronę internetową czytelnik otrzymuje wyłącznie jeden przekaz – za garść dolarów (19 lub 199, zależnie od pakietu) można zapisać się na kurs „prorokowania".

Handel duchowymi darami, jak widać, nikomu na ŚDM nie przeszkadzał. Organizatorzy zadbali w każdym razie o atrakcyjność wydarzenia: zaprosili do udziału m.in. aktora Jonathana Roumiego, który zagrał Chrystusa w głośnym serialu „The Chosen". W efekcie na stadionie zgromadziło się prawie 50 tys. osób. Zgodnie z zapowiedziami Watykanu wspólne katolicko-protestanckie uwielbienie miało skutkować „jednoczeniem Ciała Chrystusa" oraz „niesieniem Ewangelii każdemu człowiekowi". Imprezę zachwalało i współorganizowało kilku Polaków należących do krajowej sekcji Charis.

Podczas samego uwielbienia zgromadzeni na scenie stadionu katolicy i protestanci zapewniali, że są świadomi dzielących ich różnic, i zobowiązywali się do kontynuacji pogłębionego dialogu teologicznego. Nie przeszkadzało im to jednak modlić się razem oraz „wspólnie głosić Ewangelii". Wspólne głoszenie Ewangelii jest oczywiście w praktyce niemożliwe, bo protestanci interpretują nauczanie Jezusa przeciwko Rzymowi. W takim wypadku możliwe jest głoszenie wyłącznie ocenzurowanej Ewangelii: powie się o miłości bliźniego, ale o roli Piotra już nie.

W efekcie ostatecznym przekazem, który płynął z wydarzenia „The Change", było ogłoszenie dziesiątkom tysięcy młodych ludzi poglądu, zgodnie z którym, owszem, różnimy się, ale jesteśmy razem i wszystkich nas tak samo kocha Bóg; w konsekwencji to, co nas dzieli, jest drugorzędne wobec tego, co łączy. Dzielą nas Eucharystia, Matka Boża, papież. Łączy nas chrzest. Dlatego należy uznać, że dla zbawienia istotny jest głównie chrzest, a wszystko inne jest pomocnicze. Nie dziwi w tym kontekście, że Komunię Świętą rozdawano na ŚDM z plastikowych miseczek. Komunia może być ważna, ale ostatecznie jest partykularnie katolicka, a to przecież ograniczające. Przesadzam? Niestety, nie. „Zmiana" w Lizbonie była w istocie tylko jednym, w sumie drobnym elementem implementacji tej nowej katolicko-protestanckiej eklezjologii.

Po Soborze Watykańskim II wielką popularność zrobiło określenie „Lud Boży", używane do opisania całości wierzących katolików. W konstytucji soborowej „Lumen gentium" Lud Boży jest wyraźnie utożsamiony z samym Kościołem katolickim (pkt 13). W nauczaniu Kościoła o samym sobie, które prezentowane jest w ramach Synodu o synodalności, to „zawężenie" zostało jednak odrzucone.

Teraz twierdzi się, że Lud Boży to nie tylko Kościół katolicki – to wszyscy, którzy przyjęli chrzest. W „Dokumencie roboczym" na synod możemy przeczytać, że „autentycznie synodalny Kościół… musi obejmować wszystkich, którzy uczestniczą w jednym chrzcie" (pkt A1, 21). Ten sam dokument twierdzi też, że protestanci, tak

eprasa.pl aa5c8ac814

samo jak katolicy, mogą mieć wpływ na formułowanie doktryny Kościoła katolickiego właśnie dlatego, że są ochrzczeni (pkt B 1.4; nauka o sensus fidei). We wcześniejszym o dwa lata „Dokumencie przygotowawczym" dla Synodu czytamy, że protestanci są elementem „życia wewnętrznego" Kościoła (pkt 28). Z synodalnej eklezjologii wyłania się zatem przekonanie, że tym, co konstytutywne dla chrześcijan, jest wyłącznie chrzest: kto jest ochrzczony, jest jakby w pełni członkiem Kościoła.

To bardzo niebezpieczne uproszczenie. Zgodnie z Katechizmem chrzest wszczepia w Kościół i czyni członkami Chrystusa (pkt 1213); wiara konieczna do chrztu jest jednak określona jako „zaczątek, który ma się rozwijać" i podkreśla się, że wierny „może wierzyć jedynie w wierze Kościoła" (pkt 1253). Ochrzczony protestant został zatem „wszczepiony w Chrystusa", ale następnie jego heretycka wspólnota uformowała go do wiary poza Kościołem, a nawet przeciwko niemu. To bardzo znaczące, ale w ekumenicznej praktyce odgrywa coraz mniejszą rolę.

PROTESTANTYZACJA W POLSCE

Zwłaszcza w ramach duchowości charyzmatycznej, która od kilku lat zyskuje lawinowo popularność w naszym kraju. Duchowość ta jest nastawiona na wielkie koncerty, nabożeństwa z modlitwą o uzdrowienie i ekstatyczne śpiewy. Ruch charyzmatyczny jest programowo nakierowany na budowę czegoś, co moglibyśmy określić mianem panchrześcijaństwa: nowego Kościoła, który będzie „ponad" historycznymi podziałami denominacyjnymi. Jeszcze niespełna 100 lat temu panchrześcijaństwo jako ewidentnie heretyckie potępiał papież Pius XI w encyklice „Mortalium animos". Niestety, dzisiaj nikt się tym nie przejmuje.

Jednym z największych zwolenników chrześcijaństwa charyzmatycznego w Polsce jest abp Grzegorz Ryś. Prawdopodobnie to właśnie ze względu na swoje zaangażowanie na tym polu otrzymał od Franciszka nominację kardynalską. Gdy jesienią 2021 r. abp Ryś otwierał w archidiecezji łódzkiej proces synodalny, zaprosił do wystąpienia protestanckiego pastora, kalwina Marka Izdebskiego, który z ambony opowiadał o demokratycznych procedurach podejmowania decyzji w jego wspólnocie. W lutym 2022 r. w Łodzi odbyło się wielkie spotkanie katolicko-protestanckie „Już czas!", które określano w oficjalnych materiałach jako zgromadzenie „liderów Kościoła" – tak jakby de facto już teraz istniał jeden Kościół dla katolików i protestantów.

Niestety, abp Ryś nie jest jedyny. W czerwcu tego roku w Gliwicach odbył się koncert grupy Hillsong United. Był gorąco zachwalany m.in. przez Marcina Jakimowicza w „Gościu Niedzielnym", tygodniku podległym archidiecezji katowickiej abp. Adriana Galbasa. Problem w tym, że Hillsong to nie zwyczajny zespół, ale… muzyczne ramię protestanckiego „megakościoła" Hillsong z Australii. Członkowie grupy przyjechali do Gliwic nie tylko po to, by zarabiać pieniądze, lecz także po to, by głosić swoją wersję Ewangelii. Nikt przeciwko temu nie protestował.

Zaledwie miesiąc później we Wrocławiu odbyło się koncertowo-modlitewne wydarzenie „Chwała Mu 2023" organizowane przez fundację znanego charyzmatycznego „lidera" Marcina Zielińskiego. Gwiazdą spotkania był samozwańczy protestancki pastor z USA, Jeremy Riddle. Według Zielińskiego patronatu i błogosławieństwa (sic!) wydarzeniu udzielili abp Józef Kupny oraz cała w ogóle archidiecezja wrocławska. Rok wcześniej analogiczna impreza Zielińskiego odbyła się w Łodzi.

To oczywiście tylko kilka przykładów. Podobnych wydarzeń, o większym i mniejszym zasięgu, są każdego roku dziesiątki. Towarzyszy im zakulisowa, mrówcza praca wielu polskich grup charyzmatycznych ściśle współpracujących z protestantami z innych państw, zwłaszcza ze Stanów Zjednoczonych. Wielkie znaczenie ma też trudno zrozumiała popularność, którą cieszy się w Polsce protestancko-katolicka wspólnota Taizé. Każdego roku, często z inicjatywy biskupów i księży, pielgrzymują do niej liczne grupy polskiej młodzieży. Taizé została założona w latach 40. przez protestanckiego pastora ze Szwajcarii Rogera Schütza. Schütz zebrał grupę „braci" i ogłosił się przeorem wspólnoty. Przez wiele lat działał na rzecz tzw. dialogu ekumenicznego. Choć nigdy do Kościoła nie przystąpił, to mimo to przyjmował Komunię Świętą – nawet w Watykanie. Po Schützu „przeorem" wspólnoty był katolik, obecnie jest nim anglikanin. Spotkania w Taizé są zbudowane na przekonaniu o drugorzędności różnic dzielących katolików i protestantów, dokładnie tak jak wydarzenie „The Change" na ŚDM. Efektem może był wyłącznie eklezjalny relatywizm: nie ma znaczenia, czy przyjmujesz Komunię i słuchasz papieża; znaczenie ma tylko to, że „kochasz Jezusa".

DESTRUKCYJNY BŁĄD

Tysiące młodych Polaków, jeżdżąc do Taizé, są formowane w takim duchu. Dziesiątki tysięcy otrzymują to samo przesłanie na koncertach protestanckich pastorów. Konferencja Episkopatu Polski wydaje się jednak nie mieć do tej sytuacji większych zastrzeżeń. Można się domyślać, że to w części wynik specyficznej formy ekumenizmu promowanej przez św. Jana Pawła II. Do tego dochodzi polityka papieża Franciszka. Biskupi pozostawili tematykę charyzmatyzmu w rękach polskiej sekcji organizacji Charis powołanej przez Watykan w 2019 r. Problem w tym, że w skład jej kierownictwa wchodzą osoby o bardzo specyficznych poglądach, np. takie, które niemal wprost wyrażają oczekiwanie rozpadu Kościoła katolickiego i powołania na jego miejsce Kościoła panchrześcijańskiego. Być może biskupi wyszli z założenia, że skoro Charis jest umocowana w Watykanie, to sprawa wykracza poza ich kompetencje. Tak jednak nie jest; zgodnie z Tradycją oraz z przepisami prawa to biskupi są właściwymi stróżami wiary w swoich diecezjach. Udzielanie błogosławieństwa wydarzeniom, których gwiazdą są formalni heretycy, albo określanie takich osób mianem „liderów Kościoła" jakby równych samym biskupom zdecydowanie nie wpisuje się w zadania następców apostołów.

Konsekwencje pozostawienia spraw bez korekty będą niezwykle poważne. Relatywizm, który stoi nieodłącznie za współczesnymi formami charyzmatycznego ekumenizmu, jest cywilizacyjnie destrukcyjnym błędem, który Kościół potępia od początku swojego istnienia. Jeżeli przyjmie się, że protestanci są tak samo dobrymi chrześcijanami jak katolicy, to siłą rzeczy rezygnuje się z katolickiego roszczenia do prawdy. A to oznacza, że Kościół katolicki zostaje zredukowany do jednej z wielu religii. Taka jest ostateczna cena, którą przyjdzie nam zapłacić za nieskrępowany rozwój charyzmatycznego ekumenizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl aa5c8ac814

Koncerny dyktują światopogląd

Jowita Łosko

Polscy przedsiębiorcy w ramach umów z koncernami zmuszani są do podpisywania dokumentów dotyczących spraw tolerancji dla odmienności seksualnych czy rasowych. To niebezpieczne zjawisko w biznesie

W oficjalnej narracji liberalno-lewicowej chodzi o tolerancję i brak dyskryminacji, ale w rzeczywistości dyskryminuje się ludzi, którzy są niewygodni politycznie i którzy cenią konserwatywny styl życia. Lewicowa grupa wpływu nakreśliła jedyny słuszny światopogląd i w tym projekcie nie ma miejsca na tradycyjne wartości, patriotyzm i wiarę katolicką. Takich cech należy się wyzbyć, ponieważ według nowych zasad są to faszyzm, ksenofobia i mowa nienawiści. Konserwatywne przekonania mogą grozić wykluczeniem i kłopotami w życiu zawodowym. Wolność w rozumieniu lewicowym wyklucza (sic!) utożsamianie się z takimi wartościami. W obliczu zagrożenia utratą pracy czy kontraktów z biznesowym partnerem, który aktualnie wytycza ideologiczne trendy, coraz mniej ludzi będzie stać na obronę swoich przekonań. Wystarczy wspomnieć przypadek sędziego piłkarskiego Szymona Marciniaka, który przed meczem finałowym Ligi Mistrzów musiał odciąć się od konserwatywnego światopoglądu, ponieważ takie postrzeganie świata nie jest zgodne z poprawnością polityczną – czyli interesem lobby liberalno-lewicowego, które pod płaszczykiem działań na rzecz tolerancji urządza Europę na nowo.

Machina ruszyła. Koncerny, oprócz prowadzenia biznesu w tradycyjnym rozumieniu, zajęły się również ideologią. Ich zaangażowanie wynika z tego, że to właśnie największy światowy biznes, czyli grupa koncernów, będzie beneficjentem tych zmian. Żeby ukonstytuować nowy ośrodek sprawowania władzy, trzeba zminimalizować rolę rządów – w pewnym stopniu suwerennych jeszcze państw – oraz wpływy Kościoła. Kościół promuje tradycyjny model rodziny, buduje poczucie wspólnoty, a to się nie wpisuje w koncept „społeczeństwa otwartego", nie pomaga w formowaniu korpoludków.

KODEKS POSTĘPOWANIA KONTRAHENTA

Oprócz dokumentów wewnętrznych, które koncerny kierują do swoich pracowników, w obiegu gospodarczym funkcjonują też dokumenty dotyczące szeroko rozumianego otoczenia biznesu, czyli wszelkiego typu kontrahentów. Chodzi o dokument „Kodeks postępowania dla dostawcy", który opisuje wartości i zachowania, które są stosowane w danej organizacji i który otrzymują kontrahenci. Koncernom leżą bowiem na sercu wysokie standardy etyczne i poszanowanie praw człowieka.

W związku z dbałością o wysokie standardy do polskich przedsiębiorstw (i nie tylko polskich oczywiście), które współpracują z niektórymi międzynarodowymi koncernami, świadcząc im usługi lub dostarczając produkt, trafiają „Kodeksy postępowania", które firmy muszą podpisać. Takie dokumenty są powszechnie dostępne na stronach internetowych poszczególnych podmiotów, ponieważ stanowią część ich oficjalnej polityki.

> **Koncerny chcą sprawdzać, czy kontrahent dochowuje ich wartości. I mogą z takich powodów zrywać umowy**

Oprócz zapisów dotyczących powiązań z urzędnikiem publicznym, kwestii korupcji czy przeciwdziałania współczesnemu niewolnictwu znajdziemy tam również zapisy dotyczące różnorodności etnicznej, religii czy orientacji seksualnej. Z dokumentu płynie wyraźny sygnał, że koncern zakazuje „wszelkich form

eprasa.pl aa5c8ac814

FOT. ADOBE STOCK/JAN

dyskryminacji" z uwagi na np. pochodzenie narodowe czy orientację seksualną. Ponadto zastrzega sobie również prawo do sprawdzania, czy polski przedsiębiorca opisanych wartości dochowuje, a jeśli uzna za konieczne, to może z tego powodu zerwać umowę z dostawcą.

Gwarancją trwania kontraktu nie jest już tylko poprawne wykonywanie zlecenia. Pojawiają się wątki poboczne, które taką umowę mogą przerwać i tym samym skomplikować sytuację finansową kontrahenta. Bo co, jeśli kontrahent zatrudnia jedynie heteroseksualnych mężczyzn, a może w dodatku katolików? Czy na dłuższą metę takie ksenofobiczne podejście do prowadzenia biznesu pozwoli mu utrzymać się w rynku? Ta narracja to jest piosnka przyszłości, ale może już warto zapoznać się z melodią.

Narzędziem pomocniczym w monitorowaniu właściwego zachowania kontrahenta są specjalne infolinie koncernów, za pomocą których każdy – nawet osoba niebędąca pracownikiem czy stroną kontraktu – może zgłaszać swoje spostrzeżenia odnośnie do naruszania nakreślonych zasad. Jednocześnie dokument koncernu sugeruje kontrahentowi, że wobec osoby, która te spostrzeżenia zgłasza, nie powinny być wyciągane żadne konsekwencje.

Pytanie, czy rzeczywiście chodzi tu o prawa człowieka czy o rozszerzanie kontroli nowych ośrodków decyzyjnych. Skoro na sztandarach obyczajowej rewolucji wybrzmiewają hasła tolerancji i wolności, a w gruncie rzeczy tej wolności obywatelom Europy ubywa, to logicznie myślący człowiek zastanawia się, o co chodzi. A jak nie wiadomo, o co chodzi, to wszystko sprowadza się do finansów – w tym przypadku szeroko pojętych finansów i kontroli nad nimi.

Obserwując politykę działania zagranicznych koncernów, należy się spodziewać, że treść takich dokumentów będzie ewaluować. Naturalnie wszystko w imię wyższych wartości.

Taki „Kodeks postępowania dla dostawcy" stosowany jest również przez polski koncern naftowy – z tą różnicą, że traktuje on ogólnie o prawach człowieka, szacunku dla różnorodności, godnych i bezpiecznych warunkach pracy czy o intencji profesjonalizmu w relacjach B2B. Z oczywistych powodów nie ma tam uwrażliwiania na flagowe postulaty lewicy, która dąży do przemodelowania tożsamości państw narodowych. I słusznie, że takich zapisów nie ma, ponieważ służą one celom politycznym.

Nikt nie dyskutuje z faktem, że prawa człowieka to wartość nadrzędna, ale obserwujemy obecnie zjawisko używania ich jako narzędzia w przeprowadzaniu obyczajowej rewolucji. W środowisku lewicowym w kwestii gender zamiast tolerancji mamy afirmację, a w kwestii patriotyzmu i wiary katolickiej zamiast tolerancji mamy dyskryminację.

Nie ma konieczności uwrażliwiania polskich kontrahentów w dokumentach biznesowych na kwestie dyskryminacji ze względu na orientację seksualną, ponieważ w Polsce nigdy w tej sferze nie brakowało tolerancji – tu homoseksualizm nigdy nie był penalizowany (podczas gdy w Niemczech dopiero w 1994 r. wykreślono ten punkt z kodeksu karnego).

To, że w dokumentach kierowanych przez koncerny do innych niezależnych – na razie – przedsiębiorstw podnosi się kwestie różnorodności etnicznej i orientacji seksualnej, stanowi w moim przekonaniu pewne nadużycie w relacji B2B, a ponadto jest jasnym sygnałem, jakie powinny być wybory polityczne osób zamierzających świadczyć usługi dla danego koncernu. A to już wykracza poza obszar tradycyjnego biznesu.

Podnoszenie w dokumentach kwestii orientacji seksualnej stanowi pewne nadużycie w relacji biznesowej

EFEKT MELONI

W dużym uproszczeniu świat można podzielić na „Team Soros" i „Team Meloni". W „Team Soros" można właściwie wyodrębnić dwie grupy: ludzi mających pełną świadomość tego procesu oraz ludzi, którzy nie zagłębiają się w meandry geopolityki i bezrefleksyjnie wierzą w puste slogany o wolności i tolerancji, popierając masową imigrację. Trudno określić, czy pozbawieni są myślenia przyczynowo-skutkowego czy podświadomie wyznają filozofię Hegla, w myśl której „jeśli teorii przeczą fakty, to tym gorzej dla faktów".

Na szczęście są jeszcze liderzy gotowi bronić Europy przed skutkami projektu open society. Premier włoskiego rządu wypowiedziała w przestrzeni publicznej odważne słowa: „Jestem Giorgia, jestem kobietą, jestem matką, jestem chrześcijanką". Miejmy nadzieję, że „efekt Meloni" przyczyni się do zatrzymania ideologiczno-biznesowej rewolucji. Naturalnie trzeba być realistą, to nie jest łatwe zadanie. W obliczu zagrożenia utraty 19 mld euro z KPO Włochy poparły pakt imigracyjny.

Jednak mimo pewnej uległości wobec finansowego szantażu ze strony UE to nie kto inny, jak właśnie konserwatyści stanowi jedyną szansę, żeby zawalczyć o trochę kompetencji we własnym kraju. Korzystajmy więc z praw wyborczych, każdy głos ma znaczenie. Jak mawiał słynny poeta: „Lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach…".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

FOT. WFDIF

Z Jerzym Oleszkowiczem, reżyserem filmu „Akcja H-T"
rozmawianTomasz Zbigniew Zapert

Rabunek graniczny

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego u progu lat 50. doszło do wymiany terytoriów pomiędzy ZSRS a Polską?

JERZY OLESZKOWICZ: Trudno to nazwać wymianą. Dostaliśmy propozycję nie do odrzucenia, chociaż Sowieci informowali, że to jedynie „odpowiedź na prośbę władz Rzeczypospolitej Polskiej". Akcentowano, że chodzi o prostowanie czy wyrównywanie granicy. Lata 50. ubiegłego wieku to czas szybkiego uprzemysłowienia. Potrzebne są do tego tereny bogate w surowce, a powiaty hrubieszowski i tomaszowski za takowe uchodziły. Dowiodły tego – już w roku 1938 – badania przeprowadzone tam pod kierownictwem Jana Samsonowicza, uznanego profesora geologii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Sowieci musieli wiedzieć o ich rezultatach. Stalin uznał, że korekta graniczna pozwoli przejąć zasobny fragment terytorium sąsiada. Zdecydowały więc względy ekonomiczne. Oddaliśmy żyzne czarnoziemy. A – co najważniejsze – bogate w węgiel i z doskonale rozwiniętą infrastrukturą m.in. kolejową: linia Rawa Ruska – Krystynopol. W zamian otrzymujemy, a raczej wraca do nas część Bieszczadów. Jak głosiła sowiecka i polska propaganda, zaproponowano nam tereny roponośne. Mieliśmy też zyskać turystycznie, bo przewidywano budowę zapory w dolinie Sanu. Koncepcja jej powstania nie była nowa, plany tej inwestycji pojawiły już w dwudziestoleciu międzywojennym, ale realizację przerwał wybuch wojny w 1939 r.

A kiedy tę graniczną roszadę zainicjował Kreml?

W drugiej połowie 1950 r. Moskwa powiadomiła Warszawę o projekcie wymiany pogranicznej. W styczniu roku 1951 przedstawiciele rządu polskiego przybyli do stolicy ZSRS celem uzgodnienia kwestii technicznych. Rozpoczęły się negocjacje, których finałem było podpisanie – 15 lutego – umowy w sprawie wymiany terytoriów. 22 maja dziennik „Izwiestia" ogłosił, że rząd Rzeczypospolitej Polskiej zaapelował o wymianę przygraniczną, na co rząd sowiecki się zgodził. Tego samego dnia wiadomość podano także w polskich mediach.

Negocjacje państwowe stanowiły czystą formalność?

Niewiele mieliśmy w nich do powiedzenia. Sowieci umniejszali znaczenie oddawanych przez nas ziem. Pierwotnie chcieli zagarnąć całe powiaty hrubieszowski i tomaszowski – na co nie zgodziła się delegacja Polska. W pewnym momencie kazali nam nawet dopłacać do tej zamiany, wyżej wyceniając przekazywany nam obszar. Ostatecznie dokument podpisał w imieniu prezydenta Bolesława Bieruta jego pełnomocnik, wicepremier Aleksander Zawadzki (został upoważniony do zaakceptowania wszelkich terytorialnych postulatów sowieckich), a ze strony Prezydium Rady Najwyższej ZSRS Andriej Wyszyński, minister spraw zagranicznych, wcześniej oskarżyciel w procesach moskiewskich i prokurator generalny. 26 maja na forum sejmu Zawadzki przekonywał, że korekta granic jest inwestycją ekonomiczną, która w przyszłości będzie działać na korzyść Polski. Oświadczył, że umowa „stanowi nowy akt braterskiej pomocy dla nas ze strony ZSRS". Ówczesna prasa podkreślała, że porozumienie – zawarte na zasadach równopartnerstwa – jest wynikiem coraz bardziej zacieśniających się relacji między naszymi zaprzyjaźnionymi państwami. Zwiększa polskie możliwości gospodarcze, stanowi dalszy wkład w rozwój Polski Ludowej i z za-

eprasa.pl aa5c8ac814

dowoleniem zostanie powitana przez społeczeństwo.

Przewidywano jakieś rekompensaty za pozostawiony majątek?

Nie. Umowa tego nie przewidywała. Po obu stronach granicy pozostał majątek nieruchomy wraz z infrastrukturą przemysłową, drogową, kolejową i łącznościową. Obyło się bez jakichkolwiek odszkodowań.

Kto bardziej na tym epizodzie dziejowym skorzystał?

Nie ma żadnej wątpliwości, że Sowieci. Otrzymali atrakcyjne pod względem rolniczym i bogate w minerały zakole Bugu, tzw. Sokalszczyznę. Dobrze zagospodarowaną. Utraciliśmy miasta istotne dla kultury polskiej, takie jak: Bełz, Krystynopol, Sokal, Uhnów czy Waręż. Za to dostaliśmy górzyste nieurodzaje z wyeksploatowanym zagłębiem naftowym. Oraz miejscowości Ustrzyki Dolne, Lutowiska i Czarna. Niebawem zaczyna się rabunkowa gospodarka w Bieszczadach. Wycinane są olbrzymie połacie lasów, wybijana dzika zwierzyna. Wszystko to trafia do ZSRS. Dodam, że wymieniliśmy się terytoriami o powierzchni 480 km kw.

A co z przesiedleńcami?

Polakom proponowano zamieszkanie w Bieszczadach, gdzie mogli tworzyć zwarte skupiska, albo na „Ziemiach Odzyskanych" – tam jednak osiedlano przybyszów w rozproszeniu. Znaleźli się też tacy, którym granica dosłownie przecięła gospodarstwa. Najczęściej pozostawali po polskiej stronie, choć stracili część areału. W zawiadomieniu od pełnomocnika rządu ds. przesiedlenia otrzymywali informację o dacie wyjazdu i miejscu docelowym. Wielu nie chciało wyjeżdżać na Ziemie Zachodnie i Północne, mimo lepszych perspektyw, ale wybierali Bieszczady, wierząc, że to wszystko jeszcze się odwróci, a stąd będzie znacznie bliżej do swej małej ojczyzny. Przyjeżdżając w bydlęcych wagonach na stację kolejową, szukali – w Ustrzykach Dolnych, Czarnej, Michniowcu bądź Lutowiskach – zabudowań, które nadawałyby się do zamieszkania. To był inny, znacznie uboższy świat. Nierzadko przeprowadzali się z pokrytych blaszanym zadaszeniem i zelektryfikowanych domostw do chat krytych strzechą, oświetlanych płomieniem lampy naftowej, częstokroć pozbawionych okien i drzwi.

Na zdjęciach kadry z filmu „Akcja H-T"

FOT. WFDIF

REŻ. JERZY OLESZKOWICZ, TADEUSZ DOROSZUK
„AKCJA H-T"
PROD. TVP RZESZÓW

Mogli zabrać dobytek?

Specjalna uchwała Prezydium Rządu przewidywała otrzymanie na nowym miejscu na własność równorzędnych nieruchomości – rolnicy podobnej wartości gospodarstwa wraz z zabudowaniami. Przewidywano zwolnienie ich z obowiązkowych dostaw w latach 1951–1952, a za pozostawione plony mieli otrzymać ekwiwalent. Osobom zajmującym się rzemiosłem obiecywano lokale na prowadzenie tej działalności. Swoje domostwa mieli zostawić niezdewastowane i posprzątane. Specjalna komisja sprawdzała ich stan. Na kartach przesiedleńczych wpisywano, co i w jakiej ilości mogą zabrać ze sobą ich właściciele. Z dworców kolejowych odbierały ich ciężarówki, transportujące wysiedleńców pod nowe adresy.

Sowieci swoich obywateli wywozili m.in. na stepy chersońskie, w okolice Charkowa czy Odessy. Niektórzy, by być bliżej swoich mateczników czy ojcowizn, przenosili się – jeśli tylko pojawiła się taka okazja – bliżej dawnego miejsca zamieszkania. Na przykład do Czerwonogradu (dawniej Krystynopol), korzystając z ofert podjęcia pracy w tworzącym się na tych terenach górnictwie.

Czy Polska na tej transakcji mogła zyskać więcej?

Pierwotnie polska delegacja pertraktująca w 1951 r. w Moskwie zainteresowana była innym obszarem niż Bieszczady. Zaproponowała przejęcie rejonu z miastami Niżankowice, Dobromil oraz Chyrów, razem z łączącą je linię kolejową. W odpowiedzi Sowieci zażądali dodatkowo 150 mln dol.! Kwota nie do zaakceptowania.

Zamianę powrotną kiedykolwiek rozważano?

Nie. Bardzo na to liczyli wysiedleni z obu stron granicy. Świadczą o tym decyzje, które podejmowali. Chcieli być jak najbliżej opuszczonych terenów, które mieli w sercu, we wspomnieniach i na pieczołowicie przechowywanych fotografiach. Gdzie pozostawili na cmentarzach swych przodków. I ziemię uprawianą od pokoleń.

Planowano ciąg dalszy „wymiany terenowej" między Polską a Związkiem Sowieckim?

W listopadzie 1952 r. Sowieci przymierzali się do kolejnej inicjatywy tego typu. Polska miała stracić 1,3 tys. km kw. z powiatów hrubieszowskiego i tomaszowskiego, w tym miasto Hrubieszów. Granica miała biec od Korytnicy na zachód do Annopola, stąd poprzez Podhorce i Werbkowice do Łaszczowa i przez Rzeczycę do wsi Kornie. W zamian Polsce oferowano Niżankowice, Dobromil, Chyrów, Smolnicę oraz drogę kolejową Przemyśl – Zagórz. Pomysł upadł po śmierci Stalina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jerzy Oleszkowicz – producent i twórca filmów dokumentalnych. Przez lata zawodowo związany z rzeszowskim oddziałem TVP.

eprasa.pl aa5c8ac814

Autorami podręcznika do historii Rosji są były minister kultury, obecnie doradca prezydenta Rosji Władimir Miedinski (na zdjęciu) oraz rektor uczelni MGIMO, historyk Anatolij Torkunow

FOT. SERGEY KARPUKHIN/TASS/PAP

Specjalna operacja historyczna

Maciej Pieczyński

Od września uczniowie rosyjskich szkół średnich będą uczyć się historii z nowych podręczników. A właściwie poznawać sfałszowaną, zmanipulowaną, rozemocjonowaną, antyzachodnią wersję rodzimej przeszłości. Całkowitą nowość stanowi rozdział o „specoperacji"

Opublikowane zostały cztery nowe podręczniki: do historii Rosji oraz historii powszechnej dla X i XI klasy szkoły średniej (IX klasa jest ostatnią w szkole podstawowej). Będą obowiązywać już od września. Szczególnie warto przyjrzeć się, czego młodzi Rosjanie dowiedzą się o przeszłości własnego kraju. Autorami podręcznika do historii Rosji są były minister kultury, obecnie doradca prezydenta Rosji Władimir Miedinski oraz rektor uczelni MGIMO, historyk Anatolij Torkunow.

„Nasi przodkowie, przedstawiciele różnych narodów, inspirowali się ideałami sprawiedliwości społecznej. Ich entuzjazm, poświęcenie oraz patriotyzm sprawiły, że w latach 1941–1945 ZSRS obronił swoją niepodległość i odniósł Wielkie Zwycięstwo nad nazistowskimi Niemcami i ich sojusznikami" – czytamy we wstępie do podręcznika dla XI klasy, obejmującego lata 1914–1945. Uczeń

eprasa.pl aa5c8ac814

dowie się co prawda o krwawym charakterze wojny domowej i okrucieństwie zarówno „białych", jak i bolszewików, przeczyta o represjach stalinowskich, a nawet o wielkim głodzie na Ukrainie (który jednak nie jest określany jako celowe ludobójstwo, tylko efekt błędnej polityki władz). Generalnie jednak przekaz zdominowany jest dumą z ZSRS.

Jak wiadomo, we współczesnej Rosji słowo „rewolucja" ma głównie negatywne konotacje. Ponadto trudno wychwalać Związek Sowiecki, całkowicie negując sposób, w jaki powstał. Dlatego, w ramach kompromisu, historycy stosują pojęcie „Wielka Rewolucja Rosyjska", obejmujące zarówno rewolucję lutową (obalenie cara przez liberałów, demokratów i socjalistów), jak i październikową (obalenie liberałów, demokratów i socjalistów przez bolszewików). Autorzy nowej wersji podręcznika w następujący sposób tłumaczą znaczenie tych wydarzeń: „Rewolucja […] wywarła ogromny wpływ zarówno na rozwój naszego kraju, jak i na procesy ogólnoświatowe […]. Jednak następstwa wydarzeń rewolucyjnych były również tragiczne: zniszczenie tradycyjnego układu społecznego, spustoszenie, głód, śmierć i emigracja milionów obywateli. Najstraszniejsza była bratobójcza, bezlitosna wojna domowa. A ponieważ w języku rosyjskim pod słowem »wielka« zazwyczaj rozumie się ocenę pozytywną, dalej w podręczniku będzie używany skrót »rewolucja rosyjska«".

POLSKA TWÓJ WRÓG

O ile w przypadku polityki wewnętrznej ZSRS autorzy podręczników szkolnych potrafią niuansować i wskazywać, choćby nieśmiało i eufemistycznie, na „błędy" komunistów, o tyle w opisie polityki zagranicznej ich przekaz jest w zasadzie czarno-biały. W roli jednego z najczarniejszych charakterów obsadzona jest oczywiście Polska, która „napadła" na Rosję w 1920 r., choć przecież bolszewicy uznali prawo narodu polskiego do niepodległości. Rzeczywiście Lenin anulował traktaty rozbiorowe. Jednak gdy Polacy ruszyli na wschód odzyskiwać tereny dawnej I Rzeczypospolitej, zderzyli się z Armią Czerwoną, która – jak wiadomo – zatrzymała się dopiero nad Wisłą.

Według Miedinskiego i Torkunowa porozumienie między Moskwą a Warszawą było możliwe, ale wszystko zepsuł „polski dyktator Józef Piłsudski", ponieważ „rościł sobie pretensje do Małorosji, Noworosji [tak w terminologii carskiej określano ziemie kolejno lewobrzeżnej oraz południowej Ukrainy – przyp. red.] oraz Białorusi". Uderzył więc na Kijów w sojuszu z tzw. Ukraińską Republiką Ludową. Oficjalnie – aby pomóc jej w budowie niepodległego państwa, choć „miejscowa ludność (ukraińska) traktowała Polaków jak okupantów". Sugestia jest jasna – dla Ukraińców Polska to agresor, a Rosja (biała czy czerwona, to bez znaczenia) – wyzwoliciel.

Polska nazywana jest „sojusznikiem Hitlera". Oczywiście takim mianem Miedinski i Torkunow nie określają Związku Sowieckiego

Dalej autorzy bardzo wybiórczo i zdawkowo opisują przebieg działań wojennych. O zwycięstwie nad Armią Czerwoną informuje jedno zdanie: „Piłsudski dał radę, w oparciu o pomoc ze strony państw zachodnich, zadać klęskę wojskom Tuchaczewskiego". Ani słowa o Bitwie Warszawskiej. Za to cały akapit poświęcony kilkudziesięciu tysiącom czerwonoarmistów, którzy jakoby „zginęli w polskiej niewoli wskutek barbarzyńskiego traktowania ze strony polskiego dowództwa, z egzekucjami czy prześladowaniami ze strony obozowej administracji włącznie. Władze polskie do dziś odmawiają uznania tej zbrodni wojennej".

Uczeń X klasy rosyjskiej szkoły średniej dowie się, że „kluczowym wydarzeniem, prowadzącym do wybuchu drugiej wojny światowej", wcale nie był pakt Ribbentrop-Mołotow, tylko „spisek monachijski", czyli rozbiór Czechosłowacji przez Niemcy, zaaprobowany przez mocarstwa zachodnie. Polska, która przy okazji zajęła Zaolzie, nazywana jest „sojusznikiem Hitlera". Oczywiście takim mianem Miedinski i Torkunow nie określają Związku Sowieckiego. Pakt Ribbentrop-Mołotow był dziejową koniecznością, ponieważ pozwalał ZSRS opóźnić o dwa lata niemiecką napaść. Na jego mocy Moskwa odzyskała tereny utracone w rezultacie wojny polsko-bolszewickiej. 17 września 1939 r. Armia Czerwona nie tyle napadła na Polskę, ile „przekroczyła jej granice". Uczeń nie przeczyta ani o agresji sowieckiej, ani o aneksji polskich ziem przez Moskwę. Dowie się natomiast, że o włączeniu do ZSRS zadecydowali sami mieszkańcy Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej.

A oto wszystko, co można przeczytać na temat represji i zbrodni sowieckich przeciwko Polakom: „Na terytorium, wyzwolonym przez Armię Czerwoną, w charakterze jeńców znalazło się ponad 250 tys. polskich żołnierzy. Większość wypuszczono do domów. Jednak wielu oficerów, żandarmów, policjantów i urzędników zostało przeniesionych (sic!) do więzień i obozów. Dokumenty, opublikowane na początku lat 90., wskazują na to, że część z nich została rozstrzelana przez organy NKWD". Obok widnieje ramka informująca, czym jest Memoriał Katyński: „Filia Państwowego Centralnego Muzeum Współczesnej Historii Rosji. Na jej terenie znajdują się masowe groby obywateli sowieckich (ofiar represji politycznych), cmentarz, na którym pochowano polskich żołnierzy, oraz ekspozycja muzealna poświęcona historii relacji polsko-rosyjskich i represji politycznych".

ROSYJSKI KOSMOS

Podręcznik dla uczniów XI klasy obejmuje okres od 1945 r. do czasów najnowszych. Rozdziały, przybliżające okres od lat 70. do epoki Putina, zostały napisane na nowo. We wstępie, narzucającym ogólną narrację, czytamy m.in., że ZSRS „otworzył ludzkości drogę w Kosmos, odniósł wspaniałe sukcesy na polu rozwoju nauki, medycyny i edukacji", ale w pewnym momencie, w wyniku kryzysu gospodarczego i ideologicznego, naród sowiecki zapragnął zmian. Niestety, pierestrojka wywołała chaos i doprowadziła do upadku państwa, które podniosło się z ruin dopiero na początku XXI w., po dojściu Putina do władzy. „Odrodzenie naszego kraju, wzmocnienie jego roli na świecie wywołały w naszych geopolitycznych konkurentach dążenie do zatrzymania rozwoju Rosji" – piszą autorzy.

Jak nietrudno się domyślić, mianem „najważniejszego wydarzenia historii najnowszej" Miedinski i Torkunow określają „powrót naszych historycznych ziem

eprasa.pl aa5c8ac814

w granice Federacji Rosyjskiej" [chodzi o Krym w 2014 r. i cztery obwody ukraińskie w 2022 r. – przyp. red.]. Wstęp kończy się hurraoptymistyczną konstatacją: „Nie ma żadnych wątpliwości, że rzucone przez Zachód wyzwanie uczyniło nasz kraj silniejszym, a nasz wielonarodowy naród rosyjski – jeszcze bardziej zjednoczonym. Wam, spadkobiercom chwały naszych ojców i dziadów, przyjdzie pomnażać chwałę i potęgę naszej Ojczyzny".

Całkowitą nowością jest ostatni rozdział podręcznika dla XI klasy, poświęcony „specjalnej operacji wojskowej". Cała wina za wybuch wojny leży po stronie Zachodu. „Rosja wychodziła z założenia, że zimna wojna to przeszłość. Wierzyliśmy, że w przyszłości czeka nas budowa dobrosąsiedzkich relacji z USA i Zachodem" – czytamy. Autorzy przypominają, że po 11 września 2001 r. Moskwa zaproponowała Amerykanom sojusz w walce z terroryzmem. Rozwijała się współpraca gospodarcza z Europą, która kupowała od Rosji gaz i ropę naftową.

To jednak nie spodobało się Amerykanom, którzy nie zamierzali tolerować konkurencji. W imię interesów swoich korporacji rozpętali wojny w Iraku, Syrii czy Libii. A w 2022 r. wysadzili Nord Stream 2 (autorzy podają tę wersję nie jako jedną z możliwych, ale jako fakt), aby odciąć Europejczyków od rosyjskich surowców i zmusić ich do kupowania drogiego, amerykańskiego gazu (sic!). USA torpedowały dążenia Moskwy do „równoprawnego partnerstwa". Elementem tej polityki było rozszerzenie NATO na wschód. A przecież sojusz ten powstał jako broń przeciwko „ekspansji sowieckiej", więc w 1991 r. stracił rację bytu. Zachodni politycy obiecywali, że rozszerzenia NATO nie będzie, ale słowa nie dotrzymali.

Zachód chce doprowadzić do rozpadu Rosji tak samo, jak w latach 90. doprowadził do rozpadu Jugosławii. W tym celu od dawna „sponsoruje rusofobię" w byłych republikach sowieckich. Planuje wciągnąć Rosję w serię konfliktów i „kolorowych rewolucji", rozchwiać jej gospodarkę, a następnie zmienić władzę na Kremlu na swoich nominatów, „podzielić Rosję na kawałki" i „przejąć jej surowce".

Pierwszą „torpedą antyrosyjską" była Gruzja. Proamerykański prezydent Saakaszwili napadł w 2008 r. na przyjazną Moskwie Osetię Południową, a także

Podręcznik podaje, że ukraińska „junta" ostrzeliwała cywilów w Donbasie. Pod koniec 2021 r. Rosja zaproponowała porozumienie, ale Zachód je odrzucił

na stacjonujące na jej terenie rosyjskie siły pokojowe. Ruszyła kontrofensywa. Armia rosyjska stanęła u bram Tbilisi. I „tylko wyjątkowo pokojowe nastawienie Rosji pozwoliło Gruzji zachować niepodległość" (sic!). Poza tym Zachód na złość Rosji „fałszuje historię", „kłamiąc" o sojuszu Stalina z Hitlerem czy burząc pomniki „wyzwoleńczej" Armii Czerwonej w Polsce. Kolejnym „taranem USA przeciwko Rosji" stają się „ukraińscy neonaziści", którzy przejęli władzę w kraju w rezultacie krwawego zamachu stanu.

Ani słowa o oddolnych protestach na Majdanie. Zamiast tego – informacja o oddolnych prorosyjskich protestach na Krymie, gdzie „porządek i bezpieczeństwo" ostatecznie zapewnili żołnierze rosyjscy. Półwysep „wrócił do ojczyzny" w rezultacie „referendum" (uczciwego, rzecz jasna). W Donbasie wybuchło „powstanie ludowe" przeciwko „kijowskiej juncie". Rozpoczęła się krwawa wojna, w której Rosjanie brali udział jedynie „na ochotnika", w porywie serca, bijącego dla słowiańskich braci, ciemiężonych przez neonazistów.

PUTIN RATUJE ŚWIAT

„Junta" nieprzerwanie ostrzeliwała cywilów w Donbasie. Pod koniec 2021 r. Rosja zaproponowała porozumienie, ale Zachód je odrzucił. O tym, że było to ultimatum nie do przyjęcia, uczeń nie przeczyta. Dowie się natomiast, że przebywający nad Dnieprem „doradcy NATO wywierali naciski na Kijów, żeby rozpocząć inwazję na Donbas". Na Ukrainie powstawały „amerykańskie laboratoria broni biologicznej". Kijów publicznie wyrażał chęć posiadania broni jądrowej, odzyskania Krymu i wstąpienia do NATO. Moskwa nie mogła do tego dopuścić, bo wojna Rosja – NATO byłaby „końcem cywilizacji".

Znamienne, że podręcznik milczy o tym, iż oficjalnym celem „specjalnej operacji wojskowej" była denazyfikacja oraz demilitaryzacja Ukrainy. Zapewne dlatego, że dziś podbój kraju jest mało realny. Zamiast tego uczeń dowiaduje się, że „specoperację" rozpoczęto po to, aby obronić Donbas i Rosję. Tak naprawdę toczy się wojna z Zachodem, który „zarzucił ukraiński reżim pieniędzmi i bronią" i wprowadził sankcje, „łamiąc prawo międzynarodowe".

Jednak Rosja szybko zaadaptowała się do nowych warunków, a jej gospodarka rozkwita. Opuszczenie kraju przez zachodni kapitał stwarza wręcz… szansę na rozwój rodzimego biznesu. Autorzy apelują do czytelników, aby po ukończeniu szkoły z tej „historycznej szansy" skorzystali i zakładali własne firmy. Rosja otwiera się na niezachodnie rynki. Tymczasem państwa europejskie, pozbawione tanich rosyjskich surowców, zmagają się z kryzysem. Na wojnie najlepiej zarabiają Amerykanie, walcząc z Rosją „do ostatniego Ukraińca". Ci ostatni zaś zmagają się z dyktaturą we własnym kraju (bo przecież nie z agresją). Na Ukrainie brutalnie prześladowana jest opozycja.

Zachód nieprzerwanie dąży do zwycięstwa na polu bitwy, odrzucając wszelkie propozycje pokojowe. Zwycięstwo, powtórzmy, oznaczałoby upadek Rosji, która w tej sytuacji nie ma wyjścia – musi walczyć. W ciekawie pokrętny sposób autorzy tłumaczą, skąd wzięły się ofiary cywilne na Ukrainie. Otóż, co prawda, armia rosyjska ma kategoryczny rozkaz ostrzeliwania obiektów cywilnych. Jednak zbrodnicza armia ukraińska ukrywa się w blokach mieszkalnych, zasłaniając się „żywymi tarczami". „Tak bestialskiej taktyki na własnym terenie nie stosowała jeszcze żadna armia świata!" – oburzają się autorzy. Miedinski i Torkunow zdają sobie sprawę z tego, że ich nastoletni odbiorcy mogą z łatwością znaleźć w Internecie odtrutkę na kremlowską propagandę. Dlatego „przestrzegają" przed fejkami produkowanymi na Zachodzie (i „oczerniającymi" Rosję), przed manipulacjami i „inscenizacjami" (najpewniej w domyśle chodzi m.in. o zbrodnię w Buczy, która w Rosji uważana jest za „antyrosyjską inscenizację" właśnie). Kilka stron ostatniego rozdziału podręcznika zajmuje galeria „bohaterów specjalnej operacji wojskowej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

FOT. ANDOLU/ABACA/EAST NEWS

NEYMAR ODLECIAŁ

Znany brazylijski piłkarz Neymar rozpoczął współpracę z saudyjskim klubem Al-Hilal. Ponieważ to bardzo lukratywny kontrakt (zarabiał będzie ok. 25 tys. euro na godzinę), piłkarz może pozwolić sobie na ekscentryczne kaprysy. Pierwszy już zdenerwował Internautów – Neymar Jr. został przetransportowany do Arabii Saudyjskiej boeingiem 747. Na pokładzie był sam. Maszyna – nazywana latającym pałacem – może pomieścić aż 600 pasażerów.

OLIGARCHA NA SAFARI

W Wielkiej Brytanii oburzenie. Wyszło na jaw, że kuzynka monarchy Karola III – Alexandra „Lexi" Bowes-Lyon – zorganizowała w lutym 2021 r., rosyjskiemu oligarsze – Olegowi Deripasce – trzydniową wycieczkę do Kenii. Oligarcha Oleg Deripaska jest przyjacielem Władimira Putina. Bowes-Lyon zaangażowała się w umożliwienie wycieczki jako filantropijny dyrektor organizacji na rzecz słoni – Space for Giants USA.

BABA-JAGA PORYWA ROSJAN

Czeczeńscy żołnierze walczący po stronie rosyjskiej twierdzą, że Ukraina nasyła na rosyjskie wojska drony, które mają porywać żołnierzy wielkimi szczypcami. Pewien kadyrowiec nazwał owe urządzenie „Babą-Jagą". Ukraińskie media śmieją się z tych doniesień i określają je mianem paranoi.

ROSJANIE UDAWALI POLAKÓW

Rosyjskie władze rozpuszczają fake newsy o Polakach mordujących Ukraińców na froncie. Narzędziem propagandy zostało sfingowane przez Rosjan nagranie, na którym Polak ma rzekomo gonić Ukraińca z karabinem. Sęk w tym, że akcent napastnika nie przypomina języka polskiego. Słychać, że to silący się na polski Rosjanie. Biełsat okrzyknął nagranie „fejkiem godnym Oscara".

WYPILI KOKTAJLE I ZMARLI

W USA trwa śledztwo. W popularnej w restauracji w Tacoma od lutego do lipca sprzedawano koktajle mleczne, po wypiciu których sześć osób trafiło do szpitala, z tego trzech nie udało się uratować. W maszynach do robienia lodów śledczy wykryli bakterie listerii. Departament Zdrowia stanu Waszyngton uznał, że personel nie czyścił maszyn prawidłowo. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nadchodzi generacja Alpha

Słynne Pokolenie Z, którego przedstawiciele od urodzenia żyją w świecie nowoczesnych technologii i znani są ze specyficznego podejścia do pracy, zaczyna się powoli starzeć. „Roszczeniowi samotnicy" – jak określane są „Zetki" – według socjologów kochają luksus, designerskie ciuchy, dalekie podróże oraz wszelkie akcje „zmieniające świat na lepsze". A że nie chcą się przy tym narobić, to np. wylewają zupę na dzieła sztuki lub przyklejają się w różnych miejscach. Wierzą w swoje talenty i indywidualne możliwości. Nie za bardzo mają za to czas na żmudną pracę, a już na pewno nie chcą zaczynać od „robienia kawy". Jeśli już, to kawę podać im może szef, wtedy rozważą, czy na chwilę nie wpaść jednak do biura.

Przez takie podejście i brak chęci do płacenia rachunków, zaciągania kredytów etc. wielu przedstawicieli Generacji Z nadal/znów mieszka więc z rodzicami. Część z nich nawet rozmowy o pracę prowadzi w towarzystwie rodziców; ci zaś – jak informował „The Wall Street Journal" – nie tylko podpowiadają pociechom, co powiedzieć rekruterom, lecz także potem dzwonią do firm, aby wstawić się za pełnoletnimi dziećmi.

„Zetki" mogą wkrótce na rynku pracy zacząć już jednak wygryzać przedstawiciele generacji Alpha. Według socjologów nowe pokolenie ma się stać najlepiej poinformowaną, zaawansowaną technologicznie i najbogatszą grupą demograficzną w historii. Na szczęście dla członków wcześniejszych generacji wszelkie etykietki przypinane wszystkim milenialsom, zetkom etc. nie mają wiele wspólnego z prawdą i służą głównie marketingowcom, socjologom i… felietonistom. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

Życie codzienne w Zgorzelcach

Zgorzelec

FOT. ADOBE STOCK

Jan Bogatko ze Zgorzelców

Są dwa Zgorzelce. Ten na zachodnim brzegu Nysy po polsku nazywa się Görlitz, mimo że alfabet polski nie zna litery „ö". Czesi nie mają kompleksów: oba Zgorzelce, ten polski i ten niemiecki, nazywają się Zhořelec. Po serbołużycku, w języku dawnych mieszkańców Łużyc i Milska, oba miasta nazywają się podobnie: Zhorjelc. Łużyczanie przetrwali do dziś

Polski Zgorzelec. Znaki przy autostradzie A4 prowadzącej z Drezna do Wrocławia informują przed niemieckim Zgorzelcem przyjezdnych, że zaraz wjadą na Śląsk. Po stronie polskiej brak tablic informacyjnych, że wjeżdżamy na Łużyce.

Niemiecki Zgorzelec. Tu mieści się przy Bruederstrasse 8 Muzeum Śląskie (Schlesisches Museum).

Polski Zgorzelec. Tu znajduje się przy Daszyńskiego 15 Muzeum Łużyckie.

Śląskość czy łużyckość Görlitz to drażliwa sprawa. W niemieckim Zgorzelcu w restauracjach i kawiarniach przy rynku sprzedaje się śląskie makowce (schlesische Mohnkuchen) i serwuje kluski śląskie. W polskim Zgorzelcu brak łużyckich ciast i knedli.

Zgorzelec (na obu brzegach Nysy Łużyckiej) ominęły na szczęście bomby podczas drugiej wojny światowej. Legło w gruzach zaledwie 37 budynków. Więcej rozpadło się w latach socjalistycznej gospodarki. Cenne witraże w pięknym kościele śś. Piotra i Pawła na Starym Mieście rozsypały się na skutek wysadzenia przez Wehrmacht w powietrze mostu na Nysie.

Na szczęście dla miasta nawet ogłoszenie Zgorzelca twierdzą w ostatnich dniach wojny (30 marca 1945 r.) nie sprowadziło nań katastrofy. Fabryki, np. wagonów kolejowych, zbombardowane i odbudowane w NRD, dzisiaj są nieczynne i w ruinie, ale to już skutek zjednoczenia. Powstają nowe, pod miastem, jak zakłady obuwnicze Birkenstock, zatrudniające ok. tysiąca pracowników, w większości z Polski. Tam mówi się po polsku.

Po polsku można się porozumieć w restauracjach, kawiarniach i sklepach na zachodnim brzegu Nysy. Pracuje tam wielu Polaków. Także sporo młodych Niemców uczyło się polskiego w szkołach – m.in. w bilingualnym liceum (licea nazywają się tu gimnazja po czterech latach szkoły podstawowej) Augustum-Annen. Nadal więcej jest jednak Polaków potrafiących porozumieć się po niemiecku niż Niemców chcących mówić po polsku. Chyba dlatego w polskich restauracjach są niemieckim gościom podawane karty w ich ojczystym języku. Takie dostaje się w Espresso, często odwiedzanej przez gości z drugiego brzegu Nysy. W niemieckich natomiast polskiego menu brak. Za to w staromiejskiej Emmerich na Untermarkt 1 obsługa jest z Polski. Maciek mówi trzema językami. – Jesteśmy po prostu inteligentniejsi od sąsiadów – twierdzi. Restauracje na Starym Mieście na ogół dobrze przetrwały pandemię: tylko jedna z nich poddała się w walce z COVID.

BOGACI POLACY, BIEDNI NIEMCY

Ruch na moście granicznym jest duży, zwłaszcza w weekendy, kiedy Niemcy jadą na zakupy do Polski (zresztą nie tylko Niemcy, coraz częściej przyjeżdżają do Zgorzelca także Czesi). Problemem dla przybyszów (i lokalsów) są ronda. Kultura jazdy (na obu brzegach Nysy) pozostawia wiele do życzenia. Najbardziej luksusowe samochody (jaguary, a nawet bentley) mają polskie rejestracje. Te posunięte w latach raczej niemieckie. Niemcy mają problem z przejściami dla pieszych. Rzadko zatrzymują się przed zebrami. Polacy natomiast pędzą ulicami niemieckiego Zgorzelca, gdzie pasy należą do rzadkości, przepuszczając – w przeciwieństwie do tubylców – wystraszonych przechodniów na skrzyżowaniach.

O ile młodzi ludzie czują się w obu Zgorzelcach u siebie, o tyle starsze pokolenie, zwłaszcza Niemców, niewyjeżdżających

eprasa.pl aa5c8ac814

do Polski na zakupy, ma problemy z wycieczkami za miedzę. Niektórzy mówią, że wolą wspierać własną gospodarkę. – Na ogół są to „Ossi", wschodniacy, czyli rdzenni mieszkańcy – opowiada mi Christine, sama z Niemiec Zachodnich. Studiowała we Wrocławiu i doskonale mówi po polsku. To typowa „Wessi" (zachodniaczka), jak wielu emigrantów ze starej RFN. Jest ich tu sporo. Dlaczego tu osiedli? Powody są liczne: chęć zmiany otoczenia (żyć za granicą, ale we własnym kraju) oraz znacznie niższe koszty utrzymania niż w Hamburgu czy w Monachium. Emeryci cenią zwłaszcza niedrogie mieszkania i walory turystyczne regionu (góry, jeziora, uzdrowiska – jak np. Świeradów-Zdrój, gdzie na jednym z hoteli widnieje wielki napis „KURHAUS"). Do niedawna dochodziła do tego doskonała komunikacja lotnicza z wakacyjnym światem z Drezna. Zgorzelczanie i teraz mają do dyspozycji lotniska we Wrocławiu czy w Pradze. A do stolicy Dolnego Śląska można dojechać koleją. Można by nawet z niemieckiego Zgorzelca, gdyby Niemcy zelektryfikowali ostatni odcinek kolei. Polska z powodów ekologicznych nie wpuszcza pociągów Diesla do Zgorzelca. Trzeba podjechać do jednego z dwóch przystanków po stronie polskiej, by dojechać do Wrocławia.

W niemieckim Zgorzelcu stoi piękny gmach domu towarowego sprzed pierwszej wojny światowej. Jest piękny, ale pusty. Sto lat po jego otwarciu reprezentacyjny obiekt nabył Winfried Stöcker, znany przedsiębiorca z branży medycznej. Jego marzeniem od dekady jest przywrócić życie domu towarowego, oferując w nim dobra najwyższej jakości. Dla kogo ten luksus? Inwestor nie kryje, że liczy na zamożnych polskich klientów. Takich po niemieckiej stronie granicy jest niewielu.

Dom towarowy miałby się nazywać KaDeO, w nawiązaniu do znanej berlińskiej marki KaDeWe. KaDeO – Kaufhaus der Oberlausitz. Zatem jednak Łużyc, nie Śląska? Tymczasem prospekty mówią o Kaufhaus Görlitz. Można i tak.

Dlaczego dom towarowy jest nadal zamknięty? Fama głosi, że inwestor kłóci się z miastem o zgodę na dobudowanie nowoczesnej części budynku na zapleczu, z windami, widokową antresolą i usługami gastronomicznymi. Podobno konserwator nie wyraża zgody. Na razie w domu towarowym odbywają się czasem koncerty, ponieważ utonął teatr miejski w niemieckiej części Miasta-Europy, pełniący także funkcję filharmonii (awaria instalacji przeciwpożarowej doprowadziła do zalania wodą gmachu z epoki eklektyzmu z bogatym wystrojem wnętrz).

Most Jana Pawła II łączy polski Zgorzelec z niemieckim. Dwupasmówka w centrum miasta, a właściwie – co za potworek językowy – Miasta-Europy. Przez ten most można przejechać samochodem ze starego miasta w Görlitz do najmłodszej na świecie starówki w Zgorzelcu, mijając po drodze galerię bez nazwy i wyjeżdżając niemal na pusty, lecz wyremontowany budynek największego hotelu w Zgorzelcu.

Przy placu Pocztowym, moście staromiejskim dla pieszych, gdzie znajduje się owa starówka, stoi zabytek z czasów polsko-saskiej unii personalnej. Jest nim słup dystansowy naprzeciw mostu Staromiejskiego (dla pieszych), a raczej jego kopia – ma 5 m wysokości i kształt ostrosłupa na cokole. Trzon ozdobiony jest herbami Saksonii, Polski i Litwy, monogramem króla Augusta Mocnego i napisami podającymi odległości do najważniejszych miast regionu. Wtedy to była Saksonia, nie Śląsk. Politycznie w skład pruskiej regencji śląskiej miasto weszło dopiero po wojnach napoleońskich, wtedy to nastąpił na kongresie wiedeńskim rozbiór Górnych Łużyc.

Wszystkie te wymienione przed chwilą obiekty po polskiej stronie Nysy łączy coś z KaDeO po stronie zachodniej – stoją puste lub są niezamieszkane. Ich właścicielem jest zgorzelczanin, milioner Christos Papanaum, z licznej w Zgorzelcu kolonii komunistycznych emigrantów z Grecji (po upadku nieudanej stalinowskiej rewolucji w Helladzie). Na szczęście komunizm Grecji nie zniszczył i dzisiaj wielu z nich wróciło do ojczyzny.

Od strony Niemiec przy moście Jana Pawła II znajduje się spory parking, a przy nim z jednej strony nieczynny budynek Hali Miejskiej, a z drugiej – gmach policji. Przed nim albo i z drugiej strony stoją ostatnio – w związku z prowadzącym do Niemiec białoruskim szklakiem islamskich osadników – samochody policyjne, a ich personel prowadzi wyrywkowe kontrole pieszych i samochodów przyjeżdżających do Niemiec z Polski. Minister spraw wewnętrznych w Berlinie, Nancy Faeser z SPD, zapewnia, że regularnych kontroli granicznych nie będzie. Jej zdaniem uderzyłyby one w gospodarkę, a Polska ma dla Niemiec większe znaczenie niż Austria, na granicy z którą takie kontrole są.

NIEMCY SIĘ WYLUDNIAJĄ, POLSKA ZALUDNIA

Zgorzelce mają dwa większe rynki. Jeden z nich znajduje się przy Elisabethstrasse, z której podobno ze względów bezpieczeństwa wycięto piękny starodrzew, drugi zaś w polskim mieście, niedaleko poczty. Na tym niemieckim rynku warzywa, owoce i kwiaty sprzedają w sporej liczbie Polacy. Krystyna prowadzi tu z mężem spory stragan owocowo-warzywny. Wysokiej jakości towar sprowadzają z Polski, co zapewnia dobrą marżę. Kupują u niej także Polacy, mieszkający po niemieckiej stronie Nysy. Wielu Niemców, których nie zawsze stać na zakupy i którzy nie mają uprzedzeń, woli rynek po polskiej stronie, zwłaszcza latem, kiedy pojawia się tam wiele lokalnych owoców i warzyw po konkurencyjnej cenie. Wyjazdy na zakupy do Polski z Niemiec ułatwia komunikacja miejska – można się dostać tam lokalnym autobusem.

A demografia? Niemiecki Zgorzelec wyludnia się, polski rozrasta. O ile przed zjednoczeniem Niemiec Görlitz miał nieco ponad 77 tys. mieszkańców, o tyle dzisiaj już tylko ok. 55 tys. Około 6 tys. z nich to Polacy.

W polskim Zgorzelcu jest ponad 30 tys. mieszkańców. Informacji, ilu tam mieszka Niemców, brak. Polacy są właścicielami wielu kamienic po niemieckiej stronie Nysy Łużyckiej. – Nabywcy mieszkań preferują polską stronę – mówi mi w kawiarni Galerii Plaza deweloperka Małgorzata. – Są one wprawdzie droższe, lecz czynsz jest znacznie niższy, więc to się właścicielom per saldo bardziej opłaca.

Görlitz to twierdza AfD. W każdy poniedziałek odbywają się marsze z werblami. Od niedawna inicjatywa Görlitz bleibt BUNT (Görlitz jest kolorowy) organizuje kontrdemonstracje. Burmistrz, muzyk urodzony w Bukareszcie, Octavian Ursu, polityk CDU, wygrał wybory dzięki koalicji od prawicy do lewicy. Mówi się, że AfD to antypolska partia. Mówi się. Polacy w niemieckim Zgorzelcu twierdzą, że tego nie odczuwają, jak mówią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

Gdy Chiny mają katar

Jacek Przybylski

W oczy inwestorów zajrzał strach. Chiny, druga gospodarka świata, wpadły w potężne tarapaty. Wielkie hamowanie największej fabryki świata już odczuwa coraz więcej przedsiębiorstw z różnych części globu

Evergrand, najbardziej zadłużony chiński deweloper (jego zobowiązania szacowane są na ok. 340 mld dol.), złożył niedawno oficjalny wniosek o ochronę przed wierzycielami w Stanach Zjednoczonych. To kolejna odsłona problemów z płynnością chińskiego przedsiębiorstwa, które już w 2021 r. było na ustach całego świata, gdy nie spłaciło zobowiązań zaciągniętych w dolarowych obligacjach. Restrukturyzacja długów dewelopera nie będzie prosta. Evergrand ujawnił, że jego strata netto wyniosła w 2022 r. równowartość 14,5 mld dol.

Co gorsza, wciąż stopniowo malejące ceny nieruchomości sprawiają, że w tarapaty finansowe wpada coraz więcej chińskich deweloperów, a wielu balansuje już na krawędzi bankructwa. Jeden z największych – Country Garden – nie spłacił niedawno odsetek od dwóch serii dolarowych obligacji. „Niepokojącym sygnałem jest to, że w ostatnich miesiącach ceny domów na rynku wtórnym zaczęły ponownie spadać w niektórych miastach po wstępnym ożywieniu w I kwartale 2023 r." – zauważyli w komunikacie stratedzy banku inwestycyjnego JPMorgan.

Problemy firm z rynku nieruchomości, które wytwarzały dotąd mniej więcej jedną trzecią chińskiego PKB, to niejedyne złe wieści płynące ostatnio z Państwa Środka. Kolejne dane wskazują nie tylko na rosnące ryzyko gigantycznych problemów w budownictwie, lecz także

eprasa.pl aa5c8ac814

FOT. ADOBE STOCK

wręcz na ryzyko zapaści całej chińskiej gospodarki.

ZAKLINANIE RZECZYWISTOŚCI

Wiadomo już, że wzrost produktu krajowego brutto (PKB) Chin – państwa będącego do niedawna głównym kołem zamachowym globalnego rozwoju gospodarczego – niemal się zatrzymał. Kolejne kluczowe dane również nie dają powodu do optymizmu. Rozczarowały zarówno wieści dotyczące sprzedaży detalicznej – ta wzrosła w lipcu zaledwie o 2,5 proc. w skali roku (konsensus wśród analityków wynosił 4,7 proc.), jak i dane dotyczące produkcji przemysłowej (wzrosła o 3,7 proc. rok do roku, a analitycy zakładali wzrost na poziomie 4,4 proc.). Mocno spowolniły również inwestycje (wzrost o zaledwie 3,4 proc. rok do roku). Kiepsko wygląda także sytuacja na rynku kredytowym (w lipcu sprzedaż kredytów w narodowej walucie zmalała o 89 proc. miesiąc do miesiąca (ponad 50 proc. w skali roku) i spadła do poziomu najniższego od 2009 r.

Już w połowie roku Chiny pokazały fatalne dane dotyczące eksportu (w kwietniu 2023 r. spadł on aż o 7,5 proc. w skali roku). Jakby tego wszystkiego było mało, złe wiadomości napływają i z rynku pracy. Stopa bezrobocia w miastach wzrosła z 5,2 proc. do 5,3 proc. Szczególnie niepokoi jednak to, czego nie wiadomo – chiński urząd statystyczny zaprzestał bowiem publikowania danych dotyczących bezrobocia wśród młodych. Ono już w czerwcu było na rekordowym poziomie 21,3 proc. Decyzja o zaprzestaniu udostępniania nowych danych sugeruje jasno, że problem narasta i wielu młodych Chińczyków dłużej będzie mieszkać razem z rodzicami, co prowadzi do pogłębienia problemów na rynku nieruchomości.

Niepewna sytuacja na rynku pracy sprawia, że Chińczycy – w przeciwieństwie do mieszkańców krajów zachodnich – wcale nie spieszą się z wydawaniem pieniędzy zaoszczędzonych podczas pandemii COVID-19, jakby wszyscy na pamięć nauczyli się założeń jednej z najważniejszych teorii ekonomicznych, a więc modelu Keynesa. Angielski ekonomista już niemal 100 lat temu zauważył, że ostrożni inwestorzy prywatni w okresie spowolnienia gospodarczego wcale nie muszą się spieszyć z wydawaniem zaoszczędzonej gotówki, nawet przy zwiększeniu podaży pieniądza.

Niższy od spodziewanego popyt wymusza z kolei na chińskich przedsiębiorcach obniżki cen na produkty i usługi, co prowadzi z kolei do deflacji, mającej w długim terminie zgubne skutki dla rozwoju gospodarczego. Przy jednoczesnym spadku wartości eksportu można się więc spodziewać, że władze w Pekinie zrobią, co w ich mocy, aby doprowadzić do zwiększenia popytu wewnętrznego. Bez tego trudno sobie wyobrazić, aby udało się uratować wzrost gospodarczy.

Władze w Pekinie nie obserwują pogarszającej się sytuacji z założonymi rękoma. Mimo obserwowanej w kraju deflacji (w lipcu ceny spadły rok do roku o 0,3 proc.) po serii bardzo słabych danych gospodarczych w sierpniu Ludowy Bank Chin nieoczekiwanie obniżył roczną stopę procentową pożyczek dla banków aż o 15 punktów bazowych (czyli najmocniej od 2020 r.) do poziomu 2,5 proc., a siedmiodniową stopę reverse repo obniżył do 1,8 proc. Problem w tym, że chińscy urzędnicy próbowali już najróżniejszych sposobów, aby poprawić sytuację. Jak zauważa „Financial Times", Chińczycy w ostatnim czasie obniżyli stopy procentowe i raty kredytów hipotecznych, zmniejszyli podatki dla przedsiębiorców, przeprowadzali interwencję na rynku walutowym, a nawet wprowadzili niższe ceny za wejście do najważniejszych atrakcji turystycznych. I co? I nic.

Aby uniknąć protestów i napięć społecznych, władze Chin realizują więc jeszcze inną strategię: starają się zaklinać rzeczywistość i przekonywać społeczeństwo, że gospodarka rozwija się znakomicie i bez żadnych wartych uwagi problemów. Jeśli zaś jakieś dane przeczą tej oficjalnej tezie, to nie są publikowane. I chodzi nie tylko o wspomniane już dane dotyczące bezrobocia wśród Chińczyków w wieku od 16 do 24 lat. Według „Financial Times" chińskie władze zabroniły ekonomistom w kraju prowadzenia dyskusji na temat negatywnych skutków deflacji czy znacząco niższego od oficjalnie prognozowanego wzrostu gospodarczego. Założenie tej strategii wydaje się proste: jeśli Chińczycy uwierzą, że ich kraj znów wzorcowo się rozwija, to zaczną wydawać oszczędności. Zwiększona konsumpcja doprowadzi do prawdziwego wzrostu gospodarczego, a jeśli przyspieszenie będzie widoczne kilka kwartałów z rzędu, to nie będzie już trzeba niczego zakłamywać…

Niewykluczone jednak, że próba utrzymania dotychczasowego modelu gospodarczego zakończy się porażką, a Chiny będą musiały szukać zupełnie nowych rozwiązań.

BEZ NADZIEI NA SZYBKĄ POPRAWĘ

Taki scenariusz jest możliwy, tym bardziej że zaprezentowane w sierpniu dane z realnej gospodarki są jednak na tyle słabe, iż nawet seria stanowczych działań zarówno banku centralnego, jak i nowych pakietów stymulacyjnych, które najpewniej wprowadzi wkrótce rząd w Pekinie, nie daje nadziei na rychłą poprawę sytuacji.

eprasa.pl aa5c8ac814

„The Wall Street Journal" ostrzega, że trwające od wybuchu pandemii COVID-19 problemy gospodarcze Chin mogą wprowadzić gospodarkę tego kraju w stan długotrwałej stagnacji, podobnej do tej, z którą od czterech dekad boryka się Japonia (gospodarkę tego kraju również trapiły takie problemy jak deflacja czy pęknięcie bańki na rynku nieruchomości). Bankierzy z JPMorgan ostrzegli, że Chinom grozi „japonizacja" gospodarki, jeśli rządowi nie uda się ustabilizować sytuacji na rynku nieruchomości.

Powrót na ścieżkę szybkiego wzrostu gospodarczego będzie jednak niezwykle trudny. Władze w Pekinie borykają się bowiem nie tylko z narastającym długiem, problemami deweloperów oraz malejącym tempem wzrostu gospodarczego, lecz także z faktem, że Chinki – podobnie jak wiele Europejek i Azjatek – nie chcą rodzić dzieci. Kryzys demograficzny sprawia, że Chiny starzeją się w dramatycznie szybkim tempie. Już w roku 2019 12,6 proc. chińskiej populacji miało ponad 65 lat.

Zdaniem ekspertów negatywne czynniki sprawią, że wartość PKB Chin w ciągu najbliższych lat będzie rosła w tempie poniżej 4 proc. rocznie. To istotnie mniej, niż wynosi zakładany przez prezydenta Xi Jinpinga cel, zgodnie z którym gospodarka Chin powinna rozwijać się w tempie plus minus 5,5 proc.

Bardziej pesymistyczni analitycy prognozują nawet, że do końca dekady tempo wzrostu gospodarczego Państwa Środka spadnie do poziomu 2 proc. rocznie, co nie tylko opóźni, lecz także wręcz uniemożliwi realizację politycznego celu władz w Pekinie, czyli wyprzedzenie przez Chiny gospodarki Stanów Zjednoczonych.

GLOBALNE KONSEKWENCJE

„Gdy Ameryka kichnie, cały świat ma katar" – głosi stare powiedzenie, które nieraz w historii udowodniło swą prawdziwość, bo na największą gospodarkę świata wciąż zwrócone są oczy najważniejszych inwestorów.

Jednak problemy Chin – drugiej gospodarki świata – niechybnie również wpłyną na globalne interesy. Analitycy Międzynarodowego Funduszu Walutowego już kilka miesięcy temu ostrzegali, że 2023 r. będzie trudniejszy dla globalnej gospodarki niż rok 2022, właśnie ze względu na jednoczesne spowolnienie najważniejszych światowych gospodarek: Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej oraz Chin. „Pierwszy raz od 40 lat wzrost gospodarczy Chin w roku 2022 będzie taki sam lub powolniejszy niż wzrost globalny" – prognozowała w styczniu szefowa MFW, Kristalina Georgiewa, w wywiadzie dla amerykańskiej telewizji CBS.

Te pesymistyczne prognozy okazują się zaskakująco trafne. W raporcie opublikowanym pod koniec lipca obecnego roku eksperci Międzynarodowego Funduszu Walutowego zwrócili uwagę na płytsze niż oczekiwano ożywienie gospodarcze w Chinach po zniesieniu restrykcji wprowadzonych po wybuchu pandemii COVID-19. „W Chinach ożywienie gospodarcze po ponownym otwarciu gospodarki wykazuje oznaki osłabienia w związku z ciągłymi obawami dotyczącymi sektora nieruchomości, co niesie konsekwencje dla gospodarki światowej" – podkreślił w lipcowym raporcie główny ekonomista Pierre-Olivier Gourinchas, zwracając uwagę na kiepskie dane dotyczące inwestycji czy słabość rynku pracy.

Prezydent USA Joe Biden problemy chińskiej gospodarki nazwał „tykającą bombą zegarową"

W wyniku kiepskich danych z realnej gospodarki juan osłabił się ostatnio najmocniej od 14 lat, a notowania chińskich obligacji jasno wskazują, że inwestorzy obawiają się załamania gospodarczego i wolą zawczasu ulokować pieniądze w bezpiecznych instrumentach. Coraz więcej ekspertów ostrzega więc przed efektem domina. Spowolnienie Państwa Środka prowadzi do zwiększenia awersji do ryzyka, wzmacnia dolar i może zmniejszyć szanse na szybki rozwój gospodarek wschodzących.

Kłopoty Chin wpływają też na rynek surowców. Na światowych giełdach spadły m.in. ceny miedzi oraz ropy. Wolniejszy niż przewidywano wzrost PKB w Chinach doprowadził również do spadku popytu na gaz ziemny, umożliwiając reeksport błękitnego paliwa m.in. do krajów Starego Kontynentu.

Słabszy popyt w Chinach przekłada się na niższe przychody w różnych częściach świata. Skutki chińskiego spowolnienia widać również w raportach największych światowych przedsiębiorstw – od sektora produkcji maszyn budowlanych (inwestorów rozczarowały m.in. podane niedawno wyniki amerykańskiej firmy Caterpillar, która wprost zwraca uwagę, że jedną z przyczyn tak słabych rezultatów był spadek popytu w Państwie Środka) do przedsiębiorstw z branży chemicznej. Brytyjski gigant dóbr konsumpcyjnych Unilever oznajmił, że obserwowane problemy dotyczące chińskiego eksportu oraz rynku nieruchomości spowodowały, iż nastroje konsumentów w tym kraju osiągnęły najniższy poziom w historii (choć jeszcze na początku obecnego roku prognozowano chiński „boom konsumpcyjny"). Trzeba przy tym pamiętać, że znacząco mniejszy od zakładanego import do Państwa Środka mógłby doprowadzić do globalnej recesji.

Do ryzyka związanego z ewentualnym kryzysem w Chinach odniósł się też niedawno sam amerykański prezydent. Joe Biden nazwał problemy chińskiej gospodarki potencjalną „tykającą bombą zegarową" i zauważył, że „gdy źli ludzie mają kłopoty, mogą robić złe rzeczy". O co chodzi przywódcy Ameryki? Otóż dotychczas umowa społeczna w Chinach była jasna: władza zapewnia dobrobyt, a ludzie nie mieszają się do polityki. Jeśli wzrost gospodarczy trwale spadnie, to władze mogą starać się jak najszybciej znaleźć im zewnętrznego wroga.

Złe wiadomości z Państwa Środka są również ważne dla mieszkańców Europy, w tym Polski. Problemy Chin mogą bowiem jeszcze bardziej osłabić pozostającą w recesji niemiecką gospodarkę. Z nią zaś ściśle powiązana jest kondycja wielu polskich przedsiębiorstw. Według ekonomistów Banku Pekao chińskie spowolnienie może oznaczać również mniejsze tempo wzrostu gospodarczego nad Wisłą. Zdanieem bankierów wzrost PKB w Polsce wyniesie w całym roku zaledwie 0,4 proc. Dla Europy to kolejna – po pandemii COVID-19 i wojnie na Ukrainie – bardzo ważna lekcja dotycząca zależności od takich krajów jak Chiny czy Rosja.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy 10 mld zł to dużo?

Powtarzam tytułowe pytanie: Czy 10 mld zł to dużo? Albowiem właśnie mniej więcej o tyle więcej kosztować nas będą zsumowane odsetki od tej części długu publicznego, którą rząd zaciągnął, korzystając z „lewej" kasy, czyli z niekontrolowanych przez parlament pozabudżetowych funduszy, zamiast – tak jak to powinno zawsze przebiegać – skorzystać z „prawej" kasy, czyli po prostu z budżetu państwa, który podlega wszystkim należnym rygorom, włącznie z nadzorem Sejmu i Senatu. A w związku z tym „rynki" pożyczają mu pieniądze taniej niż „lewej" kasie – na lepszych (także dla podatników, którzy potem te długi muszą spłacać) warunkach.

Jak wiadomo, rząd w ciągu ostatnich lat rozdął pozabudżetowe wydatki państwa do niespotykanych granic – najpierw zasłaniając się tzw. pandemią COVID-19, a potem wojną na Ukrainie i inflacją. Wskutek tych machinacji wyprowadził do „lewej" kasy państwa – czyli do owych już aż kilkudziesięciu pozabudżetowych funduszy – już aż ponad 300 mld zł (!), które wzięły się głównie z kredytów, które te fundusze – emitując obligacje – pozaciągały, a które to kredyty teraz spłacać muszą – wykupując te obligacje – polscy podatnicy; tak jak w przypadku wszystkich budżetowych i pozabudżetowych długów państwa polskiego.

Tyle tylko, że spłata tych pozabudżetowych długów – z uwagi na to, że zaciągnięte zostały przez rząd na gorszych warunkach, czyli na wyższy procent, bo poza budżetem – kosztować będzie nas, podatników, więcej o wspomniane „ponad 10 mld zł do 2040 r., czyli do czasu, gdy będą zapadać te obligacje, które zostały wyemitowane poza normalnymi procedurami" – tak to ocenił na łamach „Gazety Wyborczej" prof. Ludwik Kotecki, ongiś główny ekonomista resortu finansów, a dziś członek Rady Polityki Pieniężnej, który z ekonomistami Sławomirem Dudkiem i Rafałem Beneckim opracował raport na temat zagrożeń związanych z nadmiernie rosnącym długiem publicznym.

A teraz wyobraźmy sobie, że to państwo pożyczają pieniądze dla siebie i mają państwo możliwość pożyczyć je taniej lub drożej. Kredyt jest tak samo bezpieczny, a różnica w jego cenie zależy tylko od tego, czy biorą państwo go bezpośrednio na siebie czy na założoną w tym celu firmę, za którą i tak odpowiadają państwo całym swoim majątkiem. Co by państwo wybrali z troski o stan własnej kasy? Ano właśnie – niższe odsetki, bo zależałoby państwu na tym, żeby mniej zapłacić za kredyt, mniej nań wydać i zostawić sobie te pieniądze na inne cele.

Dlaczego więc rząd tak nie postąpił? Ba, dlaczego postąpił odwrotnie? Bo mu nie zależy na nie swoich pieniądzach? Bo to są pieniądze nie jego, lecz nasze – podatników? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Fakty nieważne

Michał Kołodziejczak, nowy nabytek Donalda Tuska, oznajmił, że Kornel Morawiecki wkrótce przed śmiercią ostrzegał go przed swoim synem. Nie zamierzam stwierdzać, czy ta historia mogła się wydarzyć czy nie. Kornel Morawiecki był ekscentrykiem, także w polityce, ale rozważanie tej opowieści w kategoriach teoretycznych jest absurdem, bo mówimy przecież o domniemanym fakcie!

Nikt niczego nie stara się weryfikować. Jest jazgot, w którym fakty się nie liczą

Jak można było przewidzieć, przedstawiciele obozu rządzącego zapałali oburzeniem. Powoływanie się na jakąś wypowiedź zmarłego, której nie daje się zweryfikować, zawsze wygląda słabo, a w połączeniu z osobą pana Kołodziejczaka – bezgranicznie elastycznego koniunkturalisty – historia staje się skrajnie mało wiarygodna. Ciekawe, że lider AgroUnii przypomniał ją sobie i postanowił o niej opowiedzieć akurat wtedy, gdy pod swoje skrzydła przygarnęła go Koalicja Obywatelska.

Uderzające jest jednak co innego. Kołodziejczak twierdzi, że Morawiecki senior spotkał się z nim w ostatnim okresie życia i rozmawiali o polityce. Powiada, że takie spotkania były dwa i doszło do nich w warszawskim Szpitalu MSWiA. Przecież musiały one mieć swoją konkretną datę i miejsce. Szef AgroUnii tych danych nie podał, ale niepojęte jest, że nikt go o nie nie zapytał! Nie z polityków PiS oczywiście, ale spośród dziennikarzy. Ponadto dawny działacz Solidarności Walczącej Andrzej Kołodziej z niezachwianą pewnością siebie stwierdza, że takiego spotkania nie było. Czy był przy Kornelu Morawieckim 24 godziny na dobę podczas jego pobytu w szpitalu? Takiego pytania też nikt mu oczywiście nie zadaje.

Przy normalnie funkcjonującym życiu publicznym i medialnym wydawałoby się to oczywiste: polityk stwierdza, że było jakieś spotkanie, dziennikarze domagają się wskazania daty, następnie sprawdzają, czy miało ono miejsce. To z pewnością sprawdzić się da, szczególnie gdy spotkanie miało mieć miejsce w rządowym szpitalu. Oczywiście treści rozmowy już sprawdzić się nie da – chyba że byli świadkowie, ale to również można sprawdzić. Degeneracja naszego życia publicznego zaszła już jednak tak daleko, że nikt niczego nie stara się zweryfikować, a zamiast tego rozbrzmiewa jazgot, w który fakty kompletnie się nie liczą. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady ds. Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Ryszard Gromadzki

To byłby koniec polskiego rolnictwa

FOT. TOMASZ CZELL/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Jakie następstwa dla naszego rolnictwa i sytuacji politycznej w Polsce przed wyborami będzie miało zniesienie od 15 września unijnego zakazu importu ukraińskiego zboża do Polski?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Nie wyobrażam sobie, że raz jeszcze przeżyjemy to, czego przez półtora roku doświadczaliśmy z ukraińskim zbożem. To był ewidentny błąd, naprawiany teraz miliardami złotych z budżetu dla rolników. Chociaż w większości te pieniądze nie trafiły jeszcze na konta, to nie są zagrożone. Jednak czasami to wsparcie budzi wątpliwości, bo odbierane jest jak kiełbasa wyborcza. Chcę jeszcze raz uspokoić rolników – te pieniądze na pewno do nich trafią. Być może z opóźnieniem, bo Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa też „robi bokami", jeśli chodzi o wypłaty.

Jednak problem zboża to nie tylko wyrównanie strat poniesionych przez producentów zbóż. Mamy za sobą ogromne problemy rynkowe w związku z niekontrolowanym napływem ukraińskiego zboża do Polski. Gdyby teraz miały one się powtórzyć, w wypadku zamknięcia „korytarza czarnomorskiego" oznaczałoby to, że w zwielokrotnionej skali będzie to koniec polskiego rolnictwa. Wiele gospodarstw by upadło. Dlatego władze polskie nie mają żadnego wyjścia. Gdyby wyraziły zgodę na kolejny zalew Polski zbożem z Ukrainy czy importowanym, tak jak oczekują tego Ukraińcy, znowu z nieszczelnym tranzytem, oznaczałoby to wyrok śmierci na polskie rolnictwo. Trzeba być tego absolutnie świadomym. Do tego nie możemy dopuścić, nawet mając jak najlepsze intencje wobec Ukraińców i starając się im pomagać. Nie możemy zniszczyć polskiego rolnictwa.

Używamy obiegowo określenia „ukraińskie zboże", ale oddaje ono w mocno ograniczonym stopniu stosunki własności panujące w sektorze rolnym na Ukrainie. Zboże jest ukraińskie o tyle, o ile produkowane jest na Ukrainie, ale jego właścicielami są przede wszystkim międzynarodowe korporacje.

Dokładnie tak jest. Mówienie o tym, że eksport zboża z Ukrainy pomaga narodowi ukraińskiemu, jest absolutnym nadużyciem. To nabija kabzę międzynarodowym koncernom o mieszanym kapitale pochodzącym z całego świata, łącznie z rosyjskim. Politycy ukraińscy,

eprasa.pl aa5c8ac814

którzy zmienili retorykę wobec Polski i zaczynają stawiać wobec nas bardzo radykalne warunki, mówią bardziej w interesie międzynarodowych korporacji handlujących zbożem w skali globalnej. O ogromnych możliwościach lobbowania zarówno wobec polityków ukraińskich, jak i polityków oraz urzędników w Brukseli. Ukraińcy nie ukrywają, że zależy im na wejściu na rynek Unii Europejskiej.

Jakie znaczenie dla otwarcia Unii na żywność z Ukrainy ma realizowana przez Brukselę ideologiczna agenda zielonej transformacji? Czy nie jest tak, że jej promotorzy uznali, iż rolnictwo w krajach Unii jest przeszkodą dla realizacji utopii, którą forsują? Skoro Unia ma być zeroemisyjna, to musi zaprzestać produkcji żywności, a zacząć sprowadzać ją z krajów trzecich. Ukraina idealnie wpisuje się w ten scenariusz...

Chora polityka Unii Europejskiej, prymat ideologii ekologizmu nad zdrowym rozsądkiem grożą utratą bezpieczeństwa żywnościowego, które może zapewnić tylko własne rolnictwo. Kraje zależne od importu nie są bezpieczne żywnościowo. W długiej perspektywie nie ma innej drogi do zapewnienia bezpieczeństwa żywnościowego, jak tylko przez produkcję własną Unii Europejskiej, a Polski w szczególności. Tylko dobrze działające gospodarstwa rolne, z powtarzalną corocznie produkcją, wkomponowane w dobrze funkcjonujący rynek, w cały łańcuch żywnościowy, zapewniają bezpieczeństwo żywnościowe – żaden import.

Ideologia, która owładnęła obecnymi lewicowymi elitami Unii Europejskiej, zakłada, że wspólnota ograniczy własne rolnictwo, bo podobno szkodzi klimatowi, emituje gazy do atmosfery i generalnie jest problemem ekologicznym, co, nawiasem mówiąc, jest nieprawdą. Unijni decydenci przekonują, że dzięki temu będziemy mieli czyste ekologiczne sumienia, bo będziemy lepiej chronić zwierzęta i całą przyrodę. Jednocześnie będziemy sprowadzać żywność z krajów trzecich – mam na myśli umowy z czterema rolniczymi krajami układu MERCOSUR, z Argentyną, Brazylią, Paragwajem i Urugwajem, umowę z Nową Zelandią, przygotowywaną umowę z Australią, no i Ukrainę „za płotem", która w razie braku żywności na rynku unijnym, wynikającego z paradygmatu dominującej w Brukseli „religii ekologicznej", tę żywność dostarczy. To chora ideologia, która wpisuje się świetnie w interesy globalnych korporacji działających na Ukrainie, które eksploatują tam miliony hektarów i są szeroko powiązane z ukraińskim establishmentem. To się dzieje na naszych oczach.

A więc jesteśmy w strefie zgniotu. Z jednej strony pod presją żądnej nieskrępowanego dostępu do unijnego rynku żywności Ukrainy, napędzanej przez koncerny wykorzystujące jej czarnoziemy, z drugiej przez spętaną obłędnym ekologizmem Unię, która jest otwarta na zakusy Ukrainy. Czyli gra toczy się o absolutnie strategiczną stawkę. Bezpieczeństwo żywnościowe Polski, bez którego nie ma realnej suwerenności.

Użył pan trafnego określania. Rzeczywiście jesteśmy w strefie zgniotu. Nie możemy liczyć na Unię Europejską, która wyraźnie pokazuje, jaki kierunek polityki wobec rolnictwa przyjęła. Dziwi mnie zachowanie komisarza Wojciechowskiego. Wygląda na to, że albo myśli on podobnie, albo nie ma nic do powiedzenia. Trzeba mieć świadomość, że jeśli Unia ulegnie naciskom korporacji dominujących w ukraińskim sektorze rolnym, to uderzy to przede wszystkim w kraje rolnicze położone blisko Ukrainy, czyli w nas. Tym bardziej że polskie rolnictwo jest specyficzne, oparte na gospodarstwach rodzinnych.

Zna pan nastroje na wsi. Nie ukrywał pan krytycyzmu w stosunku do polityki PiS wobec rolników. A jednak przyjął pan propozycję prezesa Kaczyńskiego i będzie kandydował z listy PiS w wyborach. Co zdecydowało o pana decyzji?

Nie mam żadnej satysfakcji z tego, że właściwie co do joty spełniają się moje przewidywania. Może to wynika z pewnej wiedzy na temat rolnictwa. Jednak nie trzeba mieć zdolności profetycznych, żeby wiedzieć, jak na rynek nasycony zbożem krajowym oddziaływać będzie napływ zboża z Ukrainy. Analizuję sytuację i widzę w PiS jakieś próby naprawienia skutków tych złych decyzji. Niekiedy dość chaotyczne, ale jednak próby pomocy rolnikom są. Powtórzę to jeszcze raz, że powinny się koncentrować na wzmocnieniu pozycji ekonomicznej podmiotów zajmujących się rolnictwem, a nie na kolejnych dotacjach, ale jednak PiS myśli o wsi i chce jej pomagać. A jak patrzę na opozycję, to nie widzę tam żadnego pomysłu ani woli wsparcia rolników.

Na jaki efekt liczy Tusk, umieszczając szefa AgroUnii, Kołodziejczaka, na listach wyborczych Koalicji Obywatelskiej?

Kołodziejczak jest zabawką w rękach Tuska. Platforma nie ma żadnego pomysłu na polskie rolnictwo, a jednocześnie wpisuje się poprzez europejską partię, do której należy, w dominujący w Unii trend niszczenia europejskiego rolnictwa. Ta polityka powoduje, że rolnicy w całej Europie, nie tylko w Polsce, czują się zagrożeni i protestują. Nie spodziewam się po Platformie niczego, jeśli chodzi o propozycje dla polskiej wsi. To PO, wrabiając w to Kosiniaka-Kamysza, wydłużyła wiek emerytalny dla rolników, w tym dla kobiet, aż o 12 lat. To pokazuje ich sposób myślenia. Jest zatem pytanie: Co człowiek chcący uchodzić za lidera polskiej wsi robi w takiej partii? Powtórzę – Kołodziejczak jest zabawką w rękach Tuska.

Promotorem, a wręcz kreatorem kariery Michała Kołodziejczaka jest Artur Balazs, który wcześniej dążył do sojuszu AgroUnii z PSL w ramach Trzeciej Drogi, co finalnie nie wyszło. Balazs, polityk niewątpliwie doświadczony, który wie na pewno, co mówi i czyni, jednoznacznie przyznaje w wywiadach, że popiera politykę Unii Europejskiej kwestionowaną przez PiS. Logicznie zatem patrząc, popiera politykę antychłopską i antypolską w istocie. Mówił także, że jego celem jest odsunięcie PiS od władzy, dlatego cieszy się z sojuszu Tuska z Kołodziejczakiem. Michał Kołodziejczak zapewne wejdzie do Sejmu, ale proszę mi wierzyć – jeden poseł nic w Sejmie nie znaczy. Starałem się zrozumieć Kołodziejczaka. Nie byłem wobec niego jakoś przesadnie krytyczny. Jego wygłupy kładłem na karb młodzieńczej werwy czy temperamentu. Wiązałem z nim pewną dozę nadziei, że może to jakaś nowa reprezentacja młodych rolników, za którą poza krytyką wszystkich i wszystkiego pojawią się jakieś nowe pomysły. Niestety, okazał się jednym wielkim rozczarowaniem. Nie wiem, co jego koledzy z AgroUnii, którzy patrzyli w niego jak w obrazek, teraz o tym wszystkim sądzą. Pewnie jest jakaś wąska grupa przy Kołodziejczaku, która liczy na korzyści po wyborach, ale znając Tuska, który już wielu polityków oszukał i zniszczył, pewnie taki los czekać będzie i tych, którzy mu teraz uwierzyli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

Raków Częstochowa spadał już nawet do IV ligi. Teraz gra z najlepszymi nie tylko na polskim boisku

FOT. ZBIGNIEW MEISSNER/PAP

Zaprogramowany sukces

Łukasz Majchrzak

Chciałoby się, żeby takich historii w polskim futbolu było więcej. Raków Częstochowa wstał z kolan i teraz dobija się do bram Ligi Mistrzów

W Częstochowie, niedaleko Jasnej Góry, łatwiej o cud. To jednak nie jest ten przypadek. W Rakowie Częstochowa zwyciężyły rozsądna, planowa praca, spokój i biznesowe doświadczenie. Dzięki temu klub, który jeszcze kilka lat temu tułał się po niższych ligach, nie miał (i dalej nie ma) nowoczesnego stadionu i wielkiego miasta, które pomaga rozkręcić piłkarski biznes, jest dzisiaj na polskim futbolowym szczycie.

Może otworzyć nawet bramy piłkarskiego raju, czyli awansować do Ligi Mistrzów, jeśli tylko w rewanżu pokona FC Kopenhaga (w pierwszym meczu Raków pechowo, po samobójczym golu, przegrał 0:1). Nawet jeśli mistrzowie Polski tę rywalizację przegrają, to jesienią zagrają w Lidze Europy – rozgrywkach, w których też można się zmierzyć z potentatami i sporo zarobić, a polskie drużyny grają tam tylko od święta.

Jak to możliwe, że Raków tak szybko przeszedł od biedy do sukcesów, zostawiając w tyle o wiele bogatszych i bardziej znanych rywali: Lecha Poznań, Legię Warszawa, Śląsk Wrocław?

BEZ CHADZANIA NA SKRÓTY

Kilka miesięcy temu, kiedy drużyna prowadzona jeszcze przez Marka Papszuna zdobywała mistrzostwo Polski, z Ekstraklasy spadały Lechia Gdańsk z wielkim, pięknym stadionem i Wisła Płock, napędzana pieniędzmi Orlenu. Po raz kolejny potwierdziła się prawda, że pieniądze w futbolu szczęścia nie dają i nie ma takiej sumy, której nie można roztrwonić na słabych piłkarzy.

W Częstochowie działają inaczej. Nie ma tam drogi na skróty i budowania drużyny z podstarzałych gwiazd, które chcą jeszcze ostatni raz dobrze zarobić, a potem skończyć w spokoju karierę. Michał Świerczewski, tak jak budował potęgę swojej firmy X-kom, tak samo buduje Raków, a że ma doświadczenie biznesowe, ma świadomość tego, że nie da się pewnych rzeczy przyspieszyć, a czasami trzeba postawić na niestandardowe rozwiązania. I że najważniejsi są ludzie.

Ci, którzy śledzili w latach 90. polską piłkę, pamiętają, że Raków już grał na najwyższym poziomie. To były jednak inne czasy: rozpadających się stadionów i działaczy tkwiących mentalnie w ustroju słusznie minionym. Nawet od tamtego poziomu klub z Częstochowy odstawał i po czterech sezonach spadł do ówczesnej II ligi. Zamiast powrotu do najwyższej klasy rozgrywkowej były kolejne spadki i coraz gorsza sytuacja finansowa. Po jednym sezonie w III lidze klub spadł na czwarty poziom rozgrywkowy, tracąc aż 139 goli. Nic dziwnego, skoro w składzie grali młodzieżowcy.

Na to wszystko patrzył Świerczewski, wtedy student Politechniki Częstochowskiej i jednocześnie kibic Rakowa. Obiecał sobie, że kiedyś ukochany klub odbuduje. Do tego potrzeba pieniędzy, więc doskonale się złożyło, że najpierw odniósł sukces w biznesie. W 2002 r., jeszcze będąc na studiach, założył z kolegami niewielki sklep komputerowy. Rok później sprzedawał 300 komputerów stacjonarnych miesięcznie.

eprasa.pl aa5c8ac814

Kilka lat później X-kom wprowadził do oferty laptopy, wtedy jeszcze bardziej gadżet czy kaprys dla niektórych klientów. Kiedy przyszła era smartfonów, natychmiast także one pojawiły się w ofercie częstochowskiej firmy. Kto nie idzie do przodu, ten się cofa, więc też X-kom szukał nowych pól rozwoju. Pięć lat po rozpoczęciu działalności firma pojawiła się na platformie Allegro. Przychody rosły skokowo. W 2010 r. było to 150 mln zł, a w 2021 r. 2,5 mld zł, przy tym ok. 100 mln zł zysku netto. W tym czasie Świerczewski zdążył rozwinąć jeszcze sklep z zabawkami Al.to i Combat (artykuły militarne).

Robił to wszystko, jednocześnie angażując się coraz mocniej w Raków, od 2010 r. jako sponsor, a od 30 grudnia 2014 r. jako jedyny właściciel. Dziś kibice mogą przyznać, że nic lepszego nie mogło klubu spotkać, może z wyjątkiem zatrudnienia trenera Marka Papszuna, ale to też była decyzja Świerczewskiego.

W wywiadzie dla serwisu Weszlo.com sprzed kilku miesięcy prezes Rakowa powtarzał, że najważniejsi w tym biznesie są ludzie, bo jeśli wybierze się tych nieodpowiednich, to nawet największe pieniądze uda się zmarnować. Zaczął więc od znalezienia odpowiedniego trenera i tutaj też poszedł pod prąd. Nie szukał szkoleniowca z nazwiskiem i doświadczeniem. Chciał kogoś zdeterminowanego, kto będzie rozwijał się razem z klubem, jest głodny sukcesu i będzie pracował na to, by go osiągnąć.

WUEFISTA NA TRENERA

Postawił na Papszuna, który wtedy pracował w podwarszawskich klubach i jednocześnie łączył to z pracą nauczyciela wychowania fizycznego i historii w ząbkowskim gimnazjum. Miał opinię wymagającego nauczyciela, był przyzwyczajony do ciężkiej pracy i jednocześnie jest pasjonatem futbolu i właśnie ktoś taki idealnie pasował do klubu, w którym wszystko trzeba było poprawić. O procesie rekrutacji krążą legendy, o tym, że panowie spotkali się trzy razy i rozmawiali po kilka godzin, o tym, że towarzyszył im psycholog, albo że Michał Świerczewski bez zapowiedzi wybrał się na mecz Świtu Nowy Dwór Mazowiecki, gdzie Papszun wtedy pracował. Akurat Świt przegrał 0:3, więc była okazja sprawdzić, jak trener zachowa się po porażce.

Piłkarze, którzy nie chcieli podporządkować się reżimowi ciężkiej pracy, byli bez sentymentu żegnani

W polskim futbolu tak staranne wybieranie trenera nie jest powszechne i może dziwić. Zdarza się, że szkoleniowcy są zatrudniani z łapanki, w ostatniej chwili, byle tylko dać nowy impuls drużynie, która przegrywa mecz za meczem. Na dłuższą metę tak się nie da odnieść sukcesu, bo wizja trenera i jego sposób pracy muszą pracować do filozofii i planu rozwoju całej organizacji. Od wyników osiąganych przez pierwszą drużynę zależy często przyszłość klubu (umowy sponsorskie, spadek z ligi lub awans, przychody z biletów), a co za tym idzie – także innych pracowników, którzy mają na utrzymaniu rodziny, a nie zarabiają tak dużo jak piłkarze.

Szkoleniowców trzeba wybierać starannie i dobrze, że Raków wprowadza nowe standardy w polskim futbolu. Nawet kiedy Papszun odchodził (z własnej woli, po wygraniu ligi), właściciel Rakowa nie dał się skusić żadnym podpowiedziom o zatrudnieniu trenera z głośnym nazwiskiem, a najlepiej obcokrajowca. Szukał długo, zrobił rozeznanie na rynku, a koniec końców postawił na człowieka, który od dawna był w klubie, czyli 32-letniego Dawida Szwargę. To on doprowadził drużynę do przedpokoju Ligi Mistrzów.

Postawienie na tak młodego człowieka mogło się wydawać pokerową zagrywką, ale znów było przemyślanym ruchem. Właściciel i trener się znali, Szwarga pomagał przy transferach, opracowywał z Papszunem taktykę, świetnie mówi po angielsku. O zaskoczeniu i okresie przejściowym nie mogło być mowy.

Z POWAGĄ DO OBOWIĄZKÓW

W piłce nożnej liczą się teraz szczegóły, na pierwszy rzut oka nieistotne, ale takie, które tworzą kulturę wygrywania i profesjonalizmu. I o to dbał Papszun, który dostał w Rakowie dużą władzę. Piłkarze wspominają, że gdy kiedyś wczesnym rankiem jechali na sparing z Wisłą do Krakowa, nowy kierowca autokaru chciał wypić kawę na stacji benzynowej, ale szybko został zawrócony przez trenera, który stwierdził, że „to nie jest wyjazd turystyczny". Do obowiązków trzeba podchodzić poważnie, i to na każdym szczeblu.

Tak samo byli traktowani piłkarze. Jeśli nie chcieli lub nie umieli podporządkować się reżimowi ciężkiej pracy albo byli za słabi na granie na wyższym poziomie, to byli bez sentymentu żegnani. Nikt nie może być większy niż klub i drużyna. W kilka lat takie podejście zaprowadziło Raków z II ligi (trzeci poziom rozgrywkowy) do mistrzostwa Polski i dwóch Pucharów Polski.

Nie znaczy to, że w Rakowie wszystko działa idealnie. Drużyna ciągle nie ma nowoczesnego stadionu, a mecz ostatniej rundy kwalifikacji do Ligi Mistrzów rozgrywała w Sosnowcu. Można powiedzieć, że teraz, po remontach, i tak jest lepiej, niż było, bo jeszcze kilka lat temu Raków mecze „domowe" w Ekstraklasie rozgrywał w Bełchatowie. To dla trenerów, piłkarzy i kibiców było wyzwanie, bo dojazdy do oddalonego o ok. 80 km miasta zabierały sporo czasu, którego i tak nie było za wiele.

Bez pomocy samorządu pewnie się nie uda zbudować nowego obiektu (nawet stadiony tak bogatych klubów jak Legia czy Lech powstawały za miejskie pieniądze). Na razie po zdobyciu mistrzostwa Polski pomoc zadeklarował premier Mateusz Morawiecki – rząd ma przeznaczyć na rozbudowę starego obiektu przy ul. Limanowskiego ok. 40 mln zł. Docelowo klub chciałby się jednak przenieść bliżej centrum miasta, bo tak byłoby lepiej z biznesowego punktu widzenia, a stary stadion miałby się stać centrum treningowym. Wtedy też łatwiej byłoby szkolić młodych piłkarzy i wprowadzać do drużyny wychowanków, bo na razie w Rakowie są na ogół żołnierze zaciężni.

To zapewne zostało ujęte w kolejnym kilkuletnim planie rozwoju klubu, opracowanym przez właściciela firmy X-kom. Można śmiało zakładać, że za kilka lat Raków zagra na nowoczesnym obiekcie. I do tego też wcale nie trzeba cudu, wystarczy ciężka praca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

Portowe miasto Hội An to jedno z najczęściej odwiedzanych miejsc w Indochinach FOT. ADOBE STOCK

Znachor

Radosław Wojtas

Zwano go Znachorem, choć nie ratował ludzi od chorób, tylko zabytki przed popadnięciem w ruinę. W dalekim Wietnamie zamieszkał w szałasie, wzbudzał zaaferowanie, ostatecznie zdobył uznanie. Kazimierz Kwiatkowski – człowiek, dzięki któremu Wietnamczycy zawdzięczają ocalenie wielu reliktów przeszłości

Położone w środkowym Wietnamie miasto Hội An to jedno z najczęściej odwiedzanych miejsc w Indochinach. Miasto wpisane do rejestru światowego dziedzictwa UNESCO to także – jak podaje choćby przewodnik Lonely Planet – jedno z najbardziej urokliwych i przyjaznych turystom miejsc w regionie. Od zarania dziejów miasteczko portowe. Pierwszą przystań założyli tu żeglarze austronezyjscy prawdopodobnie już pod koniec I tysiąclecia p.n.e. W XVI w. Hội An było jednym z najważniejszych portów na Morzu Południowochińskim.

W tym miejscu mijali się, zostawali na dłużej lub zupełnie na stałe kupcy i żeglarze z Chin, Japonii, a później też z Europy. To oni je kształtowali, zostawiając po sobie wiele cennych zabytków. Jednym z nich jest zbudowany pod koniec XVI w. tzw. most Japoński – jedyny na świecie kryty most ze świątynią buddyjską. To im Hội An Phố – „miasto bezpiecznego lądowania” – zawdzięcza swój unikatowy układ. Jednak już zachowanie tej unikatowości do dziś jest w dużej mierze zasługą przybysza z Polski. I o nim jest ta – ostatnia już w naszym wakacyjnym cyklu – opowieść.

KAZIK Z SZAŁASU

Błądząc po ulicach i uliczkach Hội An, nie sposób nie trafić prędzej czy później na ulicę Trần Phú, bo to jeden z głównych traktów tego miasta. Przechodząc obok numeru 138, uwagę przyciąga wykonany z piaskowca, wysoki – licząc z postumentem – na 2,5 m pomnik z popiersiem brodatego mężczyzny z bujną, zaczesaną na bok fryzurą. Monument ten ustawiono na skwerze noszącym nazwę park Kazika, czyli po wietnamsko-polsku Công viên Kazik – i tak też miejsce to zlokalizujemy najszybciej w mapach Google. Obecność tego egzotycznie wyglądającego mężczyzny w przestrzeni publicznej wietnamskiej perełki UNESCO tłumaczą dwie tabliczki wypisane w językach miejscowym i angielskim. Na pierwszej z nich umieszczono imię i nazwisko Polaka oraz lata jego ziemskiej wędrówki: 1944–1997. Na drugiej inskrypcję: „Partia, władze i ludność Hội An wznieśli ten pomnik, aby dać wyraz swej wdzięczności i uczcić bliskiego przyjaciela Hội An – Kazika”.

Zaiste, Kazik dał miejscowym powody do wdzięczności. Ten polski architekt i konserwator zabytków pracował w Wietnamie przez lata, przyczyniając się do odbudowy wielu zabytków, a także ich ocalenia przed planami wyburzenia. Nie przyjechał bezpośrednio do Hội An, trafił do tego miasteczka nieco przypadkiem, ale to właśnie tej portowej osadzie poświęcił wiele trudu, ratując ją przed dewastacją. To dlatego – jako jeden z niewielu obcokrajowców – Polak ma w Wietnamie swój pomnik.

Kazimierz Kwiatkowski przybył do Wietnamu na początku lat 80. XX w. Zniszczony wojną i rządzony przez komunistów kraj nie był w stanie sam dostatecznie zatroszczyć się o własne zabytki. Kiedy zapadła decyzja o odrestaurowaniu bezcennego kompleksu świątynnego Mỹ Sơn, pozostałości po sanktuarium religijnym Czamów z IV–XV w. n.e., na apel UNESCO odpowiedzieli Polacy, a dokładnie – lubelski

eprasa.pl aa5c8ac814

oddział Przedsiębiorstwa Państwowego Pracownie Konserwacji Zabytków. Polacy mieli bogate, niestety, doświadczenia w zajmowaniu się zrujnowanymi podczas wojny zabytkami, nasi konserwatorzy byli więc wówczas cenionymi fachowcami. I tak w 1980 r. powstała Polsko-Wietnamska Misja Konserwacji Zabytków, na czele której stanął zdolny architekt oraz konserwator zabytków, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej – Kazimierz Kwiatkowski.

Zadanie nie było łatwe, praca ciężka, a warunki spartańskie. Zacząć musiał od sporządzenia dokumentacji oraz… rozminowania terenów świątynnych. Przy tych pracach zginęło dziewięć osób, a kolejnych 11 zostało rannych. Doskwierał brak podstawowej infrastruktury, kierownik zagranicznej misji ratowania bezcennych zabytków musiał zamieszkać w bambusowym szałasie. A jako że teren świątynny otoczony był lasem, wśród miejscowych Kwiatkowski szybko zyskał sławę jako „człowiek z dżungli". Kilka lat później zwano go już pieszczotliwie Kazikiem lub Znachorem. Ten ostatni przydomek przylgnął do niego za sprawą filmu z 1981 r. w reżyserii Jerzego Hoffmana na podstawie powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, który pokazywany był w Wietnamie niedługo po polskiej premierze. Tak się złożyło, że wcielający się w prof. Rafała Wilczura Jerzy Bińczycki był wysoce podobny do Kazimierza Kwiatkowskiego.

Terapie Znachora uratowały kilkadziesiąt czamskich wież. W liczącym 70 hinduskich świątyń kompleksie zespół Polaka prowadził nie tylko konserwacje i renowacje, lecz także prace badawcze, które pozwoliły zgłębić m.in. techniki budowlane Czamów, co ułatwiało ratowanie obiektów. Nie tylko w tej lokalizacji, bo Kwiatkowski pracował także w innych miejscach.

PLAN ZBANKRUTOWAŁ

Do Hội An Znachor trafić miał przypadkiem. Zajechał tam w drodze na wakacyjny wypoczynek nad morzem. Wprawne oko konserwatora od razu zauważyło, że znalazł się w nieprzeciętnym miejscu, w którym przenikały się różne kultury, w którym zachowały się – choć najczęściej będące w opłakanym stanie – liczne zabytki i unikatowy układ urbanistyczny. Świadek pierwszej wizyty Kazika w portowym mieście, Nguyễn Đức Minh, tak opisywał ten dzień: „Na początku to my byliśmy jego przewodnikami, ale już po godzinie Kazik stał się naszym przewodnikiem. Gdy zobaczył jakiś starożytny budynek, od razu wchodził i zapisywał, rysował główne części budynku, wypytywał o wszystko domowników. Potem dopiero zauważyłem, że domy, które Kazik odwiedził, miały dużą wartość historyczno-kulturową. Zwiedzanie uliczek Hội An było poza planem wizyty, dlatego plan odpoczynku i popływania w morzu, jak określił to Kazik, zbankrutował".

Dzięki temu bankructwu wydarzyło się inne, dużo istotniejsze. To za sprawą zaangażowania Kazimierza Kwiatkowskiego zbankrutował plan lokalnych władz, które w latach 90. XX w. w sposób brutalny i nieodwracalny zamierzały pozbyć się problemu, którym były dla nich zniszczone zabytki historycznego centrum. Wietnamczycy planowali je wyburzyć, by w ich miejscu dumnie piętrzyły się bloki mieszkalne. Polak tak skutecznie i usilnie przekonywał Wietnamczyków, że nie tylko odstąpiono od planu wyburzenia, lecz także podjęto się rewitalizacji starego miasta. Kierował nią oczywiście nie kto inny, jak Znachor.

Kompleks świątynny Mỹ Sơn
FOT. ADOBE STOCK

Z lewej: Jerzy Bińczycki w filmie „Znachor", z prawej: Kazimierz Kwiatkowski FOT. J. LETKIER/FN, WIKIPEDIA

Pomnik Kazimierza Kwiatkowskiego
FOT. IRDYB/WIKIPEDIA BY CC 3.0

Dziś miasto Hội An i pobliski kompleks świątynny Mỹ Sơn odwiedza rocznie kilka milionów turystów. Oba te miejsca dzięki Polakowi trafiły na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Także dzięki niemu na liście tej znalazło się Zakazane Miasto w Huế, gdzie Kazik również prowadził prace.

POWRÓT DO LUBLINA

Kazimierz Kwiatkowski został w Wietnamie do końca życia. Zmarł 19 marca 1997 r. w Huế. Mówi się, że do zawału serca, który doprowadził do śmierci 52-latka, przyczyniło się przepracowanie. Pożegnano go z największymi honorami. W Zakazanym Mieście wystawiono sarkofag z jego ciałem. Były przemowy oficjeli i muzyka żałobna grana na żywo przez orkiestrę ubraną w narodowe stroje. Ciało Polaka opuszczało miasto w asyście policjantów na motocyklach. „Huế pożegnało Kazimierza Kwiatkowskiego jak jednego z najgodniejszych obywateli tego królewskiego miasta" – wspominał jeden z pracujących z nim Polaków.

Pochowano go w Polsce 2 kwietnia 1997 r. na cmentarzu parafialnym przy kościele św. Agnieszki w Lublinie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl aa5c8ac814

FOT. JACEK PRZYBYLSKI

JEEP RENEGADE 4XE PLUG-IN HYBRID

Mała terenówka z hybrydowym napędem w kolorze „zielone bikini"? To signum temporis! Renegade Trailhawk 4xe to bowiem reprezentant bardzo modnej grupy crossoverów, do tego ma dwa silniki (benzynowy o pojemności 1,3 l napędza przednią, a elektryczny tylną oś), pozwala podjeżdżać pod bardzo wysokie krawężniki, w wersji Trailhawk można nim nieco poszaleć poza miastem, a modny kolor nadwozia w połączeniu z czarnym dachem i dedykowanym wzorem na masce umożliwia młodym klientom marki pokazanie swej „awanturniczej duszy" także na ulicach wielkich metropolii.

Jeep Renegade w wersji plug-in oficjalnie pozwala przejechać na prądzie 50 km. W praktyce auto może poruszać się w trybie elektrycznym, np. w korkach, na parkingu lub na stosunkowo krótkim odcinku po wyjeździe z garażu (zasięg do 40 km jest nawet realny). Oba silniki bez żadnych kłopotów współpracują z automatyczną sześciobiegową skrzynią biegów. W sumie do dyspozycji kierowcy jest 240 KM. Przyspieszenie od zera do setki wynosi 7,1 s. Średnie spalanie w mieście lub na autostradzie to ok. 8,2l/100 km, ale w spokojnie pokonywanej trasie można je obniżyć do okolic 6 l/100 km.

Co najważniejsze dla miłośników marki, Renegade ma odpowiednie do jazdy w terenie blokady oraz system zarządzania trakcją Selec-terrain, w którym do wyboru jest pięć trybów pracy: auto, śnieg, piasek, błoto oraz – tylko w wersji Trailhawk – skały. Jest też system Hill Descent Control, który ułatwia bezpieczne pokonywanie wzniesień w warunkach niskiej przyczepności i dużego nachylenia terenu. Wersja Trailhawk ma też dodatkowe osłony podwozia, wygodny zaczep holowniczy oraz 17-calowe koła. W naszym teście w mocno błotnistym terenie auto poradziło sobie zaskakująco dobrze.

Niestety, na dodatkowy napęd i akumulator potrzebne było miejsce. Producent zmniejszył więc zbiornik paliwa (do zaledwie 36,5 l), co sprawia, że całkowity zasięg Renegade'a w wersji dla nie do końca zdecydowanych ekologów jest stosunkowo niewielki. W przestronnej kabinie wygodnie mogą podróżować cztery dorosłe osoby. Dzięki hybrydowemu napędowi podróżować można cicho i przyjemnie. Bagażnik ma tylko 330 l pojemności (którą można maksymalnie powiększyć do 1277 l). Kokpit przypomina o tym, że wnętrzu przydałby się lifting – zarówno pod względem wyglądu, jak i użytych do wykończenia plastików.

Cena testowanego modelu zaczyna się od 187,6 tys. zł w wersji Limited. W najlepiej nadającej się do jazdy terenowej wersji Trailhawk cena minimalna wynosi 209,6 tys. zł. Za „Zielone Bikini" trzeba dopłacić 2,9 tys. zł, choć ja osobiście wolałbym Colorado Red bez dopłaty, a zaoszczędzone 3 tys. przeznaczyć na pakiet zimowy lub pakiet „widoczność light" z systemem automatycznego sterowania światłami drogowymi.

ECOVACS DEEBOT T20 OMNI

Bardzo wysoka skuteczność zarówno odkurzania, jak i mopowania, nowoczesne wzornictwo, intuicyjna obsługa oraz możliwość nie tylko automatycznego opróżniania pojemnika na kurz, lecz także mycia nakładek mopujących w podgrzanej wodzie – to największe zalety robota odkurzającego chińskiego producenta.

Największym plusem Deebota T20 Omni jest dokładność, z jaką sprząta podłogi. Zarówno skutecznie czyści płytki, winyle etc. (dwa krążki mopujące obracają się z prędkością 160 razy na minutę, do sprzątania wykorzystując wodę podgrzaną do ok. 55 st. C), jak i odkurza dywany (moc ssania wynosi 6000 Pa, a podczas sprzątania robot automatycznie podnosi nakładki mopujące, aby nie zmoczyć dywanu). Co ważne, w czasie pracy testowany model regularnie wraca do stacji dokującej, która została wyposażona zarówno w worek na śmieci z odkurzacza (o pojemności 3 l), jak i w dwa zbiorniki z wodą (na czystą oraz brudną) o pojemności 4 l każdy. Po zakończeniu sprzątania suche śmieci są więc automatycznie wysysane ze zbiornika robota, woda wymieniana jest na świeżą, a nakładki mopujące są myte i suszone.

Na pochwałę zasługuje także system unikania przeszkód TrueDetect 3D 3.0 – robot całkiem nieźle radzi sobie z omijaniem przeszkód i większości kabli. Kolejną zaletą testowanego modelu jest również wydajna bateria o pojemności 5200 mAh, dzięki której na jednym ładowaniu robot potrafi posprzątać spory kawałek domu. Obsługa jest bajecznie prosta i intuicyjna. Wystarczy połączyć robota z wi-fi i aplikacją na smartfonie. Można wówczas wybierać dokładność sprzątania, a także zdecydować np., czy robot ma tylko odkurzać, tylko mopować czy robić wszystko jednocześnie. Można też wybierać na mapie domu obszar do posprzątania itp.

Wady? Wielkość stacji dokującej, która choć jest dzięki temu bardzo funkcjonalna, zabiera w domu sporo miejsca i może nie zmieścić się pod meblami projektowanymi pod wcześniejsze stacje dokujące któregoś z konkurencyjnych robotów odkurzających. Druga wada: dość głośne opróżnianie worka i mycie oraz suszenie nakładek mopujących, ale na szczęście to krótkotrwałe uciążliwości. Trzeci minus? Jak na urządzenie autonomiczne ten model nieco zbyt często zawraca głowę użytkownikowi różnego rodzaju komunikatami.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Mimo tych minusów Deebot T20 Omni z pewnością jest wart polecenia tym osobom, które mają na niego miejsce i które mają do wydania na robota 4999 zł, bo tyle kosztuje testowane urządzenie.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl aa5c8ac814

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wisłoujście, szwedzka zemsta

JACEK KOMUDA

Zwycięska bitwa pod Oliwą stoczona 27 listopada 1627 r. z flotą szwedzką weszła do kanonu tradycji żeglarskich, szant, popkultury i literatury. Mało kto wie jednak, że wywołała wielki gniew króla Gustawa Adolfa. Zniewagę należało pomścić. Okazja zaś nadarzyła się latem 1628 r., kiedy władca postanowił zniszczyć flotę polską niespodziewanym atakiem na okręty zakotwiczone pod twierdzą Latarnia w Wisłoujściu.

19 kwietnia 1628 r. flota szwedzka podjęła na nowo blokadę Gdańska, wysyłając na wody zatoki 10 potężnych galeonów wojennych. Polska nie miała z nimi szans, w dodatku nie wszystkie okręty były gotowe do akcji, brakowało też marynarzy. W takiej sytuacji Królewska Komisja Okrętowa zdecydowała o jej przebazowaniu na Wisłę, pod ochronę twierdzy Latarnia, gdzie okręty mogły zostać wyposażone i przygotowane do boju. Flota zakotwiczyła na południe od twierdzy, mniej więcej wzdłuż ulicy Roberta de Plelo. Dziś Martwa Wisła jest tutaj uregulowana, choć sam teren ciągle dziki. W XVII w. rzeka ograniczona była wałami przeciwpowodziowymi, rozlewała się szerzej, tworząc liczne mielizny.

RYS. MART

Doszło zatem do sytuacji, w której flota polska nie mogła otwarcie zaatakować silniejszej szwedzkiej, ale z drugiej strony mogła, wykorzystując osłabienie przeciwnika – jak w poprzednim roku – dokonać niespodziewanego wypadu. Dlatego Gustaw Adolf, który wraz ze świeżym wojskiem przybył do Piławy, postanowił zaatakować ją od strony lądu – wykorzystując artylerię osłanianą przez piechotę, w tym – jak podaje

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Eugeniusz Koczorowski – „skórzaki", czyli lekkie działka piechoty wzmocnione dodatkowo skórami. Wojsko przemaszerowało przez dzisiejszą dzielnicę Stogi i 6 lipca 1628 r. po godz. 3 zaatakowało stojące na Martwej Wiśle okręty, rozstawiając działa pomiędzy Latarnią a obecnym Nabrzeżem Węglowym. Jako jedni z pierwszych spostrzegli Szwedów marynarze wachtowi na największym polskim galeonie – „Rycerzu św. Jerzym". Obudzony kapitan Hieronim Teschke nakazał otworzyć ogień do piechoty, nie zdając sobie sprawy, że Szwedzi podciągnęli pod wał przeciwpowodziowy artylerię. Znajdujący się na okręcie komisarze królewscy wydali rozkaz podniesienia kotwic i przemieszczenia floty w górę Wisły, bliżej twierdzy. Niestety, w trakcie tego manewru galeon wszedł na mieliznę, stając się łatwym celem dla wrogiej artylerii. „Święty Jerzy" podjął nierówną walkę – jak podawali potem marynarze – wystrzelił przynajmniej 350 kartaczy, podczas gdy Szwedzi strzelali kulami zapalającymi i nożycowymi – niszczącymi olinowanie i żagle. W czasie walki zginęli trafiony z muszkietu w pierś kpt. Teschke, konstabl Paweł Kudnik i starszy bosman Joachim Borchard. Na koniec galeon został trafiony w komorę linową i zaczął się palić – być może dzieła zniszczenia dokonała także szwedzka łódź, której załoga wrzuciła na pokład podpalone wieńce smołowe. Wkrótce ogień dotarł do komory prochowej i okręt wyleciał w powietrze. Co gorsza, fala uderzeniowa zepchnęła inną jednostkę – fluitę „Feniks" – tak iż przechylona osiadła na wale przeciwpowodziowym. Na pokładzie zaczęły się pożary, uciekła załoga, która jednak na szczęście wróciła, kiedy kpt. Moylekens zaczął bez litości płazować marynarzy. „Feniks" został ostatecznie uratowany.

W tym samym czasie dopełnił się los innego okrętu – starej pinki „Żółty Lew" , która trafiona pociskami zapalającymi wyleciała w powietrze. Zginęło siedmiu marynarzy, kapitan, a pozostali ratowali się ucieczką na zachodni brzeg Martwej Wisły. Śmierć poniósł także dowodzący flotą adm. Jerzy Fentross, który zmuszony był wydawać rozkazy z łodzi kursującej pomiędzy jednostkami. Trafiony w ramię i w pierś wyzionął ducha. Widząc, co się dzieje, kapitanowie okrętów nie decydowali się na wycofanie pod Latarnię, lecz skierowali się w górę rzeki – w rejon Polskiego Haka, czyli terenu przy ujściu Motławy do Martwej Wisły, i tu bezpiecznie zakotwiczyły.

Czy bitwa była klęską? Bezsprzecznie zniszczenie 200-łasztowego galeonu „Rycerz św. Jerzy" i najstarszej z pinek było bolesnym ciosem, ale nie oznaczało pogromu floty króla Zygmunta III. Gustaw Adolf jednak cieszył się z zemsty, chociaż piechota szwedzka poniosła duże straty podczas walki pod Latarnią. Przynajmniej do czasu, kiedy miesiąc później, zaraz po wyjściu z portu, w widowiskowy sposób zatonął jego ogromny, flagowy galeon „Vasa", który dziś podziwiać można w muzeum w Sztokholmie. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Cebularz lubelski

W samym środku lata Zamość jest miastem, które obowiązkowo należy odwiedzić. Odbywają się tutaj liczne festiwale kulturalne, ale oprócz atrakcji dla ducha możemy również rozkoszować się turystyką pieszą czy rowerową. Możemy odpocząć na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim.

Wszystko, co najlepsze dla podniebienia, znajdziemy w kuchni Lubelszczyzny. Bogatej i pełnej różnorodnego smaku, która nabierała obecnego kształtu na przestrzeni wieków, będąc centrum spotkań wielu kultur i szlaków handlowych. Według statystyk na listach specjałów znajdziemy ponad 120 bardzo ciekawych pozycji. Kuchnia wschodniej Polski charakteryzuje się bogactwem smaków, ze względu na wpływy przede wszystkim kultur staropolskiej, żydowskiej, tatarskiej i ukraińskiej. Przepisy na te tradycyjne potrawy przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Oprócz powszechnie nam znanych, bo chyba na każdej sklepowej półce znajdziemy flaki po zamojsku, pierogi lubelskie z kaszą gryczaną czy słynne cebularze. Te powszechne tutaj od XIX w. drożdżowe placki z cebulą, obficie posypane makiem, są tak popularne jak góralskie oscypki, a na ich cześć powstało Regionalne Muzeum Cebularza. Muszą mieć odpowiednie rozmiary od 15–20 cm i grubość 1,5 cm.

Cebularze znamy od zawsze. Nasza mama piekła je zazwyczaj w piątkowe wieczory, tak aby można było zajadać się nimi przez weekend. Oczywiście wystarczało ich jedynie do soboty, kiedy to znowu piekło się kolejną partię. Nam szczególnie przypadły do gustu izbickie golasy. To wyjątkowe w smaku placuszki z tłuczonych ziemniaków z dodatkiem sera, jajek i przypraw, owinięte w liście chrzanu i pieczone w piecu.

Korzenie kuchni żydowskiej w tym rejonie mają silne wpływy, co odzwierciedla się tym, że do wielu potraw dodaje się dużą ilość cebuli i czosnku oraz charakterystycznych przypraw. Największym jednak zaskoczeniem kulinarnym okazała się pieczona kaczka faszerowana… kaczką. Robi się to tak: piecze się dwie kaczki, po czym mięso z jednej kaczki sieka się z rodzynkami, orzechami włoskimi i śliwkami suszonymi oraz faszeruje drugą kaczkę. Podaje się z tłuczonymi ziemniakami lub kaszą gryczaną, do tego koniecznie sos z konfitury malinowej. Smak wyśmienity.

Pierogi po lubelsku

Ciasto:

• 400 g mąki pszennej luksusowej • 1 jajko • ¾ szklanki wrzątku • sól • 2 łyżki oleju

Farsz:

• 2 szklanki kaszy gryczanej ugotowanej na sypko • 30 dag twarogu tłustego • 1 cebula • 15 dag boczku wędzonego • sól, pieprz, czerwona papryka w proszku do smaku • 2 duże łyżki słodkiej śmietanki

Boczek kroimy w drobną kostkę, podsmażamy, dodajemy posiekaną cebulkę. Szklimy, uważając, żeby nie przypalić. Wszystko dodajemy do twarogu i następnie do kaszy, doprawiamy. Składniki na ciasto wyrabiamy, zarabiamy w kulę, odstawiamy na 15 min, przykrywamy talerzykiem. Rozwałkowujemy na cienki placek, wykrawamy szklanką koła, faszerujemy nadzieniem, zlepiamy po bokach. Gotujemy w osolonej wodzie do wypłynięcia. Podajmy z kwaśną śmietaną. Dla podbicia smaku warto do śmietany dodać sól i paprykę słodką w proszku. Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Tani domek na wsi

Państwo C. od dawna marzyli o własnym, domku na wsi.

W weekendy jeździli do znajomych, którzy mieli chatę na Kurpiach. Grzyby, jagody, kominek. Ale dzieci podrosły, chciałoby się mieć coś własnego. Jak na złość w wiosce znajomych ani w okolicy nie było niczego na sprzedaż.

Pewnego dnia zadzwonili znajomi. – Jest do sprzedania uroczy domek z kawałkiem ziemi. Właściciel umarł, a spadkobiercy chcą szybko go sprzedać. Przyjedźcie szybko!

Pojechali, zobaczyli. Chatka niewielka, niezbyt ładna, bezstylowy bury budyneczek z początku lat 60. W środku dwa małe, niskie pokoiki, kuchnia z piecem węglowym i sionka. Kanalizacji brak, woda w studni. Stryszek z potencjałem na przeróbkę. Dach kryty dachówką, więc odpada problem eternitu. Ale za to otoczenie i widok! Domek wśród bzów, duży kasztan, lipa, dwa klony. Za płotem łąka. Do lasu parę kroków. No i cena całkiem do przyjęcia.

– Jeśli to kupimy, to już nic nie zostanie na remont, ostrzegł pan C., realista.

– To nic, na razie będziemy mieszkać tak, jak jest, a potem się zobaczy – odpowiedziała żona, optymistka. Nie można stracić okazji, następna nie wiadomo, czy i kiedy się nadarzy.

Transakcja w miejscowej hipotece odbyła się bez przeszkód.

Na konsultację zaproszono przyjaciela domu, architekta. Oglądał, odchylał pomalowane na wiśniowo deski, otwierał i zamykał okna, po drabinie wszedł na strych.

– Próchno, nie będę ukrywał. Małe przeróbki nie mają sensu. Tu nic się nie da zrobić. Trzeba podejść systemowo – orzekł.

– Jak to… systemowo? zaniepokoiła się pani C.

– Znaczy rozebrać i na tym wybudować nowe. Jeśli zostawicie ten stan, to będziecie żałować.

– Ale jak to nowe?

– Zrobię wam projekt, zobaczymy.

Miny zrzedły wszystkim. Projekt się spodobał, ale na widok wyceny budowlanej się załamali. Okazało się, że cała inwestycja była zaledwie biletem wstępu na plac budowy. A przeróbka miała być jeszcze droższa niż budowa nowego domu, bo trzeba było jednak brać pod uwagę to, co zastane.

Jednak państwo C. postanowili iść za ciosem. Wzięli kredyt, dwa lata mocowali się z miejscowymi ekipami budowlanymi. Rozebrano ściany z tandetnego gruzobetonu, zrobiono nową instalację elektryczną i hydrauliczną. Dymiącą kuchnię rozebrano. Zbudowano kominek i wykopano szambo.

Remont wykończył ich finansowo, pan C. w tym czasie przeszedł zawał. Dzieci powiedziały, że nie będą przyjeżdżać, bo na wsi jest nudno.

Latem otwarto pierwszy sezon. Widok jest śliczny. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Niezauważony przełom

Jesteśmy świadkami przyspieszonego procesu przemiany świata. Dziś, kiedy narracyjna przykrywka covidowa podskórnej rewolucji odeszła w niebyt (a raczej do poczekalni), można popełnić błąd, myśląc, że okres wzmożenia minął. Nie, on tylko zmienił swą postać.

22 sierpnia rozpoczął się szczyt państw członkowskich BRICS, czyli organizacji zrzeszającej dynamicznie rozwijające się kraje: Chiny, Rosję, Indie, Brazylię i RPA. Jeżeli – a na to się szykuje – państwa w ramach tego formatu uczynią kolejny duży krok ku zdetronizowaniu amerykańskiego dolara jako środka płatniczego międzynarodowej wymiany handlowej i stworzą do tego własną walutę rozliczeniową, to będziemy świadkami rozpoczęcia procesu przemiany świata, jaki znaliśmy.

Należy zaznaczyć, że system Bretton Woods, w którym żyjemy od 1944 r., poprzez ustanowienie dolara amerykańskiego jako powszechnej waluty handlu międzynarodowego nie tylko stabilizował światowy system handlowy, lecz także dawał poważne korzyści USA. Na tyle poważne, że wszelkie próby zmiany tego układu były traktowane jako strategiczne zagrożenie amerykańskiej racji stanu, z interwencją wojskową wobec próbujących włącznie.

Dziś Stany nie miałyby siły na takie posunięcia. Skala byłaby za duża, bo w przypadku BRICS mówimy o 42 proc. ludności rozsianej po wszystkich „niezachodnich" kontynentach, o PKB już chyba przewyższającym PKB grupy G7. Do tego dochodzi jeszcze jeden czynnik – BRICS jest tworem wyłącznie gospodarczym, trudno więc będzie go oskarżyć o wrogie militarystyczne zapędy. Po prostu chcą inaczej handlować. Ze światem i między sobą. W ten sposób schodzą z „interwencjonistycznej" linii strzału, na której z chęcią ustawiliby ich Amerykanie. Dlatego też – poprzez wyłącznie gospodarcze relacje – członkowie mogą niwelować swe niewątpliwie różne interesy polityczne.

Lokalizacja szczytu zachęciła inne państwa afrykańskie do przyłączenia się do formatu. Czterdzieści z nich jest zainteresowanych, 20 zaś złożyło już wnioski o akces. Po BRICS mogą więc zostać tylko literowe skróty, a każdy z jej członków może być kontynentalnym magnesem do przyciągania innych krajów.

Kiedyś istniała słabiutka organizacja krajów niezaangażowanych; dziś, kiedy wzięły sobie one za promotorów przodujące potęgi światowego wzrostu gospodarczego, po uzyskaniu wielokontynentalnej skali, zmusza to USA do mocnego główkowania, jak (i w ogóle czy) utrzymać się na pozycji światowego hegemona, którą kiedyś (?) gwarantował im Bretton Woods, wyznaczając prawdziwego zwycięzcę drugiej wojny światowej. Pytanie, czy by to zmienić, potrzebna będzie (aż) wojna trzecia. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Dzieci jako koszmar

W maju, gdy zaczynają się pierwsze komunie, na łamach Onetu, „Newsweeka" i w podobnych mediach zaroiło się od doniesień obrzydzających tę katolicką uroczystość: „Pierwsza komunia – ile to kosztuje?", „Zamiast duchowego przeżycia – rewia mody", „Dziewczynki jak księżniczki – lans i próżność". Większość tekstów to tzw. listy do redakcji. Idę o zakład, że spora część tej „korespondencji" powstała przy biurkach redaktorek lub redaktorów.

Teraz, w wakacje, mamy operację wymierzoną w rodzinę i dzieci. Wszystko również w formie listów od czytelniczek opisujących udręki, którymi są wakacje z małymi dziećmi. Oto kilka przykładów: „Bałtyk jak zwykle zachwycał. Jednak drugiego dnia już przestało mi się tak podobać […]. Chodziło przede wszystkim o specyficzną, acz bardzo liczną grupę turystów – rodziny z dziećmi. Toż to istny koszmar!". W podobnym tonie pisze Lilka (25 lat): „Nie znoszę dzieci. Drażnią mnie kilkulatki w restauracjach, milczące albo rozgadane nastolatki w pociągach, a najbardziej denerwują mnie niemowlęta w samolotach. Podróż samolotem z dziećmi to znęcanie się nad pasażerami". Inna czytelniczka styl.fm wyznaje: „Po tygodniu nad morzem najbardziej mam dość rozwydrzonych bachorów".

Jest też grono czytelniczek, które skarżą się na własne dzieci. „Czy tylko ja po ponad-tygodniowym urlopie z dziećmi czuję się bardziej zmęczona niż przez rok tyrania w pracy? […] padam na twarz, z radością pobiegłam do pracy po powrocie się zrelaksować" – pisze w liście do redakcji pani Barbara. Inna czytelniczka onet.pl alarmuje: „Z poprzednich wakacji wracałam jeszcze bardziej zmęczona, dlatego w tym roku chcę pojechać gdzieś bez córek". Stąd już tylko krok do zakwestionowania macierzyństwa jako takiego. „Matki zazdroszczą bezdzietnym" – czytam w „Wysokich Obcasach", a w innym wydaniu: „Tak. Żałuję bycia mamą. Kobiet, które żałują macierzyństwa jest więcej niż sądzimy". Tym tekstom wtóruje kobieta.onet.pl: „Do niedawna myślała, że chce mieć drugie dziecko. Jednak matki, które spotykała na placach zabaw, skutecznie obrzydziły jej ten pomysł". Jest też seria doniesień o restauracjach i hotelach, które w trosce o komfort klientów nie przyjmują rodzin z dziećmi do 16. roku życia. „Za granicą ten trend to żadna nowość, u nas – kwestia wciąż budząca emocje" – skarży się właścicielka takiego hotelu.

Przywołuję tę próbkę, bo liczba podobnych materiałów zakrawa wręcz na jakąś obsesję. W Polsce, której racją stanu jest znalezienie wyjścia z depresji demograficznej, propaganda wymierzona w rodzinę i macierzyństwo przypomina wspomagane samobójstwo. No chyba że to robota zagranicznych mediów. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Triumf siary i kagańca

Jak się zabić w samochodzie, który stoi? Udzielając wywiadu redaktor Beacie Tadli. Stop. Tak właśnie zrobiła wówczas jeszcze kandydatka do Sejmu z Koalicji Obywatelskiej Jana Shostak. Stop. Jechać nie chciała, bo niby z Zielonych i chroni środowisko, ale chciała mówić i w tenże sposób pogrzebała siebie na amen. Stop. Aaa, jeszcze tylko dopowiem, że ona stała się znana z powodu wydzierania się przez minutę na jednym tonie, publicznie, w ramach chyba protestu – bardzo było to różnie odbierane. Stop. Opowiadała w czasie stojącego wywiadu, że w Polsce jest ciężko kobietom, bo ona musiała dokonać aborcji. Stop. Po dodatkowych pytaniach okazało się, że nie musiała, tylko chciała, i że nie w Polsce, tylko na Białorusi. Stop. Ale śmierć polityczna dopiero nadciągała. Stop. Jana rzekła, że jest za aborcją do dziewiątego miesiąca ciąży, i redaktor Tadla nie wiedziała, co ma z tym zrobić. Stop. Kiedy władze KO dowiedziały się, co wydrzykandydatka plecie, żeby zatuszować skandal, natychmiast usunęły ją z listy. Stop. Żegnaj, Jana. Stop. Twoje wydrzy na zawsze masować będzie nasze małżowiny.

Natalia Jabłońska, kandydatka Konfederacji do Sejmu, twierdzi, że ubój psów i handlu ich mięsem został wprowadzony niepotrzebnie, a mięso z psów to „mięso jak mięso". Stop. Posłuchajcie mnie, Jabłońska. Stop. Mam od 10 lat psa Conana. Stop. Jest maltańczykiem, waży 4 kg, ma serce wojownika. Stop. To, że przez takie gadanie masz kosę ze mną, jest mało ważne. Stop. Ty, Jabłońska, masz kosę z Conanem! Stop. Unikaj południowej Warszawy.

Obywatelu, jeśli obok ciebie znajdzie się policjant, to wiedz, że twoje życie może być zagrożone. Stop. Policjant uzbrojony w granatnik nie był ostatnim słowem tej coraz bardziej gangolsenowskiej formacji. Stop. Prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie wypadku z udziałem policyjnego helikoptera Black Hawka. Stop. Policjanty podczas pikniku w Sarnowej Górze latały nad ludźmi, czego im robić nie wolno. Stop. Następnie mundurowy mistrz śmigła przeciął linię energetyczną, której fragmenty latały wokół ludzi. Stop. To, że nikt nie zginął, a helikopter nie spadł, to cud. Stop. Cudem jest też to, że w środku był pilot policjant, skazany 14 lat temu za katastrofę, w której zginął inny pilot. Stop. Cóż, trzeba tym policjantom przyznać status pokrzywdzonych. Stop. Prokuratorzy polscy mają w tym doświadczenie. Stop.

W ramach protestu Karolina Korwin-Piotrowska także zrezygnowała z udziału w Campusie Polska Przyszłości. Stop. Miała być otwarta, nowoczesna impreza, a tu tradycyjny triumf siary i kagańca. Stop. Proszę przyjąć moje gratulacje. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Droga morderczyni

Media w Wielkiej Brytanii żyją dziś procesem jasnowłosej pielęgniarki Lucy Letby, skazanej właśnie na karę dożywotniego więzienia za zamordowanie siedmiorga pozostających pod jej opieką noworodków. Dokonała swych zbrodni, pracując na oddziale położniczym szpitala, a seria tajemniczych zgonów trwała tam ponad rok.

Ciekawym wątkiem sprawy jest niezdolność brytyjskiego systemu opieki zdrowotnej (NHS) do jakiejkolwiek reakcji, nawet gdy zaalarmowani lekarze informować zaczęli szpital o podejrzeniach dotyczących siostry Letby. Okazuje się, że pięciu pracujących w szpitalu lekarzy zmuszonych zostało do napisania listu z przeprosinami do skazanej właśnie morderczyni. List zaczynał się od słów: „Droga podejrzewana seryjna morderczyni" i zawierał wyrazy skruchy, które składają na jej ręce lekarze, „ponieważ zarządowi szpitala jest niezmiernie przykro z powodu stresu i przykrości, znoszonych w trakcie ostatniego roku". Menedżerowie zarządzający szpitalem, w trosce o „dobrą atmosferę panującą w miejscu pracy", odrzucali wszelkie podejrzenia, grożąc informującym lekarzom konsekwencjami dyscyplinarnymi, łącznie z utratą prawa wykonywania zawodu. Wewnętrzne „dochodzenia" szpitala były żałosną fikcją, jego dyrektor do końca pouczał zaniepokojonych lekarzy, że ich dowody są „niepełne" i „przypadkowe". Zakazywał im też informowania o sprawie policji, twierdząc, że „wewnętrzne sprawdzenie" załatwiło już sprawę. Policji zajęło jedynie 10 minut, by wszcząć oficjalne śledztwo po zapoznaniu się z tymi „niepełnymi" dowodami.

Uważa się, że winna jest temu „nieosądzająca" i skoncentrowana na „dobrym samopoczuciu" i „satysfakcji zawodowej" personelu polityka NHS. Jest to instytucja skrajnie zbiurokratyzowana i podporządkowana lewackiej etykiecie poprawności politycznej. Pokolenie nadwrażliwych „śnieżynek" dowiedziało się właśnie, że „unikanie krzywdzących osądów" oznaczać może przymykanie oczu na mordowanie bezbronnych.

Jako jeden z motywów popełnianych przez Lucy Letby zbrodni wymienia się jej chęć „zabawy w Boga". Najmłodsza z ofiar szpitalnej morderczyni miała jedynie 23 tygodnie, była więc w wieku, gdy aborcji na Wyspach dokonuje się jeszcze legalnie. Siostra Letby doskonale wiedziała, że „zabawie w Boga" oddają się także jej koledzy i koleżanki, w służbie „zdrowia reprodukcyjnego" dokonując dozwolonych w Wielkiej Brytanii aborcji. Zarzucane jej zbrodnie byłyby przecież całkiem legalne, gdyby dokonano ich za zgodą rodziców na odrobinę młodszych dzieciach. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wakacyjne podróże

Ileż radości daje podróżowanie PKP! To poczucie sukcesu, że się dojechało! Nieznane choćby milionom Japończyków przyzwyczajonych do codziennej rutyny jazdy shinkansenami, które nudnie przyjeżdżają do celu co do minuty i stają co do centymetra w miejscach z góry oznaczonych na peronach. Tam nie ma miejsca na podróż za jeden uśmiech.

Cała kupa śmiechu towarzyszy natomiast podróżom kolejowym w naszym kraju. Na przykład na nasze kresy zachodnie. Podróż z Poznania do mojego rodzinnego Gorzowa Wielkopolskiego jest właśnie takim przedsięwzięciem „dla zdrowotności", bo przecież śmiech to zdrowie. Wsiada się więc do pociągu bezpośredniego na trasie Poznań – Gorzów z przesiadką w Krzyżu. To chyba tylko w spółce Polregio i chyba tylko na tej trasie funkcjonuje kategoria „pociąg bezpośredni z przesiadką". Tłumaczenie kierowników pociągów jest zawsze to samo: „Tabor, panie, tabor się psuje. Taki, jaki mamy, całej trasy nie jest w stanie pokonać".

No, ale najpierw trzeba dojechać do Krzyża. A to nie jest taka prosta sprawa, bo na trasie Poznań – Szczecin (a więc również na odcinku do Krzyża) trwają od paru lat „prace modernizacyjne". To i tak nic w porównaniu z trwającymi bodaj od 2015 r. analogicznymi „pracami" na magistrali Poznań – Warszawa, na której podróż do stolicy jest wycieczką krajoznawczą przez Skierniewice i Żyrardów (a w pierwszej fazie „modernizacji" było Gniezno, a w porywach i Włocławek). Złośliwcy i ludzie szukający dziury w całym powiadają, że taniej i szybciej byłoby wybudować magistralę od nowa. No, ale oni się nie znają, bo nie wiedzą, że we wszelkich „pracach modernizacyjnych" gdziekolwiek przeprowadzanych najważniejsze jest „pozyskiwanie funduszy unijnych". Aby tak się stało, ważne jest rozpocząć inwestycje, a potem się zobaczy.

Z tego samego założenia wychodzi prezydent miasta Poznania Jacek Jaśkowiak, który w krótkim czasie doprowadził do sytuacji, że po centrum stolicy Wielkopolski najlepiej przemieszczać się dronami. Czekamy na bayraktary osobowe, które zawiozą nas na Stary Rynek, gdzie zaraz po oficjalnym końcu wirusa prezydent Jaśkowiak zarządził zdarcie nawierzchni, by wymieniać wszystko, co jest pod spodem. Rezultat jest taki, że reprezentacyjna część miasta przypomina Bachmut po „denazyfikacji". Restauratorzy, którzy spod deszczu lockdownów wpadli pod rynnę „prac modernizacyjnych", napisali protest do władz miasta, skarżąc się na uszczuplenie swoich dochodów. Prezydent Jaśkowiak raczył był odpowiedzieć, że jeśli „poprawią jakość swoich usług, to i ludzie będą przychodzić". No, ale jak mają przychodzić jak bayraktarów osobowych nie ma, a i rowery preferowane przez „tęczowego Jacka" przez wertepy nie przejadą.

To chyba tylko w spółce Polregio i chyba tylko na tej trasie funkcjonuje kategoria „pociąg bezpośredni z przesiadką"

Powróćmy jednak do innych baranów, czyli tych zarządzających połączeniami kolejowymi z naszymi kresami zachodnimi. Oszołomieni sukcesem dotarcia do Gorzowa pociągiem bezpośrednim z przesiadką musimy nastawić się na kolejne wyzwanie: powrót do Poznania pociągiem spółki Polregio. Wydostanie się koleją z Gorzowa, miasta wojewódzkiego i siedziby regionalnego ośrodka TVP, to jest dopiero challenge. Najczęściej bowiem spotykaną kategorią połączeń z tego miasta jest to, co na portalu pasażera opisują jako „pociąg odwołany". Spółka Polregio solidarnie z zarządem województwa lubuskiego (na czele z panią marszałek, która w oczach ma czujniki rtęci) dokłada wszelkich starań, aby przynajmniej na północy tego województwa nic na lepsze w zakresie połączeń kolejowych się nie zmieniło.

Na koniec o innych jeszcze baranach. Na początku sierpnia pojechałem PKP z Poznania do Trójmiasta. Komfortowo stałem sobie w pierwszej klasie InterCity Zakopane – Gdynia, bo mój pociąg z Poznania zepsuł się w Bydgoszczy. Jechałem, aby nagrywać materiał do cyklu „Zagłada Polski" w Lasach Piaśnickich koło Wejherowa. W miejscu, gdzie w ostatnich miesiącach 1939 r. Niemcy wymordowali kilkanaście tysięcy Polaków (głównie polskie elity), których ciała w 1944 r. wykopali, spalili, kości mielili i ponownie zakopali – w tym miejscu widzieliśmy ludzi zbierających grzyby. Jedna pani sprzedawała następnie na rozstaju dróg dorodne prawdziwki. Zerwane na wielkim cmentarzysku. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

FIKCJA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Po dwóch tygodniach uników Joe Biden poleciał wreszcie na Hawaje. W trakcie spotkania z ofiarami pożogi zasnął.

W drodze z lotniska Hawajczycy witali Bidena okrzykami, cytuję: „FUCK YOU, FUCK YOU…". To niepodobne do Amerykanów. To wykracza poza skalę dopuszczalnych zachowań – co innego mecz, a co innego protest wobec władzy. W dodatku mówimy o Hawajczykach, czyli o ludziach ponadprzeciętnie przyjaznych, spokojnych, miłych. Jak bardzo Biden musiał przekroczyć skalę, by akurat Hawajczycy witali go w ten sposób?

***

O pożarze pisałem tydzień temu. Wtedy wydawał się dziwny, teraz jeszcze bardziej. No np. czemu płonęło wszystko oprócz przedmiotów w kolorze niebieskim? Zdjęcia i filmy są niepokojące. Parking, spopielone auta, a te niebieskie nienaruszone. Dookoła popioły, ale kilka plażowych parasoli w kolorze niebieskim stoi nadal – nietknięte ogniem. Co jest? Czy istnieje ogień, który nie zapala tego jednego koloru? Istnieje! Laser. To klasyczny eksperyment i pokazują go na lekcjach fizyki: układamy na stole kilka kolorowych szmatek, jedziemy po nich laserem, wszystkie się zapalają, a po szmatce niebieskiej laser przechodzi bez zostawiania śladów. Zbieram takie informacje. Być może nie są powiązane. Ale co, jeżeli są?

W najbliższych dniach z popiołów zaczną wydobywać szczątki dzieci. W dniu pożaru szkoły zamknięto wcześniej, żółte autobusy rozwiozły dzieci do domów, zanim rodzice wrócili z pracy. Nikt nikogo o niczym nie zawiadamiał, systemy alarmowe nie zadziałały, szef straży pożarnej wyjechał w tym dniu w delegację, to samo burmistrz, gubernator i szef policji. Władza, która powinna dowodzić, była w dniu katastrofy nieobecna.

***

Joe Biden zasnął nie tylko na Hawajach. On ciągle śpi. Pracuje do godz. 14, weekendy zaczyna w czwartki i bierze więcej urlopów niż kiedyś Obama, którego podliczono jako największego leniucha w historii Białego Domu. Joe Biden śpi i nigdy nie jest na bieżąco. W tej sytuacji amerykańskie gwarancje obronne dla Polski są fikcją.

14 września na Białorusi, 3 km od polskiej granicy, odbędą się manewry rosyjsko-białoruskie. Nasze służby informują, że mogą wystąpić incydenty, ale Warszawa jest w stałym kontakcie z Waszyngtonem. Tylko co z tego? Waszyngton nie wyda rozkazów zestrzelenia ruskich rakiet. Zareagują, gdy Biden wstanie z drzemki. Armia pod dowództwem Bidena pokazała już, co potrafi – wystawili nas do wiatru w Afganistanie, a sami uciekli w popłochu – takie mieli rozkazy z Białego Domu.

Generał WP opowiada w TVP, jaki był za poprzedniego rządu plan działań na wypadek inwazji. Mieliśmy oddać ziemie do Wisły, ponieważ na interwencję NATO trzeba czekać kilka miesięcy. Procedura jest taka, że parlamenty poszczególnych państw muszą się zebrać i przegłosować o przystąpieniu (lub nie) do wojny za Polskę. W tej sytuacji NATO jest grą pozorów. Na początku drugiej wojny światowej Niemcom i Ruskim wystarczył miesiąc, by nas sprzątnąć z mapy razem z całą naszą armią, która wtedy też wychwalała się, że jest najmocniejsza. Teraz mielibyśmy wytrzymać kilka miesięcy okopani na granicy Wisły?

***

Niemiecka firma Hugo Boss w dalszym ciągu ma w Rosji sklep z luksusowymi towarami. W czasie drugiej wojny dorobili się, szyjąc mundury dla gestapo. Sankcje oraz denazyfikacja są fikcją.

USA zgodziły się na przekazanie F-16 Ukrainie, ale w przyszłym roku. Szkolenie pilotów odbędzie się w Danii i Rumunii. Z tego wniosek, że oni już teraz wiedzą, że ta wojna potrwa jeszcze co najmniej dwa lata. Opowieści o skutecznych ofensywach i szybkim zakończeniu wojny były i są fikcją.

Niemiecki rząd w projekcie ustawy budżetowej wycofał zobowiązanie do przeznaczenia 2 proc. PKB na obronność – informuje Reuters. Z tego wnioski płyną takie:

1. Niemcy są dogadani z Putinem i się go nie boją.
2. Mają gdzieś USA, a razem z USA mają gdzieś także Polskę.
3. NATO jest sojuszem fikcyjnym.
4. Polska powinna liczyć wyłącznie na własne siły, a gdyby ktoś nam jednak zechciał pomagać w razie konfliktu, to się najwyżej wtedy ucieszymy z tego niespodziewanego bonusu.

Były prezydent Francji Nicolas Sarkozy wzywa do kompromisu z Rosją: potrzebujemy Rosji, a Rosja nas. Ukraina nie będzie członkiem NATO ani UE.

Skoro Niemcy i Francja dogadują się z Putinem… to NATO jest fikcją.

***

Grupa Wagnera została zarejestrowana na Białorusi jako organizacja edukacyjna. Polska i kraje bałtyckie zareagowały oświadczeniem, że planują całkowite zamknięcie granicy z Białorusią. Moim zdaniem to fikcja. Czy Polska naprawdę zamknie przejście Brześć-Terespol i zablokuje ruch na torach kolejowych prowadzących przez Małaszewicze? Zablokujemy import z Chin do Europy Zachodniej? Kto podejmie tę decyzję? Chłopiec z Davos czy Błaszczak, czy Jarosław? Fikcja!

Chiński minister obrony spotkał się w Mińsku ze swoim odpowiednikiem. Wyraził uznanie dla białoruskich działań pokojowych. Minister obrony Białorusi odpowiedział: „Współpraca z Chinami jest najważniejszym celem naszej polityki". Dlaczego to ważne? Chińskie tory idą przez Białoruś i jest to główna linia zaopatrzenia UE w chińskie śmieci. Przez Białoruś, a dalej przez Polskę, jedzie towar do Londynu. Chińska władza przyjechała do Mińska zabezpieczyć swoje interesy. Zabezpieczy też swoje interesy na terenie Polski, a w tym celu wyślą kogoś do Berlina, bo w Moskwie już byli.

NATO jest fikcją. Nasze sojusze są fikcją i widać to dookoła. Kto liczy na innych, ten się przeliczy. Szansę ma ten, kto liczy na własne siły. Słyszę pogłoski o kilku mądrych dowódcach w Wojsku Polskim. Może mają plan ratunkowy lepszy od planów Błaszczaka, a na razie siedzą cicho, żeby nie wylecieć. ©℗

eprasa.pl aa5c8ac814

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

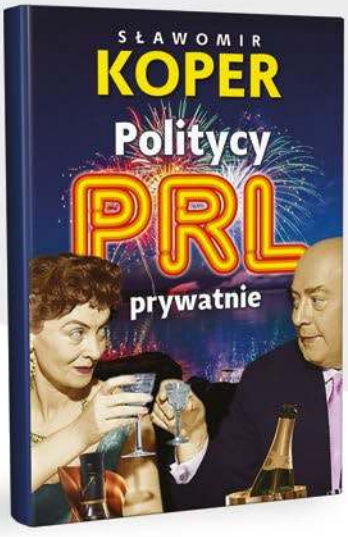

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„POLITYCY PRL PRYWATNIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~608~~ ZŁ

233,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 375ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl aa5c8ac814

NARODOWY BANK POLSKI

NBP

DZIĘKI NBP POLSKA JEST NA DOBREJ DRODZE, już od 4 miesięcy ceny prawie się nie zmieniły!

Wskaźnik wzrostu cen konsumpcyjnych miesiąc do miesiąca (w ostatnich czterech miesiącach)

eprasa.pl aa5c8ac814